



De. II. 1.

NAUKA FILOZOFII

oraz rozkład systematyczny jej gałęzi pojedynczych.

PRZEZ

Aleksandra D-ra Raciborskiego 1).

Przez filozofią rozumiemy naukę o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, w stosunku do myślącego podmiotu.

Określenie to może wprawdzie uleść pewnym odmianom co do swjej formy; ale rozpatrzenie tych odmian przyczyni się w wysokim stopniu do uwydatnienia myśli w nim zawartej. I tak, zamiast: „Filozofia jest nauką o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych względnie do myślącego podmiotu,” możnaby powiedzieć: „Filozofia jest nauką o najogólniejszych prawach ducha i materji.” Myśl, zawarta w obu tych co do wyrazów odmiennych określe- niach, byłaby może ta sama, ponieważ jednak słowa „duch” i „mate- rya” przybrały już wskutek sposobu, w jaki ich używano, znaczenie pewnych istności (substancyi), powinnyby się więc słowa te jawić ra- cziej jako możliwe wyniki w dalszym ciągu przedmiotu, a nie w sa- mým jego określeńiu.

Pojęcie podobne do tego, które oznaczyłem w mojej definicyi, zawarte jest także w pojęciu filozofii, które podaje Kirchmann ja- ko nauki o najogólniejszych pojęciach i prawach istnienia i wiedzy, albo téż istnienia i myśli.

1) Studium, które niniejszém drukujemy, było przedmiotem wykładu habilitacyjnego, wypowiedzianego przez szan. autora, docenta filozofii, przy rozpoczęciu kursów w uniwersytecie lwowskim d. 27 kwietnia 1885 r.

Red.

Z doborem użytych przez Kirchmanna wyrazów o tyle nie zgodziłbym się, o ile nie zgadzam się z przedwczesnym, a więc w określe- niu nieuprawnionym przeciwstawieniem „istnienia“ i „wiedzy,“ albo też „istnienia“ i myśli,“ a to tém bardziej, że przeciwstawienie takie zbliża się do przeciwstawienia materji i ducha. Zawarte w mojem określeniu przeciwstawienie zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, względnie do myślącego podmiotu, jako nieodłączne od właściwości wszystkich spostrzeżeń naszych, jest nieuniknione wprawdzie, ale też i nic nie przesądzające, a więc już nawet w definicyi dozwolone.

Słuszny pod pewnym względem mógłby mnie tu spotkać zarzut, że często trudno nam powiedzieć, które zjawiska uważać należy za ze- wnętrzne, które zaś za wewnętrzne, jak się o tém przekonamy, mówiąc o zjawiskach z dziedziny estetyki i etyki. — Używając więc wyra- zu „zjawiska wewnętrzne i zewnętrzne“ względnie do myślącego pod- miotu, nie zamierzałem podać ścisłego i wyczerpującego podziału zjawisk; sądzę jednak, że bądź co bądź oznaczyłem niejako granice, któremi objęte są wszystkie zjawiska wogóle, o co mi też jedynie chodziło. Na przeciwieństwie zaś, które zaznaczyłem, świata zew- nętrznego i wewnętrznego, zasada się cała nietylko treść, ale nawet mo- żność naszych wrażeń, uczuć, myśli, świadomości i wiedzy. Nawet Fichte nie zdołał bez pomocy „zewnętrznego potrącenia“ (Antoss) wysnuć całego świata zjawisk ze samej Jaźni.

Określenie filozofii jako nauki o najogólniejszych pojęciach i prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, względnie do myślą- cego podmiotu, obejmuje cały obszar wiedzy ludzkiej, mianowicie w częściach jęj najogólniejszych, zasadniczych i metodologicznych; fi- lozofia powinna też być wspólnym wynikiem wszystkich działów wiedzy ludzkiej, powinna być zarazem ich najogólniejszym łączni- kiem, powinna być wreszcie nicią przewodnią w poszczególnych ba- daniach przez podawanie im pewnej metody, ujmowanie ich w pe- wien system i przez wskazywanie im pewnego celu — celu w ostate- cznym przeprowadzeniu wszystkim gałęziom wiedzy wspólnego

Myśl tę odnajduję w nazwie „Wissenschaftslehre,“ którą nadał Fichte filozofii.

Bardzo dobrze określa Lewes stosunek poszczególnych działów wiedzy ludzkiej do filozofii: „Tak, jak każda poszczególna gałąź wie- dzy ludzkiej jest usystematyzowaniem rozmaitych uogólnień, zdobytych przez poszczególne badanie, tak też filozofia jest systematyzowaniem uogólnień tych pierwszych uogólnień. Czyli inaczej mówiąc: poszczegól- ne nauki dostarczają wiadomości, filozofia teoryi. Każda poszcze- gólna gałąź wiedzy ogarnia pewien zakres wiadomości. Matematyka zajmuje się ilościami z pominięciem wszystkich innych stosunków; fi- zykę i chemią obchodzą wyłącznie zmiany nieustrojowych ciał z po- zostawieniem biologii wszystkich stosunków życiowych; socjologia zaj- muje się równie obecnymi jako też przeszłymi i przyszłymi stosunkami jednych ludzi do drugich; filozofia zaś nie ma żadnego oddzielnego

zakresu wiadomości: ogarnia cały świat myśli, zachowuje się do poszczególnych gałęzi wiedzy ludzkiej, jak geografia do topografii. Wszystkie poszczególne umiejętności służą jej celom i dostarczają jej soków żywotnych; filozofia obejmuje w system — ich wyniki i porządkuje w poszczególnych działach zdobyte prawdy w całościowy ustrój pełnej teorii.“

Tak obszernemu zakreszeniu granic filozofii odpowiada zapatrywanie Kirchmanna, którego zdaniem, istota i treść filozofii zawiera się w poszczególnych działach wiedzy ludzkiej, przedmioty zaś tych działów stanowią odwrotnie zadanie filozofii; całą różnicę stanowi tu tylko sposób, w jaki filozofia obrabia tę treść, wspólną jej z treścią poszczególnych umiejętności.

Stosownie więc do tego, co dotąd powiedziałem, filozofia jako system zupełny, musiałaby obejmować jednolite i równomierne opracowanie i przedstawienie nie tylko wszystkich najogólniejszych pojęć i praw, składających się na całość wiedzy ludzkiej, ale również takie samo opracowanie i przedstawienie wszystkich jej poszczególnych działów. Działy te, o ile obejmują logikę, matematykę, nauki przyrodzone, psychologią, a wreszcie teorią poznania, są podstawą filozofii, wynikiem jej, o ile obejmują metafizykę, estetykę, etykę, a wreszcie zasady prawodawstwa. Tak pojęta podstawa i wynik filozofii wyczerpuje zarazem całą jej treść naukową.

Gdybyśmy chcieli szukać w dziejach filozofii przykładów na tak obszernie pojęte systemy filozoficzne, mogłoby się zdawać, że w starożytności już sofiści pokusili się o objęcie pewną metodą i ujęcie w pewien system wszystkich poszczególnych działów wiedzy ludzkiej. Rozpatrzywszy się jednak bliżej, przekonujemy się, że całą tę pozorną wspólność ich metody stanowiła tylko niesłychana powierzchowność i pewna dyalektyczna zręczność, pozbawiona rzeczywistej, logicznej ścisłości i wszelkiej wyższej organicznej, przewodniej myśli; nie zdołali przeto sofiści wytworzyć właściwego systemu, w którymby się zlały te poszczególne działy opracowywanych nauk i nie zdobyli też dla filozofii żadnych ważniejszych korzyści.

Pierwszy, olbrzymi system filozoficzny, przedstawiłyby, zdaje się, dzieła Arystotelesa, gdyby nas były doszły w całości.

Próbie w powyższym kierunku podjęli byli także encyklopedyści siłami połączonemi i w pojedynczych działach wiedzy znakomitemi, brak im jednak było filozoficznego geniuszu, któryby tę pracę przeniknął i połączył.

Prawie na równie obszerne rozmiary założone są prace Fichtego, Schellinga i Hegla, którzy, wykończając jednak bardzo szczegółowo wyniki swoich systemów, zamało może troszczyli się o ich podstawy.

Podobnie obszernym systemem jest także filozofia Comte'a i pozytywistów. Ci dbalsi już o podstawy swego systemu, oparli go głównie na naukach przyrodniczych. Później jednak popadli niektórzy z nich w błędną dążność, jeżeli już nie utożsamienie filozofii z nauka-

mi przyrodniczemi, to przynajmniej zastosowania w niej z całą bezwzględnością metody przyrodniczej.

Rzeczywiste wykonanie na tak obszerne rozmiary założonego planu, jak go zawiera powyższe określenie filozofii, byłoby raczej zadaniem całej szkoły filozoficznej, składającej się z licznego zastępu w rozmaitych kierunkach pracujących ludzi, a nie celem, któryby sobie śmiał wytknąć pojedynczy człowiek.

Celem też moich wykładów nie może być przedstawienie takiego we wszystkich jego częściach rzeczywiście wykończonego i przeprowadzonego systemu filozoficznego. Przedmiotem ich będzie filozofia w granicach szerszych, jakie nadaje pojęciu temu nietylko utarte znaczenie słowa filozofia, ale przedewszystkiem dosłowne trzymanie się podanego określenia jej, jako „nauki o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, względnie do myślącego podmiotu.“ Mówić więc będę przedewszystkiem o zadaniu naukowego badania w ogóle, przedstawię, jakie są prawa, wedle których działa umysł ludzki, jakie są cechy prawdy, jak się do niej dochodzi, jak się wreszcie wykrywa błędy; dalej—jakie są granice badań ludzkich, jakie ich wyniki w poszczególnych działach wiedzy, i jakie z tych wyników dalsze ogólniejsze prawa wysnuć możemy. Przechodząc następnie do zastosowania tych najogólniejszych praw w życiu i działaniu ludzkim, t. j. przechodząc do estetyki i etyki, ograniczę zakres mego przedmiotu tylko do omawiania kwestyi zasadniczych.

Stosownie do takiego ściślejszego ograniczenia filozofii podzieliłbym ją w następujący sposób:

I) Psychologia, z uzupełniającemi ją działami fizjologii i innych nauk przyrodniczych.

II) Logika formalna.

III) Teorya poznania.

IV) Metafizyka.

V) Estetyka.

VI) Etyka, z wynikającemi z niej zasadniczemi pojęciami, wchodzącemi w zakres umiejętności prawno-politycznych.

I.

Psychologią umieściłem na czele tego podziału. Nietylko bowiem łączą się w niej najbezpośredniej wspomniane (w mojem określeniu filozofii) zjawiska wewnętrzne i zewnętrzne, ale psychologia stanowi zarazem w różnorodnej i obfitój swjej treści, przejście do każdego z wymienionych działów filozofii, a tém samém tworzy pewien wspólny ich łącznik.

I tak: prawidła logiki są niejako owym ideałem doskonałości, do którego dążyć powinno, zazwyczaj mniej ściśle rzeczywiste, że tak rzekę, psychologiczne myślenie. Pojęcie, ta podstawa, ten

niezbędny postulat wszystkich działań logicznych, opiera się na wyobrażeniach, a więc na wytworach czysto psychologicznych.

Cała teoria poznania polega w znacznej części na krytycznym rozbiórce doniosłości i znaczenia działań psychicznych.

Badania psychologiczne, o ile sięgają głębiej poza zjawiskową stronę duszy naszej, pytają o jej istotę i należą już do metafizyki.

Estetyka, t. j. nauka o pięknie, o ile pyta o podmiotowe podstawy naszych sądów estetycznych, ma także bardzo znaczną dziedzinę wspólną z psychologią.

Niemniej ściśle, a może nawet jeszcze ściślej, łączy się z psychologią etyka, np. w tak ważnej i zasadniczej kwestyi, jaką jest wolność woli. Ustawodawstwo téż, będące zastosowaniem zasad etyki w życiu praktycznym, w wypadkach, gdzie potrzeba rozstrzygać o poczytalności czyjéjs, staje się w miarę postępu nauk, coraz zawisłyszem od teorii psychologicznych.

Wszystkie te okoliczności stawiają psychologią na czele równie poszczególnych działów, jak i całości filozofii.

Psychologia opiera się przedewszystkiém na spostrzeganiu zjawisk wewnętrznych, zużytkowuje jednak przy tém wyniki badań ściśle przyrodniczych.

Spostrzeganie wewnętrzne i zewnętrzne powinno być w nauce téj na każdym kroku zestawiane i porównywane. Różnica i zależność świata wewnętrznego i zewnętrznego uwydatnia się tutaj na każdym kroku i w tęto różnicy należy szukać początku rozmaitych teorii, dotyczących ducha i materji. Już u wstępu do filozofii, w dziedzinie psychologii, spotykamy się z ową dwoistością praw, z których jedno możnaby nazwać prawami świata wewnętrznego, prawami psychicznymi, albo téż, jak się wyrażają niektórzy, prawami ducha; drugie prawami świata zewnętrznego, albo téż, jak niektórzy dla odróżnienia od pierwszych chętnie je nazywają, prawami materji. O ile dwoistość tych praw jest niewątpliwą i wybitną na ich skrajnych biegunowych kończynach, o tyle trudno, a w dziedzinie psychologii może nawet najtrudniej ściśłą między niemi pociągnąć granicę, pomimo, że właśnie w dziedzinie zjawisk, będących przedmiotem psychologii, ciągle w pobliżu téj granicy poruszamy się. Trudności téj nie zwalczyły nawet po większej części nieudane, a może nawet zasadniczo chybone, próby zastosowania matematyki do badania zjawisk psychicznych.

Z jednéj tedy strony łączy się psychologia ściśle z fizyologią i z posiłkującemi ją naukami przyrodniczymi, z drugiej zaś strony, badając prawa zjawisk wewnętrznych, przeprowadza nas, jak to już wspomniałem, do logiki.

II.

Logikę, sądzę, należałoby ograniczyć ściśle do logiki formal-

nój, t. j. do prawideł poprawnego myślenia i jako taką oddzielić stanowczo od teorii poznania.

Zarówno logika formalna, jak i teoria poznania powinny być wolne od sporów, należących do zakresu metafizyki. Teoria poznania, jak nas pouczają niepocieszające w tej mierze doświadczenia, przekazane w dziejach filozofii, nie zdołała się uchronić od wpływów, jakie na nią wywierały te spory i różnorodność zapatrywań na zagadnienia metafizyczne. Wolniejszą od tych wpływów była logika formalna, jakkolwiek i na nią one się odbiły, mianowicie w miarę, jak nie nazywając jej „Logiką formalną,” ale już „Logiką” w ogóle, rozszerzać zaczęto jej zakres na przedmioty, należące do teorii poznania.

Ślady takiego wpływu widzimy np. w niektórych zapatrywaniach Milla, tyjących się przedmiotów, należących do logiki formalnej, a objętych jego „systemem logiki indukcyjnej i dedukcyjnej,” dziełem treści bez porównania obszerniejszej, sięgającej daleko w dziedzinę teorii poznania. W podobny sposób rozszerzyli także pojęcie logiki Wundt, Jevons i inni. Ciekawą, komiczną prawie próbę takiego przesadnego rozszerzania zakresu logiki, mamy mianowicie w dziele Dühringa „Logik und Wissenschaftstheorie.“

Ograniczenie logiki wyłączenie do logiki formalnej, t. j. do prawideł poprawnego myślenia, ułatwiłoby ściśle bezstronne obrabianie tego przedmiotu. Stałaby wtedy logika, podobnie jak matematyka, na stanowisku wymagającym tylko zrozumienia dowodu, a wykluczającym wszelką możliwość wątpienia, a tćm samćm wszelką możliwość różnicy zdań i wynikających ztąd sporów. Logika zachować powinna swoje znaczenie jako ogólne „Narzędzie,” które jej już w starożytności wskazano. Podobnie jak matematyka, powinna być i logika, wedle słów Hegla, ową niezłomną „dyamentową kanwą, w którą cały wszechświat wpleciony został.”

Mimo takiego ograniczenia, zupełnie obawiać się nie należy jakiegokolwiek martwoty lub zastoju w dziedzinie logiki formalnej. Niebezpieczeństwo to nie grozi jej wcale, podobnie jak nie grozi i matematyce. Pominąwszy już bowiem nawet wzglćd czysto pedagogiczny, że logika będzie zawsze najdzielniejszą, nicćm zastąpić się nie dającą gimnastyką ducha, pominąwszy dalej tę ważną okoliczność, że logika, to najogólniejsze „narzędzie” pozostanie zawsze w użyciu wszystkich umystów, chociażby nie uświadomiły sobie zastosowywania jej prawideł; pominąwszy, powiadam, to wszystko pozostanie zawsze jeszcze obszerne pole do pracy i postćpu, wlaśnie pod wzglćdem doskonalenia i rozwijania najzewnętrzniejszej strony form logicznych. Wspomnę tu tylko o znakowaniu logicznćm, wprowadzonćm przez Sigwarta, Ueberwega, Jevonsa, Wundta i innych; wspomnę o użyciu w logice formułek algebraicznych, jak to uczynił Wundt i Jevons, wspomnę wreszcie o nadawaniu liczbowych warto-

ści sądom w Syllogizmach, jak to próbowali A. de Morgan, Robert Boole i Venn.

Również pozostaje dla pracujących nad logiką, choćby w tak zacieśnionych granicach, zadanie bardzo ważne i obfite plony wydać mogące, mianowicie z jednej strony wykazywanie łączności logiki z gruntem, na którym ona pierwotnie urosła: z mową ludzką i prawami, wedle których myśl znajduje w niej swój wyraz, do czego obfity materiał znajdujemy już w starożytności, mianowicie w okresie, w którym się logika wyłoniła z gramatyki, z drugiej strony przedstawienie logiki w jej łączności z matematyką, przedstawienie, jak to logika jest niejako zbiorem najogólniejszych praw matematyki, matematyka zaś dalszym rozwojem i zastosowaniem logiki.

Taki sposób opracowywania logiki przeprowadza nas zarazem w dziedzinę teorii poznania.

III.

Teoria poznania opierać się powinna z jednej strony na psychologii, z drugiej na logice i może być poniekąd uważana za zbiór dalszych, wzajemnie się uzupełniających wniosków, wysnutych z obu tych umiejętności.

Na podstawie badań psychologicznych, przedsięwzięte teoria poznania krytykę wrażeń zmysłowych, tudzież rozbiór psychicznej strony zjawisk wewnętrznych; na podstawie logiki, wytwarza rozmaite metody badań, ocenia doniosłość ich działania i wartość ich wyników.

W zakresie teorii poznania, powstaje ogromnej doniosłości pytanie, czy i o ile poznaniu naszemu przypisywać należy przedmiotowość? pytanie: czy téż poznanie nasze, jako takie, dlatego właśnie, że jest naszym poznaniem, nie musi być zawsze i wyłącznie poznaniem podmiotowem?

W zakresie teorii poznania spotykają się rozmaite i rozmaicie nazywane teorie i zapatrywania, roją się prawdziwie w rozmaitych odcieniach, przejściach i połączeniach: racjonalizm i empiryzm, idealizm i sensualizm, fenomenalizm i realizm i inne teorie, wkraczające już mniej lub więcej w dziedzinę metafizyki.

Najtrudniejszym zadaniem dla pracującego nad teorią poznania, jest przedewszystkiém zajęcie stanowiska, o ile możności bezstronnego, opieranie się na każdym kroku tylko na niewątpliwie już stwierdzonych wynikach badań, we wszystkich działach składających obszar wiedzy ludzkiej. Psychologia i logika dostarczać powinny głównych probierzy do oceniania wartości rozmaitych teoretyczno-poznawczych zapatrywań. Obznajmienie się z temi zapatrywaniami jest przygotowaniem, a zarazem już i wstępem do metafizyki, tego najwyższego, najbardziej niedostępnego szczytu wielu systemów filozoficznych, będącego właściwie tylko idealnie oznaczonym punktem, do którego

dażą badania filozoficzne, jako do ostatecznego, najdalszego celu, wychylającego się już jednak poza granice, jakie zaznaczyłem filozofii w powyżej podanym określeniu.

IV.

Metafizykę uważam za naukę o istocie wszech rzeczy, a tém samém o ostatecznych przyczynach i celach; filozofią zaś zdefiniowałem jako naukę o najogólniejszych prawach zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych względnie do myślącego podmiotu. Określenie to wymagałoby właściwie usunięcia metafizyki z pośród działów, jakie w filozofii wyróżniam, w obec jednak istniejącego stanu rzeczy, w obec zaprzeczyć się niedającej okoliczności, że metafizyka jest w wielu systemach główną, cechującą je częścią, nie mogłem nie wskazać miejsca, które ona w obfitój i różnorodnej treści systemu filozoficznego zająć powinna. Jak przeważnego znaczenia może nabrać metafizyka w filozofii, wskazują słowa Ueberwega, który powiada, że filozofia wyróżnia się od innych umiejętności przez to właśnie, że badania jej nie tyczą się razem zebranej całości zakresów tych poszczególnych umiejętności, ale zmierzają ku istocie, ku prawom i ku łączności wszystkiego, co rzeczywiste. Określając następnie pojęcie filozofii wyraża się: „Die Philosophie ist die Wissenschaft der Principien.“ Widzimy więc, że Ueberweg zdaje się pojmować całą filozofią w ten sposób, w jaki my pojmujemy samą tylko metafizykę.

Stosownie więc do sposobu, w jaki pojmujemy filozofią, nie możemy kusić się o przedstawienie samoistnej metafizyki. Powiem jednakże w kilku słowach, jakie to zagadnienia metafizyka rozbiera i w jakich to kierunkach wypadnie nam zastosować do niej proberze wynikające z teorii poznania.

Już w teorii poznania spotkaliśmy się z pytaniem o „Rzecz w sobie,“ które uważam za równoznaczne z kwestyą o „Istocie rzeczy;“ spotkaliśmy się także z kwestyami o znaczeniu i doniosłości pojęć takich jak: przyczyna, cel i t. p.; z pytaniami wreszcie o pochodzeniu i znaczeniu naszego poznania w ogóle. Już to samo zmusza nas do uznania zależności metafizyki od teorii poznania. Od sposobu, w jaki rozwiązujemy te pytania, zależy musi cała postać i cała treść każdego systemu metafizycznego. Usunięcie kwestyi „rzecz w sobie“ równa się prawie usunięciu z rzędu nauk filozoficznych metafizyki, jako odrębnego działu. Z przyznaniem pojęciu celowości, a mianowicie pojęciu przyczynowości, wyłączanie podmiotowego znaczenia należałoby może inaczej pojąć całe zadanie metafizyki, a więc téż odmiennie ją określić.

O ile oddziaływanie zapatrywań metafizycznych, mianowicie z góry powziętych, na teorię poznania, uważam za nieuprawnione, a więc téż za szkodliwe, o tyle przeciwnie, uznaję wpływ teorii poznania na metafizykę, za uprawniony i niezbędny; metafizyka bo-

wiem powinna być tylko dalszém zastosowaniem wyników, do których nas doprowadziła teoria poznania.

Jak powiedziałem, zadaniem metafizyki byłoby rozstrzygnąć pytanie o istocie „zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych względnie do myślącego podmiotu;“ wątpiąc jednak, czy jest to rzeczą możliwą dla ograniczonych i na stanowisko bezwzględności wznieść się nie mogących władz poznawczych człowieka, nie rozszerzyłem odpowiednio pojęcia i zadania filozofii, aby w niej zrobić miejsce na tak pojętą metafizykę. Trudność, a raczej niemożliwość poznania istoty wszech zjawisk uznawało wielu filozofów, byli więc téż i tacy, którzy chcieli całą metafizykę zamknąć w granicach samej tylko teorii poznania. Mimo to jednak, na każdym kroku spotykając będziemy w filozofii bezskuteczne może, ale niestrudzone usiłowanie ducha ludzkiego zdarcia zasłony z owęj tajemniczój pozazjawiskowój istoty wszechrzeczy, i to wbrew dającym się słyszyć głosom potępiającym, ba nawet cierpko wyszydającym takie bezowocne dążenia, popycha nas ku nim samo zajmowanie się teorią poznania. Zarysowujące się już bowiem w niej rozmaite zagadnienia i zapatrywania filozoficzne, mają cechę wybitnie metafizyczną. Zapatrywania téż i kierunki, jawiące się w teorii poznania spotykamy i w metafizyce, częścią pod temi samemi, częścią zaś pod nowemi nazwami; i tak mamy tu znowu w rozmaitych odcieniach, przejściach i połączeniach: Spirytualizm i Materyalizm, Monadologią i Atomistykę, Monizm i Dualizm lub Pluralizm, i t. p. Wszystkie te kierunki łączą się mniej lub więcej z teoriami kosmologicznemi, a tém samém wkraczają mniej lub więcej w zakres teorii i przypuszczeń czysto przyrodniczych. Z téjto przyczyny, jak wspomniałem, metafizyka opierając się przedewszystkiém na teorii poznania, powinna się niemniej z wynikami badań w innych działach wiedzy ludzkiej nie tylko liczyć ale wprost je zużytkowywać. Jeżeli więc ma jakiegokolwiek zachować uprawnienie niepowinna być ani metafizyka ani filozofia w ogóle „eine Wissenschaft aus Begriffen,“ wedle słów Kanta, albo téż „eine Bearbeitung der Begriffe,“ jak ją nazwał Herbart, są to bowiem określenia, mogące się tyczyć każdéj umiejętności, gdyż tylko to, co jest ogólne, co jest pojęciem, może się stać przedmiotem umiejętności; jeżeliby zaś w słowach tych mieścić się miało zerwanie z empirycznemi podstawami naszego poznania, w takim razie uważam to określenie jako chybione, równie dla filozofii wogóle, jak i dla metafizyki.

W zakres metafizyki—jako usiłujące zbadać istotę wszechrzeczy i ostatecznie ich przyczyny—wkraczają także systemy znane pod nazwą „Filozofii Natury.“ Twórcy ich nie chcą wprawdzie przyznać téj metafizycznój cechy swoim systemom; bądź co bądź jednak w teoriach swoich sięgają często daleko poza granice samego badania zjawisk i wykrywania samych tylko praw rządzących niemi. Ciągną się takie systemy od jońskich Hylików, następnie od Heraklej-tosa i Empedoklesa, przez Nowoplatoników, Giordana Bruno i Paracel-

sa, aż do Schellinga i Hartmanna. Wartość tych poglądów, ogólny kierunek i poszczególne znamiona, bywają zresztą bardzo różne; wspólnym ich łącznikiem pozwalającym je zebrać w dział jeden, wspólną przewodnią ich myślą, jest pojmowanie całości wszechświata jako „Natury“ a nawet utożsamianie go z „Naturą,“ której częstką człowiek, której siły, prawa i ogólny bieg zbadać i poznać możemy; obfitują też systemy te w przypuszczenia i kosmologiczne teorye, naginające się częstokroć do ogólnych poglądów i zasad, mających wyłómaczyć i objaść w jedną całość, zarówno psychiczne jak i fizyczne zjawiska. Zakrój taki niewąją również zapatrywania materialistyczne, nie tworzące jednak zazwyczaj obszerniejszych całościowo przeprowadzonych systemów.

Ogromnej wagi i doniosłości jest wpływ, jaki wywiera metafizyka na estetykę, a mianowicie na etykę. Wpływ ten wywiera metafizyka dlatego, że, jakkolwiek rozmaicie pojmowano jej zakres i zadanie i rozmaicie ją określano, bądź co bądź jednak przedmiotem jej pozostały zawsze zagadnienia, dotyczące istoty wszechrzeczy, ostatecznych przyczyn i celów! Ten zaprzeczyć się nie dający wpływ, jaki wywiera metafizyka na estetykę a mianowicie na etykę, nadaje metafizyce tę ogromną jej ważność i nasuwa z całą siłą pytanie: jakie stanowisko nam zając należy w obec zagadnień metafizycznych. Odpowiedź na to pytanie, zarysowała się już poniekąd w tém, co dotąd powiedziałem; oto jak dla mnie, metafizyka jest raczej pewnym zbiorem pytań aniżeli zbiorem odpowiedzi. Odpowiedzi te pozostaną, jak to już nadmieniłem w obec władz poznawczych człowieka, postulatami, idealnymi celami, do których filozofia będzie mogła wiecznie dążyć, w najlepszym razie może będzie mogła zbliżać się do nich, ale nigdy nie zdoła ich osiągnąć. Wiele zdziałamy, zdobywszy się choćby tylko na jasne sformułowanie tych pytań, zdawszy sobie sprawę, o co wogóle i jak pytać należy. Zająwszy więc takie stanowisko, nie tylko, że nie mogę przedstawić własnego samoistnego systemu metafizycznego, ale nie podjąłbym się nawet wyłącznej obrony i przyswojenia sobie którekolwiek ze znanych dotąd systemów.

W kierunku tedy, który nazwałbym z Kantem teoretycznym, zachowanie się nasze będzie musiało być przeważnie krytyczne. W kierunku zaś praktycznym, licząc się z potężnym wpływem metafizyki na estetykę i etykę, usiłowania nasze skierowane będą ku zapewnieniu tym dwom tak ważnym, bo głęboko w praktykę życia wnikającym gałęziom filozofii, muić chwiejnych podstaw aniżeli są te, których im dostarcza metafizyka. Usiłowaniem mojem będzie uzupełnić je wskazaniem podstaw, jakie znaleźć mogą tak estetyka jak etyka, w naukach przyrodniczych, a przede wszystkim w psychologii, o której łączności równie z estetyką jak i z etyką już wspominałem. Nie wątpię, że na tej drodze da się zdobyć dla zasad etyki i estetyki, które mogą i powinny być pewne i niewątpliwe, niezależność od zapatrywań na zagadnienia metafizyczne, w których ostatniego słowa dotąd wiedza ludzka nie wyrzekła, a jeśli

wyrzec mniemała, to jak sędzę, uczyniła to bez dostatecznych powodów.

V i VI.

Podstawą do poznania i ustalenia owych pewnych i niewątpliwych zasad w dziedzinie estetyki i etyki jest zrozumienie znaczenia „Ideału,” równie w ogólności, jako też i w szczególności względnie do tych obu działów filozofii.

Za drogę do poznania ideału i zrozumienia znaczenia jego równie w estetyce jak w etyce, uważam badanie i poznawanie praw świata zmysłowego i świata umysłowego, doprowadzające nas ostatecznie do uznania, że ideały są zbiorami pewnych praw, których urzeczywistnienie powinno być celem przepisów estetycznych i etycznych, to jest nauk o *tém, co Piękne i Dobre*.

Jeżeli więc nawet zrzekamy się w dziedzinie metafizyki osiągnięcia całej, czystej i niesłoniętej *Prawdy*, w zakresie estetyki i etyki zrzekać się nie powinniśmy, a nawet nie możemy, dążenia do osiągnięcia *Piękna i Dobra*: — co więcej, owo dążenie, do urzeczywistnienia *Piękna i Dobra* w całym życiu naszym, a przede wszystkim w wewnętrznym rozwoju ducha naszego, uwydatniające się na zewnątrz w czynach, jest najświętszym *Obowiązkiem* a zarazem najwyższym i najpiękniejszym *Prawem* równie pojedynczego człowieka jako i jednostki, nie mniej i ogółu ludzkości, jako moralnej całości. Cechą tej tak pojętej estetyki i etyki, będzie opieranie ich zasad na właściwościach natury ludzkiej; ale nie na właściwościach tej natury, jako szczegółu, ale na jej właściwościach, jako ogółu, jako pojęcia, a przede wszystkim jako *Ideału*, gdyż tylko w tym sokratycznym duchu uważana natura ludzka, stać się może stałą i niezmienną podstawą prawideł w dziedzinie *Piękna i Dobra*. Obszerniejsze rozwinięcie tych w ogólnym tylko zarysie rzuconych myśli będzie przedmiotem późniejszych naszych studyów.

Dalszem przeprowadzeniem ogólnych zasad estetyki są prawidła pojedynczych sztuk pięknych, o których w przyszłości nawet chyba tylko okolicznościowo mówić mi wypadnie.

Organicznym rozwojem i zastosowaniem zasad etyki jest całe *prawodawstwo karne, cywilne, polityczne i polityczno-międzynarodowe*.

Filozofii jednak ułożonej w tak szeroko rozgałęziony system nie zrodził *duch ludzki*, jak *Zeus-Atenę*, odrazu już skończoną w pełni rozwoju. Przeciwnie oddzielała się ona z wolna od spekulacji kosmogonicznych o zakroju przyrodniczym, ulegała w rozmaitych okresach życia ludzkości spekulacyom religijnym i teozoficznym. W różnych czasach i miejscach uprawiano i rozwijano rozmaite powyżej wymienione działy filozofii, rozmaicie je uzasadniając i rozmaita do nich wagę przywiązując. I dotąd jeszcze nie jest i być nie może filozofia skończoną i zamkniętą w sobie nauką. Tak jęj daleko do ja-

kiegokolwiek zamknięcia że kiedy jedni w następujących po sobie systemach filozoficznych, widzą stopnie, po których duch ludzki wznosi się ku ideałom Prawdy, Piękna i Dobra, inni upatrują w tych coraz to odmiennych, mniej lub więcej ogólne uznanie zdobywających sobie wrzekomo zupełnie nowych systemach, zastępywanych znów innemi, tylko pracą Syzyfa, tylko błędne koło, tylko bezsilne szamotanie się w ciasnych granicach względności poznania naszego. Nie przesądżając czy pierwsi lub drudzy mają słuszność, nadmieniam, że ponieważ filozofia ciągle się tworzy i rozwija, że ponieważ rzeczywiście wracają w nią często do dawno znanych i na długo porzucanych myśli, nikt jęj prawdziwie nie zna, kto jęj nie poznał w jęj genetycznym rozwoju; „filozofia bowiem, wedle słów Schweglera, istnieje tylko w formie rozmaitych po sobie następujących czasowych filozofii“ czyli jak eufemistycznie i zwięzle, chociaż niezbyt ściśle wyraził się Cousin; „Filozofia jest historią filozofii.“ Tę samą myśl wypowiedział daleko umiejętniej Erdmann, utrzymując że „każdy system filozoficzny jest wynikiem poprzedzających i zawiera zaród następujących po nim.“ I te właśnie słowa Erdmanna zawierają najcenniejszą wskazówkę sposobu, w jaki nam pojmować należy historią filozofii. Oto najważniejszą dla kaźdoczesnego pokolenia jest chwila obecna i panujące w niej idee. Przedstawić genetyczny rozwój idei obecnych z idei przeszłych, nakreślić drogę ich postępu, pokusić się nawet o wykrycie zasad kierujących ich rozwojem, rzucić światło na idee, do których należy przyszłość, jest owym idealnym, trudnym do osiągnięcia celem, w przedstawieniu dziejów filozofii. Przekonany o tém, że nie zna filozofii, kto nie zna jęj genetycznego rozwoju, uważam za jedno z najważniejszych zadań studyów akademickich poznanie dokładne historyi filozofii.

ODSIECZ WIEDNIA

w bitwie walnej 12 września 1683 r.

Opowiedziana na podstawie źródeł współczesnych *).

PRZEZ

Leona Chrzanowskiego.

V.

Bitwa 12 września. — Pierwszy przygotowawczy okres bitwy od rana do południa: wstępne walki lewego skrzydła armii chrześcijańskiej (wojska cesarskie, saskie i korpus jazdy polskiej Lubomirskiego).—Skrzydło to wypiera przodowe oddziały tureckie z pod Kalenbergu, z Nussbergu i z Nussdorfu—zatrzymuje się przed Heiligenstadt i rozwija się na zdobytym równiejszym gruncie od Nussdorfu do Grinzingu przed prawym skrzydłem tureckim.—Centrum chrześcijańskie (wojska bawarskie, wirtemberskie, frankońskie i druga połowa jazdy cesarskiej) posuwa się zwolna naprzód bez boju, nie napotykając w pochodzie nieprzyjaciela—zatrzymuje się na linii od Grinzingu do Ober-Sieveringu. — Prawe skrzydło (wojska polskie) ciągnie pospiesznie z Hermanskoglu, Dreimarksteinu i Rosskopfu przez wzgórza i jary do wsi Pötzlein, na Schafberg i do Dornbachu, przedłużając linią bojową ku południowi i w bój wchodzi.

Nie zaświtał jeszcze na górach pamiętny dzień 12-go września, gdy wojska chrześcijańskie stanęły pod bronią na całej linii, ciągnąc się wzdłuż pasma gór, a kilka pułków pieszych, pozostałych w tyle z działami i wozami amunicyjnemi, ruszały z doliny Weidlingu ku

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za maj r. b.

gór szczytom ¹⁾). Król Jan, zaniepokojony ²⁾ wysłaniem przez Kara Mustafę kilkunastu tysięcy milicji i janczarów ku Kalenbergowi dla wzmocnienia przodowych oddziałów tureckich, stojących naprzeciw lewego skrzydła chrześcijańskiego, wyruszył przed świtem z namiotu, w którym nocował na prawym polskim skrzydle, jadąc wzdłuż linii wojsk chrześcijańskich, które przeglądał—udał się w towarzystwie kilku dowódców na lewe skrzydło, na Kalenberg. Przy ruinach klasztoru kamedulskiego, zabiegł królowi drogę ks. Lotaryński, elektor saski i Herman, margrabia badeński. W krótkiej rozmowie ks. Lotaryński zdał królowi sprawę z położenia rzeczy na lewym skrzydle i z rozporządzeń przez siebie wydanych.

Król, chcąc walną bitwę rozpocząć modlitwą do Boga, zsiadł z konia i poszedł ku murom klasztoru kamedulskiego, gdzie pod gołym niebem, przy ołtarzu, naprędce urządzonym, odprawił mszę spowiednik i przyjaciel cesarza Leopolda, kapucyn, Marek Aviano ³⁾, po-

1) Dyaryusz wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń.

2) List Sobieskiego 12 września.

3) Według kilku współczesnych pamiętników, mszę tę odprawił Marek Aviano przy murach klasztoru kamedulskiego pod gołym niebem, na południowym szczycie kalenberskim, który dzisiaj zowią wyłącznie Kalenbergiem. Natomiast bezimienny autor rękopismu: „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur,” twierdzi, że mszę odprawiono w kaplicy św. Leopolda na północnym szczycie Kalenbergu, nazywanym teraz Leopoldsbiergiem. Pokojowiec króla Jana, Dyakowski, w swoim „Dyaryuszu wiedeńskiej okazji” pisze: „Pobudziliśmy kapelanów, bębnow kilka oł piechoty przyniesiono i mense na nich pod dębem ustrojono. Pierwszą mszę miał dominikanin obserwant, Skopowski; drugą kapucyn, włosch...” Z całego opisu Dyakowskiego widoczna, że ołtarz na bębnach pod dębem ustrojony, t. j. ołtarz, o którym on pisze, był w pobliżu namiotu królewskiego i leż piechoty polskiej, od której bębny przyniesiono, a przeto był na prawym skrzydle, na Hermanskoglu. Przy tym ołtarzu odprawił mszę dominikanin Skopowski, zapewne wyłącznie dla wojsk polskich tam stojących. Ale drugą mszę odprawił Marek Aviano na Kalenbergu. Nie wspominają wcale o mszy ani Kochowski, ani bezimienny autor „Dyaryusza wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń,” bo ten oficer artylerji był na zachodniej pochyłości gór aż do południa 12 września, przyspieszając pochód artylerji polskiej z doliny Weidlingu. Natomiast Dupont (Du Pont), inżynier w wojsku polskim, będący podczas bitwy wiedeńskiej, wprowadznie na krańcu prawego skrzydła, zapisał w swych pamiętnikach, których rękopis znajduje się w bibliotece Raczyńskich: „Rano o czwartej godzinie król kazał urządzić ołtarz w spalonym kościele Kamedułów, gdzie Ojciec Marek d'Aviano, kapucyn, sławny w owych czasach na całe Włochy i Niemcy dla swój osobliwej pobożności, a który, przysłany przez cesarza, znajdował się przy ks. Lotaryńskim, odprawił mszę. Służył do tej mszy król sam, który, modląc się, trzymał ręce wzniesione, a potem komunikował tak, jako i ks. Lotaryński.” Królówicz Jakób w swoim krótkim dzienniczku

ważany wysoko dla swych cnót i rozumu. Mszy téj słuchał król kłę-
cząc, otoczony licznym gronem książąt i wodzów ¹⁾, oraz wojsk w po-
bliżu stojących, a ustawionych przed ołtarzem w wielkiem półkołu. Po
mszy miał król, odpowiednio ówczesnemu zwyczajowi, krótką przemo-
wę do obecnych dowódców wojsk polskich ²⁾.

Po nabożeństwie wodzowie pospieszyli do swych wojsk, a król

wyprawy wiedeńskiej (autograf w bibliotece książąt Czartoryskich w Krako-
wie), pisze: „12 Die Dominica mane ivimus ad monasterium Cameldulensium
in monte Calenberg situm, quo omnes Principes convenere.” Przewo-
dopodobnie tutaj przy klasztorze kamedulskim, a nie w kaplicy św. Leo-
polda na północnym szczycie góry (jak twierdził autor „Réponse”), czytał
mszę Marek Aviano, której słuchali król, wszyscy książęta i wodzowie zgro-
madzeni na wyprawę.

¹⁾ Na wyprawę wiedeńską wyruszyło z królem Janem i wojskiem wie-
lu znakomitych dowódców i senatorów polskich, których nazwiska wymieni-
łem, pisząc wyżej o rozłożeniu się wojsk polskich na noc z 11 na 12 wrze-
śnia. Oprócz zaś służących w wojsku cesarskiem książąt niemieckich, mia-
nowicie książąt: Lotaryńskiego, Lawenburskiego, Hermana badeńskiego, Lu-
dwika badeńskiego, wirtemberskiego, Waldeka, dwu Nowoburskich braci ce-
sarszowej i Eugeniusza Sabaudzkiego (był on wówczas pułkownikiem w pułku
dragonów, sformowanym przez swego brata, Juliusza, poległego pod Petronel),
przybyło na tę wyprawę, przedsiębraną przeciw turkom pod dowództwem słyn-
nego już wówczas wodza, króla polskiego, kilku książąt niemieckich jako
ochotnicy, jakoto: książęta Jerzy i Fryderyk hanowerscy, ks. Anhalt, dwaj ksią-
żęta holztyńscy, ks. Eisenach, ks. Hessen-Kassel; a z elektorem saskim ks.
Chrystyan saski, z elektorem bawarskim margrabia Beyreuth i t. d. To dało po-
wód Wolterowi do złośliwej uwagi, że „wówczas było pod Wiedniem całe cesar-
stwo, wyjąwszy cesarza.” Lecz ten poohlebca Fryderyka II nie wspomniał,
że brakowało także elektora brandenburskiego, który pomimo wezwań cesa-
rza, nietylko sam nie przybył na wojnę, ale i wojsk swoich nie posłał; aż
wreszcie na wezwanie króla Sobieskiego z 19 lipca 1683 r. (patrz Akta do
dziejów króla Jana III, t. VI, Kraków, 1883), aby odpowiednio warunkom
dawnych umów z Rzplłą przysłał, jako jój lennik, obowiązkowy kontyngens,
wyprawił elektor brandenburski 3,000 żołnierzy, którzy nadciągnęli nad Dunaj
12 października, gdy wojska chrześcijańskie wzięły już Ostryhoń.

²⁾ O przemowie króla Jana przed bitwą do wodzów i wojsk, wspomi-
na Kochowski w swoim „Komentaryuszu wojny,” zaś Franciszek Wagner
w dziele „Historia Leopoldi Magni, Caes. Aug. — authore Franc. Wagner —
Vindobona, 1719,” podał następującą osnowę przemowy Sobieskiego: „Nie-
przyjaciel, tam na dole stojący, choć liczny, jest tenże sam, którego pobiliś-
my pod Chocimem. Stoimy tu wprawdzie na obcej ziemi, ale sprawa, za
którą walczymy, nie jest nam obcą. W bitwie rozpoczynanej właśnie, idzie
nietylko o odsiecz Wiednia, lecz także o obronę granic naszej ziemi, o obronę
całego Chrześcijaństwa. Toczy się święta wojna, w której zginąć nawet słod-
ko. Bo nie za cesarza, ale za sprawę bożą walczymy. Bóg sprawił, że bez

Jan z księciem Lotaryńskim i Hermanem badeńskim pojechali spiesznie na północny szczyt Kalenbergu (Leopoldsberg), z kąd otwarty na całą okolicę widok, dozwalał przy wschodzącem słońcu rozpoznać szyki i ruchy wojsk nieprzyjacielskich. Wkrótce potem przed 6 godziną zgrzmiało z szczytu Kalenberga pięć strzałów armatnich: był to umówiony sygnał do rozpoczęcia działań na całej linii.

Lecz wprzód już zapalił się bój ogniowy na wschodniej pochyłości Kalenberga, niżej przyłącza, łączącego dwa szczyty tej góry, między dwoma batalionami pułku piezego cesarskiego „La Grana,” wysuniętego przez lewe skrzydło chrześcijańskie a oddziałem wojsk tureckich. Skoro tylko bowiem dzień zaczęło, spostrzegły wojska tureckie, rozłożone na Nussbergu, że wspomniane dwa bataliony piechoty kończą pośpiesznie sypać okop baterii na zewnętrznym brzegu lasu, pokrywającego część wschodniej pochyłości Kalenbergu; aby więc przeszkodzić ukończeniu baterii, ruszył oddział wojsk tureckich z Nussbergu i posunawszy się na północną pochyłość Kalenberga, rozpoczęła ogień do pułku La Grana. Generał Fontaine, dowodzący tymi dwoma batalionami, sprawiwszy je szybko w szereg bojowy, przyjął Turków żywym ogniem muszkietowym i czterech małych działek pułkowych, ustawionych już w baterii i zaczęła się utarczka ogniowa. Na rozkaz ks. Lotaryńskiego, który dostrzegł, że liczne oddziały tureckie posuwają się z Nussbergu za pierwszym hufcem, ruszył ks. Croy z kilku batalionami piechoty cesarskiej w pomoc gen. Fontaine, a połączywszy się z nim, posunął się naprzód ku Nussbergowi. Lecz w rozdole między Kalenbergiem a Nussbergiem, liczny oddział milicyi tureckiej zatrzymał postęp piechoty cesarskiej, której naczelnik, ks. Croy, ranny kulą w ramię, oddał chwilowo dowództwo generałowi Fontaine.

W tej właśnie chwili odezwało się pięć strzałów działowych z Kalenbergu, dając całej armii znak umówiony, aby posuwała się na przód. Ten sygnał dany był w samą porę na rozkaz króla Jana, który z ks. Lotaryńskim i margrabią badeńskim rozpoznawał z szczytu Leopoldsbergu stanowiska i ruchy wojsk tureckich. Wschodzące na pogodnym niebie słońce, rozpędziwszy lekkie mgły poranku jesiennego, unoszące się nad Dunajem, nizinami i płaskowzgórzami dokoła Wiednia, oświeciło połyskujące orężem szyki wojsk muzułmańskich. Można więc było dobrze widzieć, że wszystkie przodowe oddziały tureckie z Nussdorfu i z Nussbergu na prawem, a z Hernalsu na lewem skrzydle tureckim, ruszają, tu ku Kalenbergowi a tam ku Dornbachowi, i że w ogóle cała pierwsza linia w półksiężyc ustawionej armii muzułmańskiej, posuwa się ku górcom „Lasu wiedeńskiego.“ Król Jan, powtórzwszy polecenie, aby wojska lewego skrzydła i centrum chrze-

oporu weszlismy na to góry i już w połowie odnieśliśmy zwycięstwo. Stoimy nad głowami nieprzyjaciela — śmiało więc naprzód, a zwyciężymy w imię Boże!”

ściańskiego szły spiesznie naprzód, w celu opanowania poprzęzynanego pod górami terenu, zanim usadowią się tam silniej liczniejsze oddziały nieprzyjacielskie, pojechał na prawe skrzydło do wojsk polskich, aby przepieszać ich pochód ku Dornbachowi, gdzie, rozwinąwszy się i przedłużywszy linię bojową chrześcijańską, uderzyć miały na główne siły tureckie.

Przypatrzmy się później działaniom środka wojsk chrześcijańskich i pochodowi prawego polskiego skrzydła w tym pierwszym przygotowawczym okresie bitwy, a teraz śledźmy okiem dalszy na lewym skrzydle bój wojsk cesarskich i saskich, usiłujących wydobyć się z cieśni i wąwozów pod Kalenbergiem, zając Nussberg i Nussdorf i rozwinąć się tam na równiejszym gruncie.

Na rozkaz ks. Lotaryńskiego, ruszyła naprzód cała pierwsza linia wojsk lewego skrzydła. Ale z powodu przeszkód gruntowych, bardzo stromej pochyłości Leopoldsbergu, nie mogła ani iść jedną ławą, ani działać razem, lecz posuwała się w dwóch odłamach: jeden schodząc z Kalenbergu na wzgórze Nussbergu, drugi z za góry Leopolda drogą ponad Dunajem. Mianowicie dziesięć batalionów piechoty (pięć cesarskich i pięć saskich) i trzy spieszone (znaczy, że zsiadli z koni) pułki dragonów Heisslera, „Kuefstein“ i „Savoyen“ pod dowództwem ks. Ludwika badeńskiego, wsparły oddział generała Fontaine, walczący w przegubie gór między Kalenbergiem a Nussbergiem i poczęły posuwać się płaskim grzbietem Nussbergu, napierając przed sobą zwolna ustępujące oddziały tureckie. Równocześnie z jazdy cesarskiej, saskiej i polskiej Lubomirskiego, stojącej na krańcu lewego skrzydła pod górą Leopolda nad Dunajem, ruszyli pierwszą linię tworzący dragoni polscy Tetwina, pułk dragonów saskich i kilkanaście szwadronów jazdy cesarskiej generała Eneasza Caprari wybrzeżem dunajskim ku Nussdorfowi, kolumną głęboką lecz wąską we froncie, bo ściśniętą międzyrzeką a górami.

Kolumnę tę jazdy zatrzymała chwilowo piechota turecka, stojąca w rozwalinach wsi Kalenbergdörfel, zagradzającej przesmyk między górami a Dunajem; a wprzód już Oglu pasza pchnął od Nussdorfu przeciw dziesięciu batalionom piechoty i dragonom cesarskim, posuwającym się po lekkiej pochyłości Nussbergu, trzy silne kolumny wojsk. Środkowa główna z tych kolumn szła grzbietem Nussbergu, a rozwinąwszy się za drewnianymi parkanami, otaczającymi winnice, zatrzymała żywym ogniem pochód piechoty cesarskiej i saskiej, gdy dwie boczne kolumny tureckie, idące, jedna po prawej stronie Nussbergu wąwozami potoku Schreiber, druga jarem ciągnącym się od Kalenbergdörfel, oskrzydlały i z boku rażyły piechotę cesarską, która zaczęła się cofać pod naciskiem przeważnych sił nieprzyjacielskich. Lecz dragoni Heisslera i Ludwika badeńskiego, a z nimi ks. Eugeniusz Sabaudzki, rzucili się w jar widący do Kalenbergdörfel i wyparli zamtąd jedną z oskrzydlających kolumn tureckich. Tymczasem ks. Reuss, przybiegłszy z czterema nowymi batalionami saskimi na

pomoc cofającą się z Nussbergu piechocie cesarskiej i załamawszy swój front w prawo, zwrócił się czołem przeciw kolumnie tureckiej, idącej wąwozem Schreiberbachu i zatrzymał ogniem dalszy jej postęp. Równowaga w boju przywróconą tu została, ale z powodu zemknięcia się i skupienia batalionów saskich ku środkowi lewego skrzydła, gdzie się bój na Nussbergu toczył, powstał pusty odstęp między tém skrzydłem a centrum, złożonem z wojsk bawarskich i frankońskich, które prócz tego w tyle pozostało. W ten pusty odstęp mogli wcisnąć się turcy (gdyby silną kolumnę wojsk wystali wzgórzami po drugiej stronie Schreiberbachu), odciąć pierwszą linią lewego skrzydła chrześcijańskiego i pchnąć ją na Dunaj. Chcąc temu zapobiedz, ks. Reuss posłał oficera do dowódcy najbliższego oddziału piechoty frankońskiej, aby posunął się naprzód i wziął czucie do lewego skrzydła. Lecz dowódzca ten odrzekł, że nie może się ruszyć z miejsca bez rozkazu ks. Waldeck.

Tymczasem Oglu pasza pchał nowe siły w bój, bataliony cesarskie i saskie ustępowały z Nussbergu, i chwila była krytyczna zanim nadbiegły im w pomoc wyprawione przez ks. Lotaryńskiego z Kalenbergu, stojące tam w drugiej linii i w rezerwie pułki piesze cesarskie, prowadzone przez margrabiego Hermana badeńskiego i reszta piechoty saskiej pod dowództwem feldmarszałka Goltza.

Podczas téj walki na Nussbergu, kolumna jazdy idąca wybrzeżem Dunaju przełamała opór turecki w ciążninie naddunajskiej przy Kalenbergerdörfel, a chorągwie konne Lubomirskiego i jazda cesarska Eneasza Caprary pędziły cofających się Turków ku Nussdorfovi ¹⁾; gdy równocześnie margrabia Herman badeński i generał Goltz

¹⁾ Patrz współczesny plan bitwy, noszący nadpis: „Pianta della citta di Vienna assediata dell'armi Ottomane commandate da Carà Mustafà primo wisir li 14 Luglio 1683, difesa da quelle di S. M. C. sotto la directione et assistenza del general Staremberg, commandante, liberata dall'armata Christiana rimasta vittoriosa sotto il commando della maesta del re di Polonia gli 12 Settembre 1683.” — Plan ten narysowany wkrótce po bitwie pod Wiedniem przez bezimiennego rysownika, który brał w niéj udział, ofiarowany był, jak świadczy nadpis na jego rogu, Augustowi Ernestowi, biskupowi osnabrückiemu, zmarłemu r. 1698, którego krewny, ks. brunszwioko-lineburski, walczył w bitwie pod Wiedniem; sztychowany zaś był w Wenecyi u Jana Jakóba Hertza. Jeden egzemplarz tego planu znajduje się w bibliotece cesarskiej w Wiedniu. Tenże sam plan, lecz w mniejszym rozmiarze, zamieszczono w wydanej u Stefana Curti w Wenecyi r. 1687 „Historia degl'avenimenti dell'arme imperiali.”

Na planie tym jest oznaczony na krańcu lewego skrzydła wojsk chrześcijańskich hufiec jazdy, pędzący brzegiem Dunaju za Turkami, a pod tym hufcem napis: „Principe Lubomirski.” — W planie zaś narysowanym na wielką skalę i wydany w r. 1883 przez zakład wojskowo-geograficzny austriacki, nie oznaczono wcale na lewém skrzydle żadnego oddziału wojsk polskich, cho-

zdobywali Nussberg. Dragoni Heisslera i ks. Ludwika badeńskiego, stanowiący ogniwo pośrednie między piechotą posuwającą się grzbietem Nussbergu i jazdą postępującą brzegiem Dunaju, zsiadłszy z koni uderzyli od strony Nussbergu na Nussdorf, zastłonięty szańczykiem z czterema działami, lecz odparci zostali ze stratą. Jednak, gdy nieco później jazda Lubomirskiego i Caprary dotarła drogą nad-dunajską do Nussdorfu, a będący w tej jeździe dragoni polscy i cesarscy zsiadli z koni i natarli na Nussdorf od strony Dunaju, piechota zaś cesarska, doszedłszy Nussbergiem na wysokość Nussdorfu, odłamała w lewo parę batalionów, które zaatakowały Nussdorf od strony gór, dragoni Heisslera ponowili także atak i Nussdorf został zdobyty.

Wówczas wojska Oglu paszy, tworzące pierwszą linię prawego skrzydła tureckiego, cofnęły się za Heiligenstadt, odstawiając drugi liczniejszy zastęp tego skrzydła, rozwinięty na silnych stanowiskach w Heiligenstadzie i na wyżynach Döblingu pod dowództwem Kara Mechemeta paszy.

Obie części lewego skrzydła wojsk chrześcijańskich, to jest jazda Caprary i Lubomirskiego na brzegu Dunaju i piechota, cesarska i saska, zajmująca Nussberg, zepchnawszy z tych wzgórz korpus Oglu paszy wysunięty przed prawe skrzydło tureckie, połączyły się z sobą i całe lewe skrzydło armii chrześcijańskiej rozwinęło się na równiejszym nieco gruncie od brzegów Dunaju i Nussdorfu przez płaski grzbiet Nussbergu aż za potok Schreiber do Grinzingu. Nie śmiało atoli i nie mogło posuwać się dalej i rozpoczynać bitwy z masami tureckimi na gruncie przystępniejszym już dla jazdy tureckiej, stanowiącej trzy części wojsk muzułmańskich. Dodać tu winniśmy, że Dupont, inżynier służący w wojsku polskim, który całemu przebiegowi bitwy pod Wiedniem przyglądał się z szczytu gór Hermanskogel a następnie z Szafbergu, zapisał w pamiętnikach swoich następującą bardzo słuszną uwagę: „Pewną jest rzeczą, że to dotychczasowe powodzenie zawdzięczała piechota właściwości gruntu, na którym walczyła, a który nie dozwalał jeździe tureckiej przedsiębrać ataków, wykonywanych zwykle przez nią z strasznym zapędem“¹⁾.

Cokolwiekby, zatrzymały się na tej linii Nussdorf-Grinzing wojska cesarskie, saskie i jazda Lubomirskiego a znużone sześciogodzinnymi utarczkami i marszami (gdyż było to już blisko południa), spoczęły, czekając aż centrum wojsk chrześcijańskich, pozostałe nieco w tyle, dotrze na tę samą linię, a prawe skrzydło to jest wojska

ciaż znajdował się tam trzecztyśięczny korpus ks. Lubomirskiego i cztery chorągwie husarskie, dodane temu skrzydłu przez Sobieskiego, jak świadczą: „Ordre de bataille“ Sobieskiego, zapiski margrabięgo badeńskiego, rękopis o udziale wojsk saskich, rękopis „Réponse d'un officier“ i wszyscy prawie współcześni, opisujący tę bitwę.

¹⁾ Rękopiśmienne pamiętniki Duponta w bibliotece rogałińskiej.

polskie ukażą się na wyżynach przed Dornbachem i uderzą tam na Turków. Zdaje się nawet, że wodzowie wojsk lewego skrzydła, zważając na pierwotny zamiar powzięty wczoraj na radzie wojennej, że cały dzień 12 września spłynię na przygotowywanych walkach w celu zdobycia równiejszego terenu, na którym armia, rozwinąwszy się stoczy dopiero 13-go bitwę walną,—sądzili, że wojska ich spełniły na dzisiaj swoje zadanie, bo zdobyły równiejszy grunt i na nim się rozwinęły, a jak to samo uczynią centrum i prawe skrzydło, będzie można nazajutrz stoczyć bitwę walną z uszykowaną naprzeciw armią turecką.

Lecz wódz prawego skrzydła tureckiego, Kara Mechmet pasza, nie chciał dozwolić spoczynku lewemu skrzydłu wojsk chrześcijańskich. Przsunał rezerwy z Döblingu i zaczął swoje zastępy posuwać z Heiligenstadtu przez potok Nessel, aby wyprzeć z Nussbergu i pobić strudzone pułki cesarskie i saskie. Ukazanie się w tej właśnie chwili wojsk polskich na wzgórzach nad wsią Pötzlein i nad Dornbachem i uderzenie tam hufców Sieniawskiego na Turków, nie tylko wstrzymało atak Kara Mechmeta na cesarskich i Sasów, ale nadto na rozkaz wielkiego wezyra pociągnęła część wojsk muzułmańskich z Döblingu, to jest z prawego skrzydła tureckiego na lewe do Währingu, Hernalsu (ówczesne Hernalis) i Ottakringu ¹⁾, gdzie wielki wezyr koncentrował swoje siły przeciw wojskom polskim i Sobieskiemu.

Kara Mustafa pojmował bowiem dobrze, że tu główny cios zada lub otrzyma. Już przed bitwą zgromadził wielkie siły na swoim lewym skrzydle przed Dornbachem, na równinie hernalskiej, wiedząc dobrze, że gdyby nieprzyjaciel rozbił to skrzydło, a nawet gdyby tylko w tył je popchnął, w takim razie centrum i prawe skrzydło muzułmańskie muszą ustąpić bez boju lub będą odcięte. Od początku zaś bitwy wielki wezyr mało na to zważał co się dzieje na Nussbergu i przed Döblingiem, a niespokojnym okiem poglądał na wzgórze dornbachskie, bo otrzymał od hana tatarskiego wiadomość, że ztamtąd wysunie się niebezpieczny wróg—Sobieski z wojskiem polskim. Posłał więc silne oddziały dla wzmocnienia milicyi i janczarów, którym Ibrahim pasza kazał zająć wąwozy przed Pötzlein oraz lesiste wzgórza i winnice nad wąską doliną dornbachską, aby niedozwolić lub utrudnić jeździe polskiej wymarsz z tej doliny; gdy trzydziestotysięczny zastęp spahów i innej wyborowej jazdy zgromadził Kara Mustafa na równinie hernalskiej, zamierzając całą tą masą uderzyć gwałtownie na pierwsze chorągwie polskie, które wysuną się z ciałni i wąwozów. Sądził słusznie, że gdy tu przeważną siłą złamie głównego

¹⁾ Wspomina o tém nawet nieprzychylny polakom Herman badeński, a w „Mémoire Badois,” ułożonym z jego zapisków, czytamy: „Qui (les Turcs) s'estant apperçus de la marche des Polonois, faisoient marcher une partie des troupes opposées à nostre gauche, contre eux.”

wroga—króla Jana i jego husarzy—łatwo potem rozbije resztę nieprzyjaciół.

Przypatrzmy się teraz działaniom środka armii chrześcijańskiej podczas walk lewego skrzydła od rana do południa.

Wojska bawarskie, frankońskie, wirtemberskie i pułki jazdy cesarskiej, nocujące na górach Vogelsang i Lange, których skład i siły wskazaliśmy, opisując te stanowiska nocne, ruszyły z leż o 6-éj rano, gdy dano sygnał do rozpoczęcia działań. Ustawiwszy się w trzy linie, to jest w trzy poza sobą w pewnej odległości stojące zastępy, posuwały się zwolna te wojska szerokim frontem, poprzerywanym przeszkodami gruntu, po wschodnich położystych dość stokach Latisbergu i Vogelsangu. Lewą połowę każdej z trzech linii (lewy środek) stanowiły pułki piesze bawarskie i piechota z okręgów państwa niemieckiego, prowadzona naczelnie przez ks. Waldek, mając w pierwszej linii kilkanaście lekkich dział. Prawą połowę każdej linii (prawy środek), tworzyły pułki jazdy cesarskiej, bawarskiej i frankońskiej, pod naczelnym dowództwem ks. sasko-lawenburskiego, a w pierwszej linii szły tu pułki dragońskie: Schultz, Styrumb i Herbeville. Lewa połowa linii (piechota), ciągnęła przez Krapfenwald i lasy, gdzie teraz stoi zamek Cobenzl, po lewej stronie potoku reisenberskiego; prawa połowa zastępów (jazda) kierowała się ku wyższemu Sieveringowi. Z wojskami centrum szło kilkanaście dział polskich (a z niemi pułk pieszy polski Buttlera), które Kącki przyprowadził drogą z Weidlingu na przełęcz między Kalenbergiem a Nussbergiem, i które teraz posuwały się po położystej tu pochyłości gór, nie mogąc już przedostać się przez wąwozy na prawe polskie skrzydło. Ten cały środek armii posuwał się powoli, w miarę postępu lewego skrzydła walczącego na Nussbergu, a posuwał się bez boju, nie napotykając nieprzyjaciela, gdyż, jak wiemy, armia turecka uszykowana była w półksiężyc, mając skrzydła naprzód wysunięte, a środek w tył cofnięty w Weinhausie i w Währingu. Gdy czoła kolumn pierwszej linii przybyły na wysokość Grinzingu i zrównały się z frontem wojsk cesarskich i saskich, rozwiniętych już od Nussdorfu do Grinzingu, zatrzymały się, rozwinęły się w przedłużeniu téj linii na przestrzeni od Grinzingu do wyższego Sieveringu i spoczęły.

Wojska polskie ruszyły jeszcze przed godziną 6 rano z leż nocnych wyżej wskazanych. Ponieważ miały rozwinąć się w prawo to jest w stronę południową, przedłużając linię bojową, przeto musiały nie tylko posuwać się naprzód, ale nadto ciągnąć się w prawo. Nocujące na Hermanskogel chorągwie konne, które wyżej wymieniłem i trzy lewoskrzydłowe brygady piechoty polskiej, prowadził Sieniawski przez góry lasem okryte około „Neustift am Walde,“ kierując jedną część ku wsi Pützlein, drugą na górę Schafberg, wznoszącą się po lewej, północnej stronie wąwozów dornbachskich. Jazdę poprzedzały pułki piesze polskie i batalion piechoty frankońskiej. Za tym korpusem wojsk polskich prowadził z wielką trudnością kilkanaście

dział pułkownik artylerji Fink. Przy spalonych budynkach Neustiftu napotkała piechota polska pierwsze posterunki tureckie i szybko je wyparła; następnie starta się z oddziałem janczarów i pieszej milicyi tureckiej, osadzającym wężoz przy źródłach Krotenbachu i rozpoczął się tu bój należący już do drugiego okresu bitwy.

Równocześnie rano wyruszył hetman Jabłonowski z głównymi siłami polskimi z nocnych ich stanowisk między Dreimarksteinem a Rosskopffem i po wschodnim stoku tych gór, a następnie wązkiemi dolinami, w których płyną Dornbach i Alsbach, ciągnął z jazdą. Jazdę tę, idącą w dolinach dwoma kolumnami, poprzedzały cztery prawoskrzydłowe brygady piechoty polskiej, które szły górami po obu stronach wspomnianych dolin, pędząc przed sobą patrole tureckie ¹⁾. Wraz z pułkami piechoty polskiej, posuwały się górami po północnej stronie doliny Alsbachu cztery bataliony piechoty niemieckiej, dodane prawemu skrzydłu, dążąc na górę wznoszącą się po prawej stronie wsi Dornbachu, a zwaną dzisiaj „Galizinberg.“ Rafał Leszczyński z chorągwiemi lekkimi, okrążywszy tę górę po południowej stronie, pędził przed sobą gromady tatarów.

W południe wysunęły się z lasów na Szafbergu i na wzgórzach nad wsią Pötzlein czola hufców polskich. Na widok ukazujących się na tych wyżynach barwnych proporców jazdy polskiej, zagrzmiął okrzyk radości wzdłuż szeregów niemieckich i cesarskich, spoczywających na całej linii od Nussdorfu przez Grinzing do Ober-Sieveringu i spoglądających z niepokojem na wzgórze, na których miały się ukazać wojska polskie. Okrzyk ten był tak rozgłośny i powszechny, iż zdziwił i przeraził muzułmanów ²⁾. Z tym okrzykiem radości chwycili za broń spoczywający żołnierze i bez rozkazu biegli do walki przeciw znieawidzonemu niewiernym. Jednak dowódcy wstrzymali zapał

¹⁾ Kto zna górzystą, głębokiemi dolinami i wązozami przerniętą okolicę na północ i zachód Dornbachu, pojmie, jak dzielną i przywykłą do trudów musiała być jazda, która, przeszedłszy przez te góry i jary, weszła zaraz w bój, jak to ujrzymy, i wykonywała szarże przez winnice, otoczone rowami lub niskiemi murami, a bronione przez janczarów.

²⁾ W „Mémoire Badois” ozytamy: „... Nos généraux trouvoient bon de faire halte en attendant l'arrivée des Polonais, dont le camp estant un peu esloigné, ils ne purent sy tost descendre. On s'y arresta plus d'une bonne demi heure avec beaucoup d'impaticnoe, de sorte que chacun ayant le visage tourné de ce costé, et voyant tout a coup paroistre les petits estandarts que la cavallerie polonoise porte attachés à leurs lances, on entendit un cri si formidable de nos troupes, que les Turcs postés à nostre face mesme parurent en estre émus. Les soldats couches en partie sur leurs armes pour se délasser, se levèrent avec précipitation sans tambours n'y commandement, mesme on fust obligé à faire retourner à coup de platte espée ceux qui par trop d'animosité se débandoient en foule pour aller aux ennemis.”

żołnierzy, gdyż centrum i lewe skrzydło wojsk chrześcijańskich nie zamierzało rozpocząć bitwy, aż czoła kolumn polskich wyprą przodowy korpus turecki z wąwozów, wzgórzy i winnic przed wsią Pötzlein i przed Dornbachem, pchną w tył pierwszą linią lewego skrzydła tureckiego na równinę Hernalsu i całe wojsko polskie rozwinie się na zdobytym gruncie, przedłużając linią bojową. Ujrzymy wkrótce, jak w zaciętych walkach spełniły świetnie to trudne zadanie pułki piechoty polskiej i chorągwie jazdy Sieniawskiego.

VI.

Drugi okres bitwy od południa do godziny 2-giej: wstępne walki prawego skrzydła armii chrześcijańskiej, to jest wojsk polskich.

(Pułki piesze polskie, idące na czele kolumn Sieniawskiego, wypierają janczarów i milicją turecką z jarów i wsi Pötzlein — rozwijają się na położystych przed tą wsią wzgórzach. Jazda Sieniawskiego wchodzi w pierwszą linię — chorągiew królewicza Aleksandra wykonywa rekonesans par force — szarża chorągwi Potockich i Modrzewskiego rozbija przodowe zastępy spahów — pędzi dalej w środek mas jazdy tureckiej, zgromadzonej w drugiej linii — Stanisław Potocki i Modrzewski giną — chorągwie przeredzone cofają się. Druga szarża kilkunastu chorągwi pod dowództwem Miączyńskiego wyraca i pcha w tył całą pierwszą linią spahów... Lecz w. wezyr z wszystkimi zastępami jazdy, zgromadzonemi na lewém skrzydle, posuwa się naprzód... Podczas tych walk hufców Sieniawskiego, wysuwają się główne siły polskie z dolin Dornbachu i rozwijają się na zdobytych podgórzach — na widok ten wstrzymują się w pochodzie wojska otomańskiego... Król Jan spostrzega wabanie się mas tureckich i daje rozkaz uderzyć na nie zaraz wszystkimi siłami).

Gdy czoła kolumn jazdy Sieniawskiego wychylały się w południe z lasów na Schafbergu i na wzgórzach przed „Neustift am Walde,“ idące przed tą jazdą w pierwszej linii pułki piechoty polskiej rozpoczęły już żywą walkę z milicją turecką i janczarami, którzy usadowili się w silnych stanowiskach na przestrzeni między Neustiftem, źródłami Krotenbachu i wsią Pötzlein a doliną dornbachską, na wzgórzach poprzeżynanych głębokimi jarami, okrytych krzakami i winnicami. Kiedy więc na lewém skrzydle wojska cesarskie, zdobywszy przed południem Nussberg i Nussdorf, a w centrum-pośiłkowe niemieckie doszedłszy do Grinzingu i Ober-Sieveringu, zatrzymały się w południe i spoczywały, wówczas na prawém skrzydle, na poszarpanym wąwozami podgórzem przy wsi Pötzlein, na małym Schafbergu i przed Dornbachem coraz żywsza zapalała się walka.

Bój tu toczyły pułki piesze polskie ¹⁾, idące przed kolumnami husarzy i pancernych, wypierając janczarów i pieszą milicją turecką z jarów, z rozwalin wsi i obmurowanych winnic. Następnie gdy ta piechota polska dotarła na położystsze nieco wzgórze, weszły zaraz

¹⁾ Ówczesne piesze pułki polskie, chociaż niektóre licho ubrane i wyglądające niepozornie przy wspaniałych a dzielnych chorągwiach husarskich i pancernych, były wojskiem mężném, wytrwałém w niebezpieczeństwach, wytrzymałem na trudy, głód i znoje. Wprawdzie na kartach dziejów wojen ówczesnych zapisano daleko więcej faktów, wykazujących dzielność jazdy narodowej, świetne czyny husarzy i pancernych, których uderzeniom oprzec się nie mogły ani najtęższe zastępy szwedzkie, ani z fanatycznym zapalem pędzące hufce spahów; jednak historia tych wojen podała nam także mnóstwo dowodów mężstwa i waleczności pułków pieszych. Nie ma tu miejsca przytaczać faktu z różnych wojen; zamieszczę tylko parę świadectw, danych téj piechocie przez uczestników wyprawy wiedeńskiej. Gdy przy przejściu wojsk polskich przez Dunaj pod Tuln, przyglądali się wraz z królem Janem niemieccy dowódcy chorągwiom i pułkom, idącym do mostu, radził ks. Lubomiski królowi, aby źle ubranym pułkiem piechoty rozkazał w nocy przez most przechodzić. Nie zgodził się na to król, a pokazując obcym wodzom licho ubranych żołnierzy, rzekł: „te waleczne pułki przysięgły, iż zdobędą sobie lepsze odzienie na nieprzyjaciela.“ Znacomity oficer artylerji polskiej, autor „Dyaryusza wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń,” w dziełku swém wychwala waleczność pułków pieszych. — Dalerac, który kilka lat przebywał w Polsce jako dworzanin króla Jana, a powróciwszy do Francji w r. 1691, wydał w Amsterdamie w r. 1699 swoje „Mémoires secrets du règne de Jean Sobieski,” chociaż w tém dziełku pisze często z francuzką zarozumiałością o własnych, a z lekceważeniem o obcych polskich instytucjach, zwyczajach i ludziach, jednak oddaje pochwały mężstwu i wytrwałości piechoty polskiej. Miał zaś sposobność poznać z bliska jéj przymioty w długiej wojnie tureckiej przed pokojem żurawińskim (zawartym r. 1676) i w kampaniach polsko-tureckich 1685 i 1686 r., a także podczas wyprawy wiedeńskiej, gdyż dwukrotnie jeździł z Krakowa z listami królowej i dygnitarzy polskich do króla, do obozu nad Dunaj, pod Komorno i pod Ostryhoń i z odpowiedziami królewskimi napowrót do Krakowa. Pisze on w swém dziełku o ówczesnej piechocie polskiej: „Ces soldats déchires comme j'ai dit... sont néanmoins d'une fermeté inconcevable. Ils résistent à toutes les incommodités, à la nudité, à la faim, avec une constance héroïque; suportent tout le faix de la guerre, et en esseyent tous les dangers; jusques là que j'ai vû l'infanterie faire l'arrière-garde en plaine dans des retraites dangereuses, où les Tartares talonnoient l'armée de près, pour couvrir la gendarmerie polonoise, qui pronoit les do vans sans façon. J'ai vû ces soldats mourant de faim, accablés de lassitude, se coucher à terre pour charger leurs mousquets, qu'ils portoient à peine, et dont néanmoins ils tiroient incessamment. A la verité, cette milice ne fait pas honneur, à voir sa misère, si disproportionnée de l'état brillant de la gendarmerie; mais elle fait le service et le salut de l'armée, dont l'autre n'a

w bój czołowe chorągwie jazdy Sieniawskiego i uderzyły na zastępy spahów lewego skrzydła tureckiego, usiłując rozbić je i pchnąć w tył ku Wiedniowi, w celu, aby na zdobytém podnóżu gór rozwinęły się główne siły polskie. Zaledwie przeto przebrzmiał na Nussbergu okrzyk radości, z którym zerwali się spoczywający żołnierze cesarscy i niemieccy na widok proporców polskich ukazujących się na wyżynach Schafbergu i z lasów Neustiftu, gdy na prawem skrzydle zaczął rozlegać się coraz głośniejszy łoskot ognia muszkietowego, któremu później huk dział zawtórował.

Przypatrzmy się bliżej przebiegowi tych wstępnych walk na prawem polskiem skrzydle.

Przodowe pułki piesze polskie, idące w pierwszej linii przed lewą kolumną jazdy Sieniawskiego, napotykają przy ruinach Neustiftu mały oddział milicyi tureckiej ¹⁾. Ten cofa się szybko ku wąwozom, które niedaleko źródeł Krotenbachu przecinają z ukosa drogę piechocie polskiej. Janczarowie zajmujący te wąwozy witają piechotę polską gęstemi strzałami z janczarek. Żywy z obu stron rozpoczyna się ogień muszkietowy. Lecz nadchodzą dalsze kompanie piechoty polskiej—janczarowie pod ich ogniem cofają się z wąwozów i odstrzeliwując się, ustępują przez wzgórce winnicami pokryte ku zwaliskom wsi Pötzlein, łącząc w dolinie wąskiej, która znów przecinała z ukosa drogę postępu kolumnom polskim. W téj dolinie, w zwaliskach wsi, a w winnicach na wzgórzach po drugiej, wschodnio-południowej stronie doliny, stał inny oddział piechoty tureckiej.

Pułki piesze polskie, przeszedłszy wąwozy przy źródłach Krotenbachu, posuwają się wśród ciągłego ognia muszkietowego, za ustępującymi z wolna janczarami. Lecz dowódcy tych pułków spostrzegają, że na ich lewym boku, a nawet nieco w tyle, w głębokich wąwozach, w których płynie Krotenbach (Kroatenbach), toczy się bój uporczywy. Strzelały się tam z janczarami spieszone pułki dragonów cesarskich „Schultz“ i „Styrumb,“ idące przed kolumnami jazdy cesarskiej i bawarskiej, prowadzonemi przez ks. sasko-lawenburskiego, które chcia-

fait que l'ornement. Quoique cette armée soit nommée étrangère, elle est cependant composée de gens du pays... sur le pied étranger.”

Tysięczne fakta w różnych wojnach, a także w bitwie wiedeńskiej, wykazały dowodnie, że niesłuszną była powyższa przymówka Daleraca „żandarmeryi” (gens d'armes, tak wówczas we Francyi zwano jazdę wyborową z szlachty złożoną), to jest husarzom i pancernym, najdzielniejszej jeździe ówczesnej, jak to zgodnie poświadczają swoi i obcy, którzy ją w działaniu widzieli, a nawet sam Dalerac w innym ustępie swych pamiętników. Dalerac w sądach swoich często powoduje się urazami osobistemi, a taką miał do husarzy i wogóle do szlachty polskiej, a także do swego rodaka w służbie królewskiej, inżyniera Duponta, któremu w dziełku swoim czyni ostre zarzuty, nie wymieniając jego nazwiska.

¹⁾ Patrz załączony (w zesż. za maj r. b.) plan Wiednia i okolicy.

ły posuwać się naprzód w miarę postępu prawego skrzydła polskiego. W tej walce z janczarami, tracili dragoni cesarscy wiele ludzi a nie mogli wyprzeć przeciwnika z stanowiska silnego, gdyż janczarowie usadowili się w wąwozie w zwaliskach domów i kościoła i umieli, jak zwykle, korzystać wybornie z zasłon naturalnych. Zatrzymało to nie tylko postępek kolumn jazdy cesarskiej, tworzącej prawe centrum armii chrześcijańskiej, ale także pułki piesze polskie na wzgórzach przed Pötzlein nie mogą posuwać się naprzód, bo nie mogą pozostawiać na swęj lewej flance nieprzyjaciela w silnym stanowisku.

Król Jan, który właśnie wówczas przyjechał od Neustiftu do piechoty polskiej, daje rozkaz dwom jej brygadam zwrócić się w bok na lewo i wyrzucić janczarów z wąwozów Krotenbachu. Ochoco ruszają cztery pułki polskie i szybko, choć z znaczną stratą, wypierają janczarów z doliny i ścigają cofających się na przeciwległe wzgórze ¹⁾.

Równocześnie trzecia lewo-skrzydłowa brygada piechoty polskiej (a zapewne także idący wraz z nią batalion piechoty frankońskiej) idzie naprost z wyżyny przed Pötzleinem w dolinę do tej wsi, wypędza z niej piechotę turecką, wdziera się do winnic na pagórki po wschodnio-południowej stronie doliny i wraz z innymi dwoma brygadami rozwija się za rowami i przymurkami opasującymi winnice.

W tych potyczkach brał udział (obok innych lewoskrzydłowych pułków piechoty polskiej) pułk pieszy Sieniawskiego, i tu zapewne śmiertelny postrzał otrzymał dzielny dowódzca tego pułku Aswerus ²⁾.

¹⁾ Tę utarczkę tak opisuje oficer artylerji polskiej w „Dyaryuszu wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń:“ „Tam strzelali się janczarowie z generała Schultza regimentem, opanowawszy dolinę, w której wioska spalona i kościółek. Zginęło niemało Niemców i oficerów i żołdatów. Król JMC. posłał do naszych regimentów, żebyśmy szli prosto na Turków. Tak tedy Pan Bóg pomógł, że dwie brygady, które poszły w lewo, zaraz ich wypędziły z tej doliny i jednymże zawodem poszły na górę, z której Turcy ustąpili, a myśmy na samym wierzchołku góry przy rowach i przy murku zajęli miejsce... Poszły także inne regimenta nasze... W tym naszym spędzeniu Turków zginęło nam niemało ludzi i nastrzelano siła; ale ochoty żołnierzy, którzy na oślep szli jak do tańca, wstrzymać żadną miarą nie mogli.“

²⁾ W żadnej z urywkowych notatek, spisanych przez świadków bitwy, w żadnym współczesnym opisie różnych oderwanych ustępów i scen tego wielkiego dramatu wojennego, — z których to urywkowych zapisków i rozerwanych opisów układam, jakby mozaikę, niniejszy obraz bitwy — nie wymieniono ani miana dzielnych pułków piechoty, które wzięły udział w tych krwawych potyczkach, ani nazwisk ich dowódców. Lecz autor „Dyaryusza wyjazdu“ wspomniał, że to były lewo-skrzydłowe brygady piechoty, z „Komentarzusa“ Kochowskiego wiemy jednak, z których pułków pieszych składały się lewo-skrzydłowe brygady i znamy nazwiska dowódców tych pułków. Były to pułki: Tomasza i Marcina Zamoykich, Hieronima Sieniawskiego, Stanisła-

Posuwające się za pierwszą linią piechoty chorągwie hussarskie i pancerne pod dowództwem Sieniawskiego, przepawiły się przez wspomnianą głęboką dolinę Pötzleinu, a wybiegłszy na przeciwległe pagórki, na których grzbiecie stała za przymurkami winnic rozwinęta piechota polska, wstępują w pierwszą linią bojową i szykują się wśród winnic w miejscach więcej otwartych, w odstępach między pułkami piechoty. Hufce jazdy polskiej, które tu dotarły, mają przed sobą położystszy już ku Wiedniowi stok wzgórz a następnie równinę, na której brzegu u stóp wzgórz stały liczne zastępy spahów, tworzące pierwszą linią jazdy tureckiej, gotowe wpaść zaraz gwałtownie całą masą na jazdę nieprzyjacielską, która małemi tylko oddziałami i wąskim frontem mogła wysuwać się z pomiędzy winnic na równinę. Gromadki janczarów, usadowiwszy się za ostatnimi przy równinie przymurkami winnic przed frontem spahów, utrudniały jeszcze atak jeździe chcąc wypaść z pomiędzy winnic. Było więc możliwe, ale bardzo jeszcze trudne pole do działania dla jazdy polskiej. Jednak dzielne chorągwie Sieniawskiego gotują się uderzyć na przodowe zastępy spahów, ustawione na brzegu równiny, aby pchnąć je w tył i zdobyć równiejszy i otwartzszy grunt, na którym mogłyby się rozwinąć główne siły polskie, prowadzone przez hetmana Jabłonowskiego, a zaczynające już wysuwać się w tej chwili z wąwozów dornbachskich, z których wypierają piechotę turecką idące tam w pierwszej linii prawoskrzydłowe brygady piesze polskie pod dowództwem Ernesta Denhofa, kasztelana wileńskiego ¹⁾).

Lecz król Jan zanim dał rozkaz do ataku hufcom Sieniawskiego, postanowił, odpowiednio ówczesnej taktyce, pchnąć jedną wybraną chorągiew husarską między zastępy nieprzyjacielskie, aby zbadać lepiej grunt i rozpoznać dokładniej rozłożenie sił tureckich. Na ten rekonesans „par force“ wybrał chorągiew królewicza Aleksandra. Porucznikowi Zbierchowskiemu, który prowadził tę chorągiew, wskazał król mały czerwony namiot, który niedawno rozpięto wśród ogromnych mas jazdy tureckiej zgromadzonych w drugiej linii na równinie Hernalsu i Währingu, a który to namiot wskazywał, że tam wielki

wa Guińskiego, Jana Denemarka, Krausera, Andrzeja Potockiego, które prowadzili do boju: Tomasz Zamoyski, Aswerus, Wilhelm Dobszyc, Denemark, Krauser, Kożuchowski, Domaradzki. Te trzy niekompletne brygady piechoty mogły mieć ogółem około 2,500 żołnierzy. Czwarta, a raczej pierwsza lewo-skrzydłowa brygada piechoty Marcina Kąckiego, pod dowództwem pułkownika Buttlera, szła nieco w tyło przy działach; mianowicie jeden pułk z działami za kolumną Sieniawskiego, drugi konwojował działa polskie, idące, jak widzieliśmy, przez Vogelsang z kolumną jazdy cesarskiej i bawarami.

¹⁾ Przypominam, że pod Denhofem tymi prawo-skrzydłowymi pułkami pieszemi dowodzili: Stanisław Morsztyn, Bernefier, Waclaw Szczuka, Eliaszk Łącki, Franciszek Lanckoroński, Żórawski, Greben, Gutry, Otto Seswegier.

wezyr się znajduje ¹⁾. Otóż ku temu namiotowi ma dotrzeć chorągiew wybrana, a następnie starać się powrócić inną drogą do swoich.

Hufiec wybrany (eliery) zbiega szybko ze wzgórza, a zniżywszy kopie, z okrzykiem: Jezus! Marya! pędzi między zastępy pierwszej linii spahów, które zdziwione nie rzuciły się nań, mniemając może, że ten hufiec do nich przechodzi. Chorągiew pędzi dalej—dobiega do drugiej linii tureckiej, gdzie wśród ogromnych zastępów jazdy stał wielki wezyr pod owym małym czerwonym namiotem. Po krótkim starciu z zaskakującymi mu drogę hufcami tureckimi, w którym kilkadziesiąt walecznych towarzyszy pada, zbacza chorągiew w prawo i ścigana przez Turków wraca, wzdłuż frontu ord tatarskich, przypatrujących się spokojnie pędzącej chorągwi, przez równinę Ottakringu do swoich ku Dornbachowi. Lecz niestety czwarta część walecznych poległa na polu chwały.

Król Jan śledził przez lunetę ruchy nieprzyjacielskie i obroty wybranej chorągwi, a gdy zakryły ją tumany kurzawy wzbitej kopytami koni, wznosił Sobieski ku niebu krzyż, który miał zawieszony na piersiach, błagając opieki Boga dla walecznego hufca ²⁾.

Gdy Zbierzchowski wracał z swym wybranym hufcem, król dał rozkaz Feliksowi Potockiemu, wojewodzie krakowskiemu, aby z kilku chorągwiami husarzy i pancernych, stojącymi na wzgórzach przed

¹⁾ Mały namiot barwy krwi, rozpinali niekiedy Turcy podczas bitwy wśród wojsk ponad wielkim wezyrem. Ten namiot czerwony bojowy, rozpięty nagle w czasie bitwy wśród wojsk otomańskich, skupionych na równinie, gdzie dzisiaj leży Währing i Hernals, odróżnić należy od wielkiego i wspaniałego namiotu wezyrskiego, który stał w środku głównego obozu tureckiego, w miejscu, gdzie dzisiaj leży plac ćwiczeń wojskowych, Szmelz, a raczej trzeba go odróżnić od namiotów wezyrskich, gdyż była to cała gromada namiotów dla wezyra, jego żon, dworzan i służby. Te namioty wezyrskie w obozie, urządzone z wygodą i przepychem, jak to poświadcza król Jan w swych listach i liczne opisy współczesne, były barwy zielonej ze złotem i dotychczas przechowana jest ich część. Powrócę jeszcze do nich, opisując zdobycie obozu.

²⁾ Nie jest dobrze wyjaśniony ten ustęp bitwy, ten rekonesans chorągwi Zbierzchowskiego, choć wspomniany przez wielu współczesnych, a przez Dyakowskiego w jego „Dyaryuszu okazyi wiedeńskiej“ opisany niby szczerze, lecz z mnóstwem nieprawdopodobnych dodatków i plotek. Wspomnieć tu winienem, że przytoczone przez Dyakowskiego podejrzenie, jakoby król Jan posłał ten hufiec na zgubę i zakazał mu dawać pomocy, dla tego, że nie lubił p. Wojny, jednego z towarzyszy, służących w tej chorągwi, należy do śmiesznych plotek, których jest dosyć w tym dyaryuszu. Chociaż Dyakowski spisał swój „Dyaryusz“ po śmierci króla, jak to koniecznie „Dyaryusza“ wskazuje, jednak ten pokojowiec królewski, który był na wyprawie pod Wiedniem, opowiadał zapewne wprzód niejednokrotnie o bitwie wiedeńskiej plotki z prawdą zmieszane, co doszło do uszu króla Jana, bo tenże w r. 1688 wyrzekł, że o wyprawie wiedeńskiej „Dyakowski ladaco plecio.“

Pötzelein, spędził zastępy jazdy tureckiej rozwinięte w pierwszej linii u stóp wzgórzy. Wojewoda na czele chorągwi husarskich i pancernych swoich i brata swego Andrzeja, kasztelana krakowskiego, a z nim Stanisław (starosta halicki) i Dominik (podkomorzy halicki) Potoccy, oraz Modrzewski, podskarbi nadworny, z swemi chorągwami pancernemi ¹⁾, przebiegają między winnicami pod ogniem janczarów, strzelających z za parkanów i rowów, i zbiegłszy na równinę uderzają pędem na przodowe hufce spahów. Rozbite dzielnym atakiem spahy pierzchają ku ogromnym zastępom jazdy tureckiej, tworzącym drugą linią, pędzące za nimi hufce Potockich i Modrzewskiego wpadają śmiało w toń jazdy tureckiej. Waleczni husarze i pancerni, wywróciwszy kopiami pierwszy szereg turecki, o który kopie się skruszyły, rąbią mieczami... Lecz zapędziwszy się za daleko, napróżno usiłują przebić skupione masy jazdy tureckiej. Tłumy bitnych spahów, gwardye wezyrskie prą ich z czoła; ściągane przez Kara Mustafę z całej linii bojowej przeciw prawemu polskiemu skrzydłu hufce tureckie ²⁾, spieszące właśnie z Döblingu, wpadają z boku i z tyłu na te chorągwie, które zuchwale zagnaty się w środek wojsk tureckich. W zaciętym boju pada młody Stanisław Potocki; obok swego rotmistrza pada 17 towarzyszy i wielu pocztowych z tej jednej chorągwi ³⁾, pada Modrzewski, wsta-

1) Ogółem przeszło 1,200 do 1,300 wyborowych żołnierzy. Co do składu i dowódców tych chorągwi, patrz wyżej opis stanowisk wojska polskiego w nocy z 11 na 12 września.

2) Że wezyr wszystkie swoje wojska zgromadził po 12 godzinie przeciw prawemu skrzydłu chrześcijańskiemu, t. j. przeciw wojskom polskim, twierdzą zgodnie tak polscy jak i niemieccy dowódcy i uczestnicy bitwy. I tak król Jan (który w listach swoich do żony, opowiadając o wypadkach wojny tureckiej, objawił wielką bezstronność i skromność co do siebie i wojsk swoich, a sprzymierzeńcom oddawał pochwały gdzie tylko była sposobność, może nawet pochwały przesadzone) napisał nazajutrz po bitwie w liście datowanym z namiotów wezyrskich 13 września, że wezyr „wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził, tak, że środek i lewe skrzydło nie miały nic do czyuienia.“ Margrabi Herman badeński, dowodzący pierwszą linią lewego skrzydła chrześcijańskiego, t. j. wojsk cesarskich w pamiętniku swoim wspominał: „qui (c'est a dire, les ennemis) s'étant aperçus de la marche de Polonois, faisoient marcher une partie des troupes opposées à notre gauche, contre eux.“ W rękopiśmie: „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur à un général espagnol,“ oficer ten wojsk cesarskich, którego więcej o niechęć niż o stronniczość dla wojsk polskich obwinąć można, opisał, iż od godziny 12 gromadziły się wszystkie siły tureckie z całej linii bojowej przeciw prawemu skrzydłu chrześcijańskiemu, jak tylko na tém skrzydle na wzgórzach przed Neustiftem ukazały się wojska polskie. Ten ustęp listu przytoczę, gdy opowiadać będę uszykowanie się obu armii do stanowczego boju.

3) „Commentarius“ Kochowskiego,

wiony w bitwie pod Chocimem, ginie wielu walecznych towarzyszy z dzielnych chorągwi krakowskich. Pozostali muszą cofać się, pędem ścigani przez jazdę turecką ¹⁾).

Lecz podczas błyskawicznego przebiegu téj walki, Sieniawski posyła w pomoc hufcom Potockich, kilkanaście chorągwi jazdy narodowej, które drugą kolumną posuwały się za piechotą po pochyłości Szafbergu. Miączyński prowadzi te chorągwie do boju. Wysunąwszy się z pośród krzaków i winnic, rozwijają się szybko husarze i pancerni na otwartzéj nieco przestrzeni, a sadząc przez rowy i płoty, choć powitani salwą 16 dział tureckich, stojących tu u stóp podgórze, uderzają gwałtownie na tłumy spahów, które ścigały cofający się hufiec Potockich. Spahy zatrzymani w pogoni, rozbici, rozpryskują się na boki. Falanga Miączyńskiego, roztrzaskując tłumy, zaskakujące jéj drogę, pędzi daléj naprzód—uderza znów na dalsze liczne zastępy tureckie, które ją otaczają i prą całym ciężarem ogromnych mas wojska posuwających się naprzód.

Wielki wezyr i stary Ibrahim pasza, pojmując bowiem oddawna niebezpieczeństwo, gdyby najgroźniejszy nieprzyjaciel, król Jan i jego wojska, zdołał wysunąć się z wąwozów i ciałnin i pchnął w tył lewe skrzydło tureckie, odcinając resztę armii otomańskiej między Währingiem a Dunajem stojącą, chwytają tę chwilę, aby ogromną siłą przewagą zgnieść przodowe hufce Sieniawskiego i nie dopuścić, iżby główne siły polskie wydobyły się z dolin Dornbachu na równinę. Posuwają się więc naprzód wszystkie wojska lewego skrzydła tureckiego, na którém w trzy linie zastępów zgromadził Kara Mustafa blisko sto tysięcy żołnierzy. Okrzyki allah! allah! z sto tysięcy piersi zgłuszają nawet chwilowo huk strzałów ²⁾).

¹⁾ W Kochowskiego „Commentarius belli“ czytamy: „Ceodit hic Stanislaus Potocki, Haliciensis Praefectus, Andreae Castellani Cracoviensis Filius, nuper e Galliis redux, ingenio ac indole egregius, vel morte ipsa demum felix; cum nec rarum, nec recens sit, Potociis pro Patria sanguinem fundere... Idem fatum subit Andreas Modrzewski, curiae regni thesaurarius.“ Króléwicz Jakób w swoim „Dyaryuszu“ wspomniawszy, że w boju z przemagającymi siłami tureckimi kilku chorągwi husarskich, które się zadaleko za pierzchającymi turkami zagnały, zginął starosta halicki, dodaje: „Vix Dominus Podkomorzy (Dominik Potocki) efugit.“

²⁾ O tym zaczepnym zwrocie wszystkich sił tureckich przeciw prawemu skrzydłu polskiemu, a raczéj pierwszej jego linii, za którą reszta sił polskich rozwijać się zaczęła, wspominają: Herman badoński w swych zapiskach, oficer wojsk cesarskich w swéj „Réponse“ do generała hiszpańskiego, oficer artylerji polskiej w „Dyaryuszu wyjazdu pod Wiedeń.“ Ten ostatni w następujących krótkich nader słowach przedstawia tę chwilę bitwy: „Obróciła się potém z wezyrem wszystka prawie siła na prawe nasze skrzydło. Ale tam zastali (turcy) rezoluoyą i wielki porządek; tam ich tody wsparło piękną sprawą i parto na ich obóz, gdzie ich téż i lewe skrzydło wparowało.“ Te dwa

Sobieski spostrzega niebezpieczeństwo. Widzi, że Kara Mustafa zaczepnym zwrotem wszystkich sił swoich chce wywrócić i rzucić w tył przodowe hufce polskie na wysuwający się z ciałnin ich główny korpus. Daje więc król rozkaz pieszym pułkom polskim, które wraz z batalionem frankońskim usadowiły się za skrajnemi parkanami winnic, na ostatnim stoku wzgórzy, daje rozkaz dragonom cesarskim (generała Rabaty), stojącym najbliżej na lewo od Pötzleinu, aby ogniem swym pomogły przodowym hufcom jazdy polskiej wstrzymać postęp Turków. Sieniawski z resztą swój jazdy i z uszykowanemi na nowo chorągwiami Potockich pędzi w pomoc Miączyńskiemu. Te nieliczne lecz waleczne hufce wsparte ogniem piechoty i dragonów, oraz celnemi strzałami kilkunastu dział polskich, które już Kącki na wzgórza Pötzleinu zatoczył ¹⁾, wstrzymują posuwanie się wojsk tureckich i zostają panami części zdobytego równiejszego gruntu (na ostatnim stoku wzgórzy) ²⁾.

końcowe zdania powyższego ustępu mówią już o ostatnim okresie bitwy, o boju stanowczym.

1) Pamiętniki Duponta. Coyer, który pisząc swoją „Histoire de Jean Sobieski“ miał kilka dokumentów z archiwum Sobieskich, twierdzi, że Kącki strzelał na bliską odległość kartaczami do mas tureckich.

2) Wszystkie współczesne opisy odsieczy Wiednia: niemieckie, francuzkie i włoskie oddają zasłużone pochwały dzielności husarzy i pancernych, podziwiają ich męstwo i wspaniałość postawy. Niektórzy uczestnicy bitwy wyznają otwarcie, że to była najdzielniejsza jazda w Europie. Wyższy oficer wojsk cesarskich, który brał udział w bitwie wiedeńskiej i w całej wojnie tureckiej w r. 1683, a w obszernym liście do generała hiszpańskiego, kilkakrotnie tu wspomnianym, opisał wypadki téj wojny, tak pisze w tym liście (Réponse) o husarzach polskich: „W jeździe polskiej (pod Wiedniem) było trzydzieści kompanii husarzy, to jest jazdy z kopiami. Wszyscy żołnierze w tych kompaniach należą do wyższych stanów i są bardzo bogato ubrani: w pięknych pancerzach, na których przewieszzone przez ramię skóry tygrysie. Można powiedzieć, że nie ma piękniejszego nad to wojsko, złożone z najwaleczniejszych ludzi.“—Dalerac, choć niechętny szlachcie polskiej wogóle, a husarzom w szczególności, opisując wojsko polskie, tak o nich mówi: „Les Houssars sont les premiers Gens-d'Armes du Royaume, et sans contredit, la plus belle cavalerie de l'Europe, tant par la bonne mine des hommes et la beauté des chevaux, que par la magnificence de l'habillement, et la noblesse de l'armure.“ Daléj, opisawszy szczegółowo ubranie i uzbrojenie husarzy, mówi o pancernych: „La seconde espèce de gendarmerie est celle de Pancernes, un peu moins considerables que les Houssars, mais beaucoup au dessus de toute autre cavalerie.“ Poczém opowiada szczegółowo o uzbrojeniu pancernych.

Historia wojen dawniejszych przedstawia świetniejsze jeszcze czyny husarzy i pancernych niż bitwa wiedeńska. W bitwach pod Kirchholmem, Chocimem, Pragą, widzimy zadziwiające czyny téj żelaznej jazdy, której ude-

Jednak postępu wojsk tureckich, ruszających naprzód całą sto-tysięczną masą ku wzgórzom Gersthofu, Pötzleinu i małemu Szafbergowi, nie zdołałyby może wstrzymać dzielnych, lecz przerzedzonych w boju hufców Sieniawskiego i ognia kilku tysięcy mężnych żołnierzy pieszych, dragonów i kilkunastu dział Kąckiego, gdyby na polu walki po stronie polskiej nie stanął nowy zapaśnik. Były to główne siły polskie, prowadzone przez hetmana Jabłonowskiego, które weszły już właśnie wówczas na linię bojową i połączyły się z chorągwiami i pułkami Sieniawskiego.

Podczas opisanych wyżej walk husarzy i pancernych Sieniawskiego—walk wprawdzie szybko toczących się, jak zwykle wszelkie starcie się jazdy, wyparły prawoskrzydłowe brygady polskie, prowadzone przez Ernesta Denhofa, kasztelana wileńskiego, i polscy dragoni pod dowództwem generała Maligni, pieszą milicją turecką ze wzgórzy ponad doliną dorobachską, a liczne chorągwie husarskie, pancerne i lekkie poczęły wybiegać z tej doliny i szykować się na po-łożystszym stoku małego Szafbergu i w poprzek doliny po obu stronach potoku Als, łącząc się z wojskami Sieniawskiego.

Na widok, że groźny nieprzyjaciel, armia polska, wstępuje już w całej sile na linię bojową, cofają się szybko zastępy jazdy tureckiej, pozostawiając nawet 16 dział pod górami ¹⁾, i armia otomańska zaczyna ustawać się na nowo nieco bliżej swych obozów ²⁾.

rzeniu nie oprzeć się nie mogło. W bitwie pod Pragą (przy Warszawie) z wojskami Karola Gustawa, dwie chorągwie husarskie w szalonym pędzie przebiły obie linie i rezerwę wojsk szwedzkich, mężnych, osiwiiałych w bojach rajtarów i piechoty wyćwiczonej w długich wojnach; dopiero przy rezerwie otoczona ta garstka walecznych zginęła lub dostała się do niewoli. Hetman Jabłonowski (a za nim Dalerac) zarzucał husarzom i pancernym Sobieskiego, że już nie byli tak dzielni jak husarskie i pancerne rotty Konstantego Ostrogskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego.

¹⁾ Dupont.

²⁾ Powyższy obraz wstępnych walk przodowych hufców wojska polskiego ułożyłem, zebrawszy i zestawivszy skrzętnie wiadomości rozrzucone w papierach archiwalnych i w wymienionych już wprzód pismach uczestników bitwy wiedeńskiej, polskich i niemieckich, z których każdy opowiedział jasno lub mgliście jaki oderwany ustęp tych walk, jakiś szczegół dorzucił, jeden rys do obrazu dodał; ale żaden nie opisał całego przebiegu tych bojów. Wprawdzie autor „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur,“ opisawszy generałowi hiszpańskiemu dokładnie potyczki lewego skrzydła na stokach Kalenbergu, nakreślił ogólny zarys wstępnych walk prawego polskiego skrzydła, lecz pobieżnie, niedokładnie i z wielu brakami. Pominął oalkiem utarczki piechoty polskiej i rekonesans par force chorągwi Zbierzchowskiego, dwie atoli szarże: najprzód hufców Potockiego, następnie Miążyńskiego złączył razem. Jednak przytoczę tu z „Réponso“¹⁾ krótki ogólnikowy opis pierwszych walk prawego polskiego skrzydła: „Wówczas (t. j. w południe)

Wachanie się wojsk tureckich zatrzymujących się w ruchu zaczepnym i nagły ich odwrót na wzgórze leżące w tyle, wskazuje doświadczonemu wodzowi Sobieskiemu, że armia ottomańska jest za-

ruchy wojsk tureckich, stojących naprzeciw nas (t. j. przeciw lewemu skrzydłu) kazały wnosić, że turcy przedsięwzięją jakieś przeciw nam działanie. Lecz jak tylko spostrzegli wojska króla polskiego na wyżynach prawego skrzydła armii chrześcijańskiej, zaraz największy korpus wojsk tureckich zwrócił się w tamtą stronę tak, iż polacy i turcy stanęli naprzeciw siebie frontem nie bardzo szerokim, lecz w szyku głębokim: polacy od lasów, turcy od swego obozu.“ Autor pominąwszy całkiem potyczki pieszych pułków polskich, tak dalej pisze: „Król, który szedł na czele wojsk swoich, posłał kilkanaście chorągwi husarskich, które zniżywszy kopie uderzyły z wielką siłą na Turków. Wprawdzie początkowo husarze wywracali wszystko, co im stawało na drodze; ale gdy zapuścili się za daleko, ściągnęli sobie na kark wielką siłę nieprzyjacielską. Wskutek tego musieli się cofać aż na tę linię, na której stały pułki cesarskie generała Rabaty i wojska ks. Waldek, a kilka najbliższych oddziałów dało im pomoc. Król rozkazał wówczas, aby cała pierwsza linia chorągwi husarskich uderzyła na nieprzyjaciela, a generał Rabata dał rozkaz dragonom wspierać ten atak. Nieprzyjaciel nie przyjął boju i cofnął się szybko na niewielkie wzgórze, które obsadził piechotą i działami. Król dał rozkaz całej armii posuwać się naprzód.

Ogólny zarys walk wstępnych (t. j. dwóch pierwszych okresów bitwy), nakreśliło dwóch świadków, którzy potyczkom tym przypatrywali się z znacznej odległości, mianowicie: Dupont i Vaelckeren.

Inżynier polski Dupont, który z szczytu gór przyglądał się początkowi bitwy, mianowicie wstępnym walkom lewego i prawego skrzydła, niedostrzegając wprawdzie szczegółów i nie mógł dojrzeć, jak toczyły się potyczki w dolinach i na wzgórzach porośniętych krzakami; ale ogarniał okiem ogół i całość bitwy, a widok ten opisał w następujący sposób w pamiętnikach swoich dotychczas w rękopiśmie zachowanych: „Oba wojska były rozrzucone po wzgórzach i dolinach, a toczyły się tylko częściowe walki w ten sposób, że gdy jeden oddział wojska zdobywał wzgórze, inny bił się w dolinie, do której spędził nieprzyjaciela; ten zajmował znów dalsze wzgórze, z którego trzeba go było wypierać. Gdy jazda stanęła w odstępach między batalionami piechoty, bój stał się żywszy i zaciętszy. W ten sposób aż do godziny trzeciej po południu (inni świadkowie bitwy mówią zgodnie, że do godziny drugiej), toczył się między obu wojskami bój ze wzgórze w dolinę, z doliny na wzgórze. Nakoniec około godziny trzeciej, gdy wojsko nasze zdobyło całe poprzęzynane wąwozami podgórze, turcy wykonali pospieszny odwrót ku swemu obozowi, tam stanęli i uszykowała się na nowo cała ich wielka armia.

Vaelckeren, historyograf cesarza Leopolda i członek rady wojennej cesarskiej, będący w Wiedniu podczas oblężenia, przypatrywał się z przeciwniej strony, bo z wieży św. Szczepana tokowi bitwy, a właściwie tylko wstępnym walkom, toczonym dla zdobycia gruntu pod górami. Lecz zwracał on oczy swoje prawie wyłącznie na stoki Kalenbergu, na wojska cesarskie tam dzia-

chwiana w duchu. Postanowił więc nie odraczać boju stanowczego do dnia następnego, lecz natychmiast go rozpocząć, jak wkrótce uj-

łające na lewém skrzydle armii i ogólny obraz, który miał przed oczami, patrząc z daleka, bo z Wiednia na wojska chrześcijańskie schodzące z gór „łysych“, posuwające się zwolna po ich poszarpanym stoku i zajmujące stanowisko po stanowisku, tak opowiedział w swoim opisie oblężenia i odsieczy Wiednia: „O wschodzie słońca schodzą nasi szeregi zwartemi, a powolnym krokiem z gór, na których szczytach wznosi się klasztor kamedułów i kaplica św. Leopolda. Coraz dłuższe szeregi wysuwają się z gęstwiny leśnych, nawet na lewo od klasztoru (na lewo względem autora patrzącego z Wiednia) ściśniętymi szeregami, powolnym ale równym krokiem z gór zstępują, ustępując miejsca idącym za nimi nowym szeregom; poczem zatrzymują się i rozwijają naprzeciw nieprzyjaciela, szykującego się na podgórzach. Gdy te pierwsze nasze hufce posuwają się po pochyłości gór, inne ukazują się na szczytach, skupiają się i schodzą długimi wijąciami się po stoku gór pasmami, a w miarę jak na równiejsze wstępują miejsca, rozwijają się w szerszy front i posuwają się równym krokiem przez winnice, tocząc przy sobie działa. Zatrzymują się, strzelają do nieprzyjaciela, nabijają działa, posuwają się dalej i znów po trzydziestu lub czterdziestu krokach zatrzymują się, z dział strzelają i idą dalej, a w ich miejsce wstępują szeregi posuwające się za nimi. W taki sposób i w takim porządku idąc docierają do turków.“

Następnie Vaelckeren bardzo krótkim, lecz szumnym frazesem wspomina o potyczkach w celu zdobycia podgórzy, i mówi, że potem wojska chrześcijańskie rozwinęły się w szyku bardzo pięknym, potężnym a roztropnie ustawionym, a gdy król polski uderzył z polakami z prawej, ks. Lotaryński z lewej strony, a inni książęta ze środka, turcy po krótkiej walce cofnęli się, znów się zebrałi i opór stawili, wreszcie porzuciwszy obozy, uciekli. Do takiego krótkiego ogólnikowego opisu bitwy, dodaje potem kilka szczegółów; które przytoczę opisując boj stanowczy.

Vaelckeren swój szczegółowy opis oblężenia Wiednia wraz z krótkim opisem, odsieczy i bitwy, wydał zaraz w 1683 r. w języku łacińskim, pod tyt.: „Vienna a Turcis obsessa Christianis eliberata... Authore Joanne Petro à Vaelckeren—Viennae, Austriae 1683.“ W dziele tém załączone są dwa plany rysowane przez Leandra Anguissole i Bartłomieja Camuccio, z których pierwszy przedstawia Wiedń i obozy tureckie na początku oblężenia, a drugi bardzo dokładnie i szczegółowo narysowane fortyfikacye Wiednia i roboty oblężnicze tureckie w stanie, w jakim się znajdowały 12 września. Vaelckeren, przerobiwszy i uzupełniwszy swoje dzieło, wydał je w języku niemieckim w 1684 r. w Linciu pod napisem: „Wien von Türken belagert, von Christen entsetzt;“ a w tymże roku wydano w Wenecyi włoskie tłumaczenie tego dzieła wraz z powyżej wspomnianymi planami, oraz z portretami cesarza Leopolda, króla Jana, ks. Lotaryńskiego, Stahremberga, elektorów bawarskiego i saskiego.

Czytając dzieło Vaelckerena, należy pamiętać, że pisał je urzędowy historyograf cesarza Leopolda, a pisał je w czasie, gdy po zwycięztwie cięży-

Podczas tych walk na prawém skrzydle, dwugodzinnych tylko lecz gorących a toczonych przez przodowe hufce wojska polskiego,— nie posuwały się naprzód wojska cesarskie i posiłkowe niemieckie na lewém skrzydle i w centrum z linii Nussdorf-Grinzing-Sievering. Porządkowały tylko i wypełniały szyki swoje, wzmacniały się, zgromadzając oddziały porozrzucane chwilowo po wzgórzach i dolinach i ścigając bliżej drugą linią i rezerwy. Gdy więc po godzinie 2-ój wojska polskie rozwinęły się na zdobytym gruncie w poprzek rozplaszczając się już tu przed wsią Dornbachem doliny Alsu, następnie przez Mały Schafberg i przez wzgórze przed wsią Pötzlein, stanęły wojska chrześcijańskie w jednym nieprzerwanym szyku, którego linia frontu biegła wielkim łukiem od Nussdorfu nad Dunajem przez Grinzing, Sievering, Gersthof aż za potok Als przed Dornbachem ¹⁾.

Według planu ułożonego w dniu poprzednim przez Sobieskiego i wodzów chrześcijańskich, miały wojska, zeszedłszy z gór i wyparłszy nieprzyjaciela z podgórze, zanocować na ostatnim szeregu pagórków rozłożonych przed równiną; albowiem mniemano, że cały dzień spłynie na zdobywaniu tego otwartszego terenu. Lecz rzeczywistość działania poszły pomyślniej i prędzej niż sądzono: wojska wyparły przodowe zastępy nieprzyjaciela z ostatnich stoków wzgórzy i na nich się rozwinęły, a jeszcze pozostawało pięć godzin do nocy, żołnierze zaś i oficerowie, pełni ochoty do boju, rwali się do dalszej walki.

Król Jan, widząc takie położenie rzeczy a zarazem dostrzegłszy, jak wspomnieliśmy, wahanie się i niepewność w ruchach wojsk tureckich, postanawia nie odraczać stanowczego boju, ale uderzyć zaraz całą siłą na armię muzułmańską, i natychmiast wydaje odpowiednie do tego postanowienia rozkazy. To szybkie pojęcie położenia rzeczy na polu bitwy, rażne powzięcie postanowienia stanowczego a odpowiednie temu położeniu i energiczne téj decyzji wykonanie, wykazują w Sobieskim znamienity talent wodza.

Gdy rozkazy króla Jana nadeszły do centrum i na lewe skrzydło wojsk chrześcijańskich, kilku dowódców przedstawiało tam, że już za późna pora, aby dzisiaj rozpoczynać walną bitwę. Lecz ks. Lotaryński i feldmarszałek saski hr. Goltz, odparłszy te zarzuty, nakazali dowódcom swoich wojsk poczynić stosowne do boju przygotowanie i posuwać się naprzód ²⁾. Jednak upłynęło jeszcze przeszło godzinę czasu

1) Dworowi wiedeńskiemu wdzięczność dla króla Sobieskiego i wojsk jego, przeto ten ciężar starał się historyograf zmniejszyć, zmniejszając ich czyny i zasługi.

1) Patrz plan dołączony w zesz. za m. maj 1885 r.

2) Autor rękopismu „o udziale wojsk saskich w bitwie odsieczowej wiedeńskiej r. 1683“ twierdzi, że feldmarszałek Goltz, na zapytanie ks. Lotaryńskiego: czy odniesionemi dotychczas korzyściami zaspokoić się na dzisiaj, czy też walną bitwę zaraz stoczyć? oświadczył się za natychmiastowém energiczném rozpoczęciem boju, bo nieprzyjaciel zdaje się być zachwiany.

zanim wojska chrześcijańskie uszykowały się do stanowczego boju i ruszyły naprzód i zanim armia turecka, skupiwszy wszystkie prawie siły na swém lewém skrzydle, na płaskowzgórzach gdzie dzisiaj Währing, Hernals i Ottakring, walną bitwę przyjęła ¹⁾.

¹⁾ Dupont w swym pamiętniku w następujący sposób objaśnia tę przeszło godzinną zwłokę w rozpoczęciu bitwy walnej po ukończeniu walk przygotowawczych: „Wskutek dotychczasowych potyczek na polu bardzo nierówném, były wszystkie oddziały wojsk porozrzucane, to na wzgórzach, to w dolinach i porozwlekały się porozdzielane przeszkodami gruntu. Potrzeba było czasu, zanim uszykowały się przed zejściem na równinę. Nieprzyjaciel, którego szyki w szybkim odwrócie z pod gór pomieszały się nieco, ustawił wojska nanowo i wkrótce ujrzeliśmy jego armią ogromną, raz jeszcze uszykowaną w najpiękniejszym porządku... Zdawało się, że wojska jego trzy razy liczniejsze od naszych, odniosą rychło zwycięztwo.“

MOJE WSPOMNIENIA.

USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO *).

26-go stycznia Jasiński wniósł zaskarżenie przeciw prezesowi Banku, iż za asygnacją ks. Lubeckiego wypłacić kazał Janowi Jezierskiemu 21,000 złotych. Jezierski objaśnił, iż deputacya do Petersburga wysłana na kosztą podróży wzięła asygnacją od Banku na 40,000 złotych, tymczasem z powodu nałożonego sekwestru na własność Banku, weksel ten nie mógł być zrealizowany. W takim położeniu rzeczy, Jezierski z własnych funduszków awansował te pieniądze, które obecnie Bank mu zwrócił, zapisując jako pożyczkę na przypadek, jeżeli ta należność przyznaną nie będzie. Tymczasem w senacie, kiedy odczytano manifest, w którym między innymi było także, iż Cesarz w czasie koronacji mianował senatorów, osądziłem za rzecz przyzwoitą, równie jak Ludwik Plater, iż w podobnym położeniu nie widzimy powodu dla czegośmy mieli w senacie zasiadać i obydwaj, opuszczając krzesła senatorskie, zasiedliśmy na ławkach ministeryalnych: ja, jako członek Rady najwyższej, a Plater jako pełniący obowiązki sekretarza stanu. Senat, wzięwszy na rozwagę kwestyą ztąd powstałą, postanowił, ażeby mimo oświadczeń w manifestcie, senatorowie swoich krzeseł nie opuszczali. Po przyjęciu przez izbę prawa o rządzie, wniesiono go do izby senatorskiej. Rozprawy i tutaj były ożywione. Ks. Czartoryski, ja i Bonawentura Niemojowski wykazywaliśmy niedogodności projektowanego ustroju, a zdawało nam się, że powierzenie Radzie ministrów zarządu kraju, będzie właściwiej odpowiadać potrzebie i uprości działania. Mimo to, w senacie projekt przeszedł tak, jak go izba przyjęła, dosyć mocną większością, bo 19-tu głosami przeciw dziewięciu.

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. marzec r. b.

Oto jest rys tego projektu. W artykule 1-ym stanowiono, iż tytuł I-szy rozdział II-gi tytułu III-go i artykuł 108 ustawy konstytucyjnej przestaje obowiązywać, równie jak wszystkie statuta i prawa, związek z powyższymi tytułami mające. Artykuł 2-gi opiewał, że resztę ustawy i praw, o ile przez sejm zmienionemi nie będą, w swój sile zostają. Artykuł 3-ci oświadczał, że w czasie bezkrólewia rozdziały I-y, III-ci i IV-ty tytułu III-go ustawy, zawieszają się w swój mocy aż do chwili wyboru panującego. Artykuł 4-ty. Sprawowanie władzy królewskiej jest powierzone rządowi narodowemu wedle poniższych przepisów, reszta władzy przy sejmie pozostaje. Artykuł 5-ty. Rząd narodowy składa się z prezesa i czterech członków. Ci, jeżeli są senatorami lub do izby (nie!) należącymi, w izbach zasiadać nie mogą. W nieobecności prezesa zastępuje go ten, co najwięcej głosów wyborczych posiada. Wszystkie sprawy większością będą decydowane. W razie równości najmniej kresek mający wyjdzie na sesji. Artykuł 6-ty stanowił, iż wybór rządu nastąpi w połączonych izbach. Każdy członek poda po dwóch kandydatów na prezesa. Z tych głosowań ułożona będzie lista kandydatów, zawierająca dwa imiona tych, co najwięcej mieli głosów. Na członków, każdy podawać będzie czterech kandydatów, a z tych ośmiu, którzy najwięcej głosów mają, będą podawani za kandydatów. Wszystkie akta publiczne i sądowe wydawane będą w imieniu rządu narodowego. Monety bite będą z oznakami rządu narodowego. Artykuł 8-y. Rząd ogłasza prawa, rozrządza dochodami, stosownie do budżetu przez sejm zatwierdzonego. Rząd może zawierać traktaty przyjaźni, pomocy, handlu, zaciągając pożyczki wedle budżetu za upoważnieniem tego budżetu. Wszystkie inne traktaty przez sejm będą ratyfikowane. Artykuł 10. W razie nieobecności sejmu, rząd może zamianować zastępcę naczelnego wodza, a zresztą mianuje na wszystkie posady administracyjne i sądowe i agentów dyplomatycznych. Sejm zaś mianuje senatorów, biskupów i prezesa Izby obrachunkowej. Artykuł 12-ty. Z wyjątkiem zbrodni stanu rząd ma prawo ułaskawienia. Artykuł 13-ty. Najwyższe dwie klasy krzyża wojskowego udziela rząd narodowy. Artykuł 14-ty. Ministrowie mają prawo zasiadać na sesjach z głosem doradczym, a każde postanowienie rządu będzie kontrasygnowane przez ministra, który staje się odpowiedzialnym za tę kontrasygnację.

Nie dlatego, że byłem autorem projektu, który się nie utrzymał, lecz z przekonania, a nawet z doświadczenia, myślę, że projekt ten, który stał się prawem, był wadliwym. W istocie okoliczności, w jakich się kraj znajdował zagrożony wojną, która się toczyć miała z nader przeważnymi siłami, przy obojętności całej ludności wiejskiej, to jest najznacniejszej liczby mieszkańców, przy szarpaniu się wzajemnym stronnictw i roznamiętnieniu, jakie tam panowało, jedynym środkiem ratunku było powierzenie władzy nieograniczonej jednemu, bo

to nadałoby potrzebne siły do zniweczenia anarchii i do wydobycia kraju z przepaści, w którą się coraz głębiej wtrącał. Trudności, jakie w tej mierze zachodziły, były trudne do przewyciężenia. Niepodobna myśleć, iż między tylu rodakami nie znalazłaby się osoba do podobnego urzędu zdolna. Lecz jak tylko upadła dyktatura Chłopińskiego, bądź, że on jej nie chciał, bądź, że jego nie życzo, ze wszystkich, którzy byli na widowni publicznej, ja przynajmniej nie widziałem żadnego, któremu podobną władzę udzielićby można. W cywilności, to jest w senacie, między ministrami i w Radzie stanu byli to ludzie cnotliwi, zasłużeni, zdolni, lecz niemający tej energii i tego hartu, który był potrzebny do podobnego rodzaju władzy. W wojsku, po Chłopińskim, może jeden Krukowiecki posiadał dostateczną energią, lecz czyliż jego charakterowi można było zaufać? W podobnym więc położeniu to, co należało uczynić, niepodobieństwem było wykonać a w takim razie zdaje się, iż i machina rządowa była mniej skomplikowaną; im więcej zbliżała się do jednostki, tém byłaby w działaniu swém silniejszą. Rząd z pięciu stanowiących a jedenastu zasiadających, nie mógł szybko stanowić, bo same dyskusye zabierały nie mało czasu. Lecz jeszcze byłoby to znośnem, gdyby ten rząd miał sobie udzieloną nieograniczoną władzę; ale sejm nie mógł się pozbyć tej miłości własnej, że chciał być nietylko dozorcą rządu, lecz zachował sobie znakomitą część jego władzy. Cały więc ustroj machiny rządowej nadzwyczajnie był skomplikowany. W istocie składał się z czterech elementów, a mianowicie: z izby senatorskiej do 30-tu członków liczącej, z izby poselskiej do stu kilku posłów i deputowanych liczącej, a jeszcze te dwie izby, jeżeli w przedmiocie do narad podanym nie zgadzały się, to należało wnosić je powtórnie do izb połączonych. Cóż to za strata czasu w chwilach, gdzie go tracić nie godziło się! Trzecią władzą był tedy rząd, krępowany w swém działaniu i z góry i z dołu: z góry przez sejm wszechwładny, z dołu przez ministrów, gdyż w całej organizacji nie przewidziano wypadku nader łatwego do przewidzenia, co się dzieć będzie w razie, jeżeli postanowieniu rządu odmówią ministrowie kontrasygnacy? W takim położeniu rząd był bezwładny a raczej władza jego opierała się na woli ministrów. Te były główne wady ustawy o rządzie.

Nim przystąpimy do opisanja sesyi, na której miały miejsce wybory osób, mających składać rząd narodowy, wspomnieć muszę cokolwiek o sobie. — Jest rzeczą dowiedzioną i doświadczeniem popartą, iż, kto chce być wybranym, musi się starać, ażeby nim został. W tej mierze wyjątki są rzadkie. U nas np. widzieliśmy, iż świeżo wybrany książę Radziwiłł nie starał się o godność, którą mupowierzono. Taki sam był wypadek i co do ks. Czartoryskiego, którego wybór nie mógł być wątpliwym. Te dwa wyjątki z reguły powszechnej wówczas miały miejsce; lecz co do innych kandyda-

tów, tu łączyły się nietylko osobiste ubiegania się, lecz i usiłowania stronnictw, ażeby tych, którzy mniemania stronnictw dzielili i popierali, koniecznie pomieścić w rządzie. Ja przyznam się, iż do żadnego stronnictwa nie należałem i należeć nie pragnąłem. Już przez to samo nie zasługiwałem na poparcie przez jakiebądź stronnictwo. W czasie, o którym mówimy, t. j. w pierwszych dniach po upadku dyktatury, a nim się kroki wojenne rozpoczęły, uważać można było, tak w Izbach, jak w publiczności cztery stronnictwa. Najprzód, może najsłabsze, lecz najwięcej energii mające, nie zważające ani na konstytucyą, ani na prawa, ani na moralność, lecz mające tylko jeden cel: odzyskania samodzielności, czyli partya rewolucyjna, która podniosła sztandar buntu i która jedynie od początku aż do końca dukiem, klubami, oszczerstwami i nie przebijając w środkach, choćby te miały doprowadzić do rusztowań, popierała swoje plany. W Izbie stronnictwo to, jakieśmy liczyli, zaledwo 20-tu liczyło członków, w senacie mieli tylko jednego reprezentanta, w popółstwie — niższe klasy, które zawsze ująć łatwo, okazując im obfity zbiór gruszek na wierzbach, w wojsku stronnictwo to miało prawie w każdym pułku adherentów w owych oficerach, których dyktator tą godnością zaszczycił ze szkoly podchorążych, a prócz tego tych wszystkich młodych oficerów, którzy pragnęli usunąć starszych dowódców, ażeby ich miejsca zająć. Jeżeli więc to stronnictwo co do liczby było słabe, to ze wszystkich było najczynniejsze i najgwałtowniejsze. Stronnictwo to pragnęło koniecznie mieć przewagę w rządzie. Jego kandydatami byli Lelewel i Barzykowski, na obydwóch jednak zupełnie się zawiedli; na Lelewelu, bo ten, jakkolwiek kochał się w spiskach i tajemnych intrygach, w istocie nie był stworzony na męża stanu. Sawant, niez mordowany szperacz, uczony, lecz z ludźmi mniej przestający aniżeli z książkami, nie był stworzony do piastowania urzędu, a osobliwie do rządzenia krajem. Nigdy nie miał własnego zdania, któreby silnie popierał; ulegał, zawsze ze skrytą myślą, że to, na co zezwolił, potrafi obalić zapomocą swoich związków; dla tego też nie był w stanie wspierać w rządzie téj idei, która była powodem jego powołania. Na Barzykowskim stronnictwo ruchu jeszcze gorzej się zawiodło. Barzykowski był człowiek wytrawny, do pracy przywykły, długi czas za Ks. Warszawskiego jeden z sekretarzy rady ministrów, znał doskonale administracyą i wszystkie obowiązki na władzach najwyższych ciążące. Miał krew zimną, rozwagę i charakter na moralności oparty. Z pozoru zdawał się zapaleńcem pierwszego rzędu, a to z powodu, że wymowa jego była tak górna, tak egzaltowana, iż, po nięj sądząc, mniemano, że Barzykowski w wymowie odbija rysy swojego charakteru. Barzykowski był jeden z mówców, którzy ex abrupto, bez przygotowania mówili; wiadomo zaś jest, że w zapale, w tym potoku słów, które się z serca wydzierają i które tyle mają wpływu na słuchaczach, nie zawsze słowa oddają to, co zimna rozważa poleca

Dla tego też Barzykowski przy zielonym stoliku był zupełnie innym człowiekiem od mówcy Barzykowskiego w Izbie. Stronnictwo ruchu, znając go tylko z jednej strony, liczyło, iż posiadając jego obok Lelewela, będzie miało przewagę w rządzie, bo liczyli na słabość charakteru ks. Adama w każdym razie, a czasem na zgodność widoków z „kaliszczanami.” — Drugim stronnictwem byli t. zw. „kaliszczanie,” którzy właściwie byli doktrynerami. Wziąwszy sobie od samego początku za cel swoich życzeń i marzeń ścisłe stosowanie się do ustawy konstytucyjnej, szli zawsze tą drogą, dążąc do tego celu. Jeżeli więc stronnictwo ruchu chciało wszystko obalić, ażeby zaprowadzić bądź Rzpłtą, jak tego życzył Mochnacki, bądź socjalizin, jak tego pragnął Lelewel, kaliszczanie przeciwnie pragnęli i dążyli, ażeby ustawa konstytucyjna w całej świetności swoje dobrodziejstwa na ojczyznę rozlewała. Zaiste, życzenie, które ze stanem rewolucyjnym i wojną nader było trudne do urzeczywistnienia. Stronnictwo to także nie było w Izbach silne, lecz wymowa, ścisła logika i upór — nadawały mu spokojność i siłę. Trzecim stronnictwem byli ludzie rozmaitych zdolności, rozmaitego sposobu widzenia rzeczy, którzy, wypadkami wpłątani w powstanie, życząc dobrze krajowi, pragnęli jakimkolwiek sposobem wytargować ile się da dla pożytku kraju. Partya ta była silna. Na jej czele, rzec można, że stał ks. Adam, mając po sobie większość w senacie, a może i w Izbie. Na nieszczęście stronnictwo to nie liczyło w swém łonie ludzi z energią, którzyby potrafili silnie swoje myśli popierać. Gdyby nie tyle się oglądali na to, co powiedzą obce mocarstwa, gdyby nie zakładali nadziei na ich pośrednictwie a nawet poparciu, gdyby nakoniec mieli dosyć odwagi, ażeby środkami przymusowemi znaglić stronnictwo ruchu do posłuszeństwa, mieliby niewątpliwie cały naród za sobą; lecz przez brak energii pozbawili się tego i nie byli w stanie oprzeć się burzy.—Owóż stronnictwo kaliskie starało się o to samo, co i stronnictwo ruchu, t. j., ażeby swoich kandydatów, przynajmniej w liczbie dwóch, przeprowadzić, licząc znowu, tak, jak ich przeciwnicy, że będą mieli większość zapomocą głosu ks. Adama, a w niektórych przypadkach Barzykowskiego, bo na Lelewela zupełnie nie liczyli. Nakoniec czwarte stronnictwo, które Mochnacki nazywa „episierami,” których inni nazywali stronnictwem Lubeckiego lub dyktatora, a nakoniec, którzy od innych byli poczytywani za stronników cesarza Mikołaja, było najsilniejsze co do liczby, tak w senacie jak w Izbie poselskiej. Do niego należeli wszyscy ci, którzy mieli przekonanie, iż jest niepodobieństwem, walcząc w tak nierównych warunkach, ażeby wszczęte rozruchy pomyślnie dla kraju wypadły. Byli i tacy w tej liczbie, którzy szczerze do upadłego rządu mieli przywiązanie; lecz to stronnictwo, jakkolwiek najsilniejsze i w Izbach i w kraju, nie mogło podnosić głosu bez wystawienia się na oczywistą zgubę. Jeden Jezierski początkowo odważnie mówił prawdę, lecz, mimo całej swojej energii, widział i przekonał się, że straci życie, a sprawie, którą chciał popierać, nie

dopomoże. Dla tego też wkrótce się oddalił, a brat jego, Stanisław, wolał samobójstwem zakończyć życie, jak być świadkiem przewidywanej katastrofy.

W podobnym położeniu stronnictw, ja, co do żadnego nie należałem, ani o żadnego poparcie się nie starałem, tém mniej życzyłem sobie należeć do składu rządu, że przez dwumiesięczne prace zdrowie moje mocno się nadwyrężyło; z drugiej strony i mało mi zostawało środków do utrzymania się. Wyjeżdżając z domu w bilansie liczyłem, że siedzieć będę w Warszawie cztery miesiące, że pobierać będę za ten czas 4,000 złp. wynagrodzenia, wziąłem więc z sobą tylko 4,000 złp., rachując, że, mając stancją zapłaconą, 2,000 złp. na miesiąc wystarczą na moje utrzymanie. W skutku okazało się, iż odebrałem za listopad 1,000 złp., w grudniu po całomiesięcznej w Warszawie bytności pozostało mi 4,000 złp., a w końcu stycznia już zaledwie miałem 1,000 złp., bo, przez dwa miesiące pracując w rozmaitych rządach, ani grosza pensyi nie pobierałem. Nictylko więc zdrowie, ale i pieniężne interesa zagnały mnie do opuszczenia Warszawy. Dla tego, kiedy moi przyjaciele pytali mnie, czybym nie życzył być wybranym, oświadczyłem, że największą mi zrobią łaskę, zupełnie o mnie nie myśląc, a prosiłem, żeby za Barzykowskim, moim przyjacielem, wotowali.

Po tym wstępie do dalszego opowiadania przystępuję. Trzydziestego stycznia, kiedy się Izba poselska zebrała, Jan Ledóchowski imieniem Izby upraszał marszałka, ażeby steru Izby nie porzucił i oświadczył, iż nie myśli ubiegać się, ani przyjąć posady w rządzie narodowym. Marszałek odpowiedział, dziękując za ten dowód przywiązania Izby, iż za najwyższy poczytuje zaszczyt przewodniczenie reprezentacyi narodu i że nie ma zamiaru opuszczać miejsca, które mu zaufanie Izby powierzy. Następnie Jeziński zwrócił uwagę Izby, że akt ogłoszenia tronu za wakujący, jest nieformalny, bo nie był w sposobie, oznaczonym prawem z d. 22 stycznia wprowadzony, że nie był tak, jak prawo mieć chce, przez komisye przedstawiony, że nie wnoszono go do każdej Izby oddzielnie, nakoniec, że nie wotowano, ani zbierano głosów, a nawet niewiadomo, czy była jednomyślność, czy większość głosów, czyli też ich mniejszość. Jeziński, jakkolwiek miał zupełną racyą, że prawo to wbrew świeżo uchwalonym przepisom szturmem, że tak rzeknę, wymuszono, był jednak z niecierpliwością słuchany. Czyli tę niecierpliwość okazywali tylko stronnicy tego aktu, czy cała Izba, nie wiem, bom na sesyi nie był. Ledóchowski i Wołowski odpowiedzieli na głos Jezińskiego. Główną myślą ich było, iż wola narodu, aktem tym objawiona, nie potrzebowała być krępowaną formami. Po tej dyskusyi połączyły się Izby, przystąpiono do wyboru prezesa rządu wedle sposobu, o którym wspomniałem. Z obliczenia kartek kandydaci mieli następującą ilość wotów: Ks. Czartoryski 135, Pac 58, Niemcewicz 41, Walenty Sobolewski 12, biskup Prażmowski 11, An-

toni Ostrowski 10, Gliszczyński 8, Wincenty Niemojowski 7, Władysław Ostrowski 4, Lelewel 2, Żaboklicki 1.

Stosownie więc do prawa nastąpiło drugie głosowanie między ks. Czartoryskim i Pacem. Było głosujących 138. Ks. Czartoryski otrzymał 121, Pac 17. — Ks. Czartoryski w kilku słowach podziękował za okazaną mu ufność, odkładając do późniejszego czasu wyurządzenie myśli względem obecnych okoliczności.

Tegoż dnia powtórnie zgromadziły się Izby celem wyboru innych członków rządu. Kandydatów podano dosyć znaczną liczbę, między którymi mnie zaszczycono ósmiu kreskami. Ci jednak, którzy górowali, byli Niemojowski Wincenty i Morawski, którzy od razu otrzymali większość głosów i za wybranych ich ogłoszono. Kandydaci następni, jakoto: Lelewel, Barzykowski, Pac, Wodzyński, Gliszczyński i Swirski nie mieli dostatecznej liczby głosów; powtórnie więc na nich głosowano, a wówczas otrzymał żadaną większość Barzykowski, a po nim Lelewel i dla tego Lelewel otrzymał piąte miejsce w rządzie, to jest to, które za każdą bytnością na sesji wodza naczelnego wykluczało go z narad. Tym sposobem, wbrew oczekiwaniu i usiłowaniom stronnictwa ruchu, to stronnictwo nie miało jak tylko jeden głos i to niezawsze. Inne głosy ugrupowały się tak, że Niemojowski z Morawskim trzymali się ściśle swoich zasad, Barzykowski szedł za zdaniem ks. Czartoryskiego, a Lelewel ciągle się wahał między nimi.

Już tutaj nie trzymam się chronologicznego porządku, chcąc dać wyobrażenie o usiłowaniach dyplomatycznych.

Prawie równocześnie z wysłaniem deputacyi do Petersburga, powierzono ministrowi Mostowskiemu trudną misyą, ażeby starał się uzyskać wstawienie się do dworu berlińskiego za nami. Pan Mostowski, jak się tego można było spodziewać, nie przyjął na siebie charakteru urzędowego, poufnie zaś, o ile mu związki dozwoliły, sposobem rozmów bez przyznawania się do misyi, starał się wybadać zamiary dworu berlińskiego. Znalazł najgorsze usposobienie, którego jawne oznaki objawiały się obsadzeniem silném granicy, utrudnieniem przejazdów dla dążących z Francyi do Polski osób, zakazem wprowadzania broni i materyałów wojennych, zgoła utrudnieniem wszelkich dostarczeń. Jedna rzecz, co obiecywano, to jest wstawienie się, ażeby kary na winnych nie były nacechowane srogością. Pan Mostowski, widząc, iż w Berlinie nie ma nic do wskórania pojechał do Francyi, gdzie posiadał dobra w okolicach Orleanu. W Wiedniu ks. Konstanty Czartoryski miał podobną misyą. Upłynione dwa miesiące zeszyły na przygotowaniach sobie rozmaitych związków, by móżdź działać na osobę panującego, bo co do ks. Metternicha, który wówczas był wszechwładnym na tym dworze, ten jakkolwiek mile przyjmował ks. Konstantego, który mieszkał w Wiedniu, miał pod Wiedniem posiadłość i uczęszczał do towarzystw arystokracji, wystrzegał się z obawy posta rosyjskiego, aby w jakiegokolwiek z nim wdawać się polity-

czne rozmowy. Dopiero później; kiedy przedłużały się wojenne czynności, ks. Metternich zaczął przyjmować ks. Konstantego i udzielał mu rozmaite rady, jak to później się wykaże. Niestety, te rady, zdaje mi się, że wiele złego były powodem, bo w stanowczych chwilach Skrzynecki ufny w pomoc Austrii, mniemał, że nie należy stawiać wszystkiego na los bitwy i dlatego, chcąc zachować nietkniętymi siły popełnił błąd, iż dozwolił Paszkiewiczowi przejścia przez Wisłę, nie próbując oporu. W Paryżu Wolicki, oddawszy instrukcją generałowi Kniaziewiczowi, udał się do Stambułu. Kniaziewicz usiłował daremnie zawiązać stosunki z panem Lafitte. Gdy Jelski zwrócił uwagę, że zapasy skarbu niewątpliwie wkrótce przy uzbrojeniach, jakie są zamierzone wyczerpane będą, co nakazuje, ażeby starać się o zaciągnięcie pożyczki, rząd wysłał w celu starania się o tę pożyczkę panów Ludwika Platera i Jelskiego. Pierwszemu dali zlecenie, ażeby wspierał starania generała Kniaziewicza. We Francyi dwojaki były sposoby prowadzenia negocyacji dyplomatycznych, albo uzyskując bezpośrednią pomoc rządu za pomocą ministrów, albo zmusić tychże do przychylnego działania za pomocą Izby. Tentowano najprzód zawiązać stosunki z ministrami, lecz ci okazali się zupełnie obojętnymi, bądź że Francya nie była przygotowaną do popierania czynnie sprawy naszej, bądź że wówczas prowadzono właśnie negocyacją, ustalić mającą los Belgii i że ten przedmiot bardziej Francją interesował jak Polska, bądź nakoniec, że nowa dynastya, dopiero od pięciu miesięcy na tron powołana, nie miała dosyć czasu do ustalenia się, do zjednania sobie przychylności dworów, nie śmiała się więc wdawać w czynności, któreby mogły za sobą pociągnąć zerwanie stosunków przyjaźni, témbardziej iż widziano, iż Cesarz Mikołaj jedynie przez powstanie polskie nie mógł przywieść do skutku zamiaru, ażeby siłą za współdziałaniem Austrii i Pruss, zmusić Francją do przyjęcia starszej linii Burbonów na tron, a oddać Holandyi zbuntowaną Belgią. I tak w istocie nasze powstanie nas zgubiło, Francją od wojny uchroniło, a istnienie Belgii zapewniło. Pracowaliśmy nie dla siebie, lecz dla innych, co jest przeciwnem pierwszej zasadzie dobrej polityki, rozkazującej mieć na pierwszym względzie swoje własne interesa. Misye do Stambułu Wolickiego i Linowskiego zupełnie się nie powiodły. Najprzód, że Turcyja dopiero co zmuszona przez posunięcie się wojsk rosyjskich prawie do bram Stambułu do zawarcia uciążliwego dla niej pokoju, osłabiona dwuletnią wojną, nietylko nie miała chęci wchodzić w nowe z tém mocarstwem zapasy, lecz co więcej, Dywan złożony był z osób, które całkiem Rossyi były oddane. Usiłowania co do Szwecyi, jakieśmy to wzmiankowali, do tego stopnia niepomyślny wzięły obrót, że agentowi naszemu nawet wylądować w Gotenburgu nie dozwolono. Margrabia Wielopolski wysłany został do Anglii. Temu jednemu udało się mieć audyencyą u lorda Palmerstona, który wówczas był naczelnikiem gabinetu. Oto treść szczegółów téj negocyacji. Tak jak we Francyi, równie w Anglii téż same istniały sposoby działania, z tą jednak różnicą, iż we Francyi zwy-

czas meetingów nie istnieje, a zatem w Anglii jeszcze trzeci sposób działania i wpływania na opinią publiczną użytym być może. Margrabia użył tylko dwóch pierwszych; poznawszy się z lordem Dudley Stuart za jego pośrednictwem zdołał zabrać znajomość z kilku członkami Izby niższej, którzy przyrzekli mu sprawę polską w parlamencie wytoczyć. Z drugiej strony otrzymał dwa posłuchania u lorda Palmerstona i u innego ministra. Ci nie odmówili wchodzić we wszystkie szczegóły, dotyczące naszego istnienia, lecz mimo całej uprzejmości, mimo widocznej chęci osobistej niesienia nam pomocy, w żadne obietnice wdawać się nie chcieli. Pozwolił jednak lord Palmerston podać sobie memoriał, bliżej wyjaśniający stan rzeczy i życzenia. Wielopolski po podaniu tego memoriału wrócił do kraju. Cokolwiek później zastąpili go po części Plater, po części Jelski a następnie stale Niemcewicz, który aż do upadku powstania w Londynie interesu polskie reprezentował. Z tych wszystkich zabiegów udało się jednak najprzód osiągnąć pewien skutek we Francji. Ludwik Filip skłonił się wysłać do Petersburga księcia Mortemare. Skoro dowiedziano się o tём w Warszawie, ks. Czartoryski polecił panu Andrzejowi Koźmianowi, który pracował w biurze interesów zagranicznych Królestwa, ażeby starał się spotkać w drodze z ks. Mortemare, wyrozumieć cel jego misji, dostarczyć mu wszelkich wiadomości, jakichby żądał i zaznajomić jego z życzeniami kraju, stopniując, na czém ostatecznie zasadzają się żądania, które od tego, co Chłopicki i rząd tymczasowy żądał, w tём się różniły, że dawano czuć, że jeden zwielkich książąt mógłby koronę Polską otrzymać: Pan Koźmian pojechał do Prus, lecz dla nieszanowania przez rząd pruski paszportu, musiał podróżować pod obcym nazwiskiem i jako handlujący. Spotkał księcia Mortemare między Bydgoszczą a Elblągiem, a oświadczywszy mu cel swojej podróży, zaproszony został, ażeby wsiadł do powozu księcia i jedną stacją pocztową z nim przebył, lecz wszystkie projekta i rachuby odrazu ks. Mortemare zniszczył. Oświadczył, iż misja jego bynajmniej nie rozciąga się do urzędzenia przyszłego losu kraju Polskiego, że jedynie ma sobie polecone upraszać cesarza Mikołaja, ażeby powodował się łagodnością i unikał przelewu krwi. Te smutne wiadomości pan Koźmian udzielił za swoim powrotem, który właśnie przed zaczęciem kroków wojennych, to jest przed bitwą grochowską, nastąpił. Odtąd wszystkie negocjacje z dworami zagranicznymi pozostały w zawieszeniu, aczkolwiek, tak w Izbach francuzkich, jak w parlamencie znaleźliśmy stronnictwo, które sprawę polską do izb wносиło. Dopiero znowu przy schyłku powstania, po bitwie Ostrołęckiej zaczęły się objawiać pomyślniejsze dworu wiedeńskiego usposobienia, o których we właściwym czasie nadmienię.

Upłynęło tedy od 19-go stycznia do końca miesiąca dni 12; w tym przeciągu czasu Izby ciągle się trudniły organizowaniem zarządu kraju, a mimo ciągłych narzekań na dyktatora, iż w uzbrojeniach

nie dosyć energicznie działał, sam sejm w dwóch tygodniach, to jest $\frac{1}{3}$ części czasu zarządu dyktatora nic a nic co do powiększenia uzbrojeń nie postąpił. Co zaś się tycze rady najwyższej, ta tylko starała się wykonywać to, co dyktator postanowił. Dopełniały się więc organizacje dawniej nakazane. Jakoż, kiedy koło 4-go lutego otrzymano wiadomość, iż kozacy przekroczyli w kilku punktach granice Królestwa, widzieliśmy przechodzące przez Warszawę czwarte bataliony i niektóre pułki jazdy nowoformowane, a nawet i parę pułków piechoty, które w bitwie grochowskiej brały udział, między innymi XX-ty pułk.

30-go stycznia ks. Radziwiłł opuścił Warszawę na parę dni dla zlustrowania wojska. 29-go stycznia opuścił ten świat Józef Koźmian, biskup kaliski, brat kasztelana. Przybył on do Warszawy już chory. Żył lat 58.

Przy schyłku swojego istnienia rada najwyższa wydała rozporządzenie, porządkujące pobór ofiar dobrowolnych. Pierwsza sesja izb po ukończonych wyborach zebrała się dopiero 3-go lutego. Zagaił marszałek sesję doniesieniem, że blisko $\frac{1}{3}$ część posłów opuściła stolicę, a że codziennie odbiera żądania o pozwolenie wyjazdu od przytomnych członków izby. Radzi więc zalimitować sejm, wyznaczając deputacyą do czuwania i załatwiania ważniejszych i nagłych spraw. Świdziński wynurzył zdanie, iż marszałek ten wniosek na piśmie uczynić ma i do komisji złożyć, lecz za zdaniem większości izby odrzucono tę propozycyą. Następnie postanowiono, nim projekt do budżetu na rok 1831 będzie przyjętym, na przedstawienie rady najwyższej otworzyć kredyt do dyspozycji rządu narodowego, wynoszący 67,223,873 złote, 13 groszy, w którym to kredycie na potrzeby wojenne przeznaczono 52 miliony, na dług publiczny 7,784,000, a resztę na wszystkie inne wydatki. Nakoniec dnia tego wydały izby odezwę do narodu, donosząc, że wojna stała się nieuchronną i wzywając do okazania energii.

Na tém posiedzeniu komisye zdawały sprawę z rozmaitych odesłanych do nich podań i wniosków; między innymi była petycja przez 200 oficerów z dawnego wojska podpisana, w której się uzalano, że w pułkach nowoformowanych ponadawano wyższe stopnie oficerskie osobom, żadnej kwalifikacyi do tego nie mającym, z pominięciem oficerów z wojska dawnego. Izba petycyą tę odesłała wodzowi naczelnemu. Odesłano zaś do komisji wnioski Zwierkowskiego, ażeby zamiast darów w złocie i srebrze, ustanowić dary w żelazie, tudzież o zaprowadzeniu w całym kraju gwardyi narodowych. Inne projekta, jakie w tym dniu podano, podsyłano do komisji.

Tymczasem rząd narodowy zajął się mianowaniem ministrów. Z tego powodu było pierwsze starcie, którego ja stałem się powodem. Mianowano zaś na ministra wyznań i oświecenia kasztelana Bnińskiego, na ministra sprawiedliwości Rembielińskiego, na ministra spraw wewnętrznych Bonawenturę Niemojowskiego, na ministra wojny Izy-

dora Krasińskiego, na szefa wydziału dyplomatycznego Gustawa Małachowskiego. Ks. Czartoryski proponował, ażeby mnie powierzyć ministerjum skarbu, lecz Lelewel wniósł, że to żadną miarą nastąpić nie może, ponieważ w r. 1825 nadużyłem zaufania izby, zmieniając tekst uwag nad raportem rady stanu. Był to pretekst, którego poparł Wincenty Niemojowski i Morawski, ażeby przeprowadzić kandydaturę Aloizego Biernackiego. Większością więc głosów ministrem skarbu mianowano Biernackiego. Muszę tutaj wytłomaczyć błachość owego zarzutu przeciwko mnie. W r. 1825 każdy z komisarzy odczytywał na sesyi Izby zredagowane przez siebie uwagi, te nie były połączone, a z pośpiechem pisane, zaniedbane miały punktuacye i łączniki; że czasu nie było do poprawek, za zgodą wszystkich piętnastu komisarzy, a nawet nie na mój wniosek, wyznaczono delegacyą, złożoną z Henryka Żubieńskiego i mnie do uważnego odczytania tych uwag i połączenia ich w jedną całość za pomocą nic sensu nie zmieniających łączników. Wykonaliśmy tę pracę; każdy dodatek podcyfrowaliśmy, odczytaliśmy miejsca poprawione komisarzom z zapytaniem, czy się zgadzają na podobne nic nieznaczące poprawki i bez żadnej opozycyi wszyscy je przyjęli.

Otóż, to był fakt, z którego Lelewel zrobił rzecz wielką, aczkolwiek sam nie był członkiem sejmu, a za tém nie mógł wiedzieć o tych szczegółach; lecz korzystając z wypadku, oświadczył, iż nie posiadam zaufania publicznego i że z tego powodu mianowanie moje nie może mieć miejsca. Zapomniano, iż przez te ośm tygodni byłem może najczynniejszym ze wszystkich zasiadających w rozmaitych rządach.

Odczytując odpowiedź daną na adres litwinów, nie można pominąć niektórych w tej mierze uwag. Redaktorem i promotorem tego był Lelewel. Odbija się więc w zupełności system federacyjny, którego on był zwolennikiem. W istocie historia nam przedstawia, że od wstąpienia na tron Władysława Jagiełły aż do Unii lubelskiej w 1569 roku, Litwa z koroną połączona była tylko wspólnością osoby panującego. Później, jakkolwiek miała odrębną administracyą i prawa, mając wspólny sejm prawodawczy, zlewała się z koroną ściślejszemi związkami. Lecz inna zupełnie była pozycja Wołynia, który, przemocą Litwie odebrany, do korony wcielono. Co zaś do Podola a témbardziej Ukrainy, te w części podbojem, w części przez wątpliwą Unią wchodziły w zakres krajów posiadanych przez koronę. W odpowiedzi sejmu na adres zostawiono każdej z tych prowincyi wolność urzędzenia się wedle woli, tak, że nawet słabonalegano na Unią ściślejszą, jedynie pragnąc, ażeby jedna osoba, wspólnie za króla obrana, stawiała się spójnią między narodowościami. Nie wchodzę w roztrząsanie, czyli podobne obietnice i projekty byłyby pożytecznemi, czyli nie uświęcałyby ciągłych niezgód między związkowymi, czyli nawet Europa pragnęła widzieć tak słaby zapór dla groźnej jej potęgi Wschodu; lecz uderza mnie, że do podobnych zobowiązań z góry przyzwalano, nie wiedząc, jakie będzie życzenie tych krajów, bo adres, podpisany

przez 200 osób, uchodzących za litwinów i innych, najprzód nie stanowił prawdziwego wyrażenia woli owych krajów a to tém mniej, że w liczbie tych 200 podpisów było wiele osób, które tylko z pochodzenia do tych krajów zaliczać się mogły. Był to więc środek obmyślony nie dla kraju, lecz dla zagranicy.

Na sesyi téj między innymi złożono projekt względem przysięgi. Projekt ten przyjęty został przez izbę poselską, lecz odrzucony przez senat. Odesłany do izb połączonych. Później o nim nadmienię. Na sesyi 4-go lutego izba poselska przyjęła większością 67 głosów przeciw 5-ciu projekt o przysiędze, o którym wyżej.

(d. c. n.).

Hessy O'Grady.

P O W I E Ś Ć O R Y G I N A L N A,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI *).

NAPISAŁ

Działo s z a.

XVII.

— Hallol miss O'Grady!... — zawołał ktoś, spieszący pod pagórek tuż za nią. Hessy odwróciła się i krzyknęła, jakgdyby przerażona...

— Ah! dobry wieczór panu, panie Myles!

— Dobry wieczór, miss Hessy. Śliczny wieczór, nieprawdaż?... Panienska pewnie nie z miasta wraca?

— Nie; byłam u pani Dogherty, w Ballytullagh.

— A!... u pani Piotrowój; bardzo to zacna podobno kobieta... Ale, jeżeli panienska pozwoli, to pójdziemy razem do Topoli.

— Ojca nie ma jeszcze w domu, panie Myles, przynajmniej...

— No, przynajmniej jest w domu moja matka — przerwał Myles, rzucając z ukosa przenikliwe spojrzenie na dziewczę, któremu towarzystwo jego było widocznie niemiłe — ja dziś do ojca O'Grady nie mam interesu... to jest, nie koniecznie dzisiaj — dodał z naciskiem po niejakiem zawahaniu.

— Pani Myles będzie panu bardzo rada — rzekła Hessy, by coś powiedzieć.

*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. maj r. b.

— Panienska sądzisz?

— O! jestem pewna! — zawołała Hessy z całą prostotą. Wiedziała bowiem dobrze, jak głębokie było przywiązanie złamanej wiekiem i biedą staruszki do jedynego syna. Michał raz był tylko odwiedził matkę, od czasu jej przybycia do Topoli. Marcin O'Grady myślał wtedy, że syn ją zabierze do swej własnej zagrody; ale Michał prosił, by mogła czas jakiś jeszcze pozostać pod opieką Maryanny i córki, dopóki do sił nie wróci i będzie mogła obejść się bez starań, którychby on przy pracy poza domem dać jej nie zdołał z należytą troskliwością. Ofiarował nawet wynagrodzić Maryannę i na jej ręce składać tygodniowo po kilka szylingów... lecz Marcin niczego przyjąć nie chciał. Pomimo głębokiego wstępu do mordercy Grubb'a i oskarżyciela Tomasza, O'Grady wołał znieść czasem jego obecność w chacie (z której sam się wtedy oddalał), anizeli powierzyć tajemnicę swoje i swęj pieszczotki przypadkowemu odkryciu w Knyveton!... Nadto, Marcin powodował się również uczuciem ludzkości: znając charakter Michała, był przekonany, że staręj Julii lepiej pozostać spokojnie w Topolach, gdzie obecność jej najmniejszej nie sprawiała różnicy.

— Dobrze to wiedzieć — ciągnął dalej Myles, patrząc bystro w twarz ciągle zakłopotanej dziewczeczki — że jest ktoś przecie w Topolach, komu będę miłym gościem!

— O! pani Myles zawsze pana wygląda z taką niecierpliwością!

— A nikt inny prócz matki? — zagadnął Michał, pozerając wzrokiem wiotką i wysmukłą postać pięknej Hessy.

Hessy nie odpowiedziała i nie podniosła oczu z ścieżki.

— Miss Hessy — odezwał się Michał po chwili — czy mówił kto kiedykolwiek panience coś... co złego o mnie?

— O panu? — zapytała, nie podnosząc oczu — czemu pan mnie pyta?

— O! tak tylko... no, przypomnij panienska sobie!

— Czy co złego, czy dobrego, na cóżbym ja panu miała mówić?

Michał zagryzł usta i zamilkł. Zbliżali się wtedy do chaty, więc zapóźno było przeciągnąć dłużej ten przedmiot rozmowy. Hessy, widząc Maryannę, wychodzącą z obory, zawołała, pytając, czy ojciec już wrócił?

— A gdzieby tam wrócił tak rychło! — odparła Maryanna, podpierając niewybredną kibić obu rękoma i mierząc Mylesa od stóp do głów wyzywającym wzrokiem. — A choćby i wrócił, toby do chaty nie wszedł teraz; powinnaś panna to wiedzieć i ktoś inny także! Ale niektórzy ludzie takięj już są natury, że choć im się pokazuje, co się o nich... co się im pokazuje, to nie widzą — zupełnie tak samo, jak to głupie bydło, co ślepie wlepi w płot, a niczego w nim nie wysłępi! Ho, ho! toć ja nie o pannie Hessy mówię; ani o Janie starym (choć, a r r a h, Bóg widzi, że i on częściej do głupiego wołu podobny, niż do siebie samego!).

— Idę do matki — przerwał Michał, wchodząc do chaty — nikomu tu w drodze być nie myślę, a długo się nie zatrzymam.

Hessy siadła na przyźbie i chusteczką twarz gorącą chłodziła. Maryanna zaszczepliła łańcuchem wrota podwórzowe i na kłódkę zamknęła, prowadząc dalej raz zaczęty dyskurs:

— Jabym z takim nie szła, choćbym do domu nigdy zejść nie miała! O'Grady dobrze-by zrobił, żeby osobną norę dał wybić do alkierza, a drzwi do domu zachował od jego cienia! Kiedy już biedna stara ma tu czekać na Dhana Dzu ¹⁾, to niechby synal stronił od chaty, bo przed takim to i potępieńcy strach mają. Choć znowu, z drugiej strony, niech sobie starowina żyje! Tylko, że jakże żyć ma, kiedy to pokarmu bożego tyle tylko weźmie, ile nowonarodzone... Święta Brygido! a moje prosięta!.. A missy też ani przypomni, ani się spyta o prosięta — aż same wołają o ospę... Ale bo to, jak złe w co wlezie, to i najporządniejsza niewiasta o swoich zapomni! Choć znowu, z drugiej strony...

I poszła Maryanna do kuchni po szkopek z zaprawioną ospą, zostawiając Hessy, zajętą otworzeniem bramy, którą już na noc była zamknęła.

Tymczasem, w alkierzu stał Michał przy okienku, naprzeciw krzesła, w którym otoczona poduszkami, siedziała jego matka. Kto nie znał staruszki przedtym, niżejmy ją spotkali poraz pierwszy w opuszczonej lepiance, na moczarach pod miastem Cork — tenby się zdumiał, widząc ją tak siedzącą, z białym czepcem na głowie, w chędogiej wełnianej odzieży! Twarz jój, choć na wiek zbyt mizerna i głębokimi pokryta zmarszczkami, nabyła pewnego spokoju, który jój wrócił dawną szlachetność rysów; oczy jój, choć wpadłe i krwią zasze, straciły jednak ów przestraszający blask pożerającej gorączki, jaki znamionuje nędzę w walce z zwątpieniem i głód — w oczekiwaniu pokarmu!

Staruszka powracała zwolna do sił, a w miarę jak nabierała zdrowia, wracała także energia umysłu, znikwały i słabły symptomy nieprzytomności władz moralnych. Stała się więc więcej milczącą, mniej często zdradzała tok myśli swych i marzeń o krótkotrwałém szczęściu w smutnej przeszłości, w której jednak żyć nie przestała wyobraźnią. Mawiała nieraz Marcinowi i Maryannie, że po okropnej burzy, jaka jój życie rozbiła, nic jój nie pozostało prócz — syna, swego najdroższego klejnotu! Michał był dla niej wszystkiem: początkiem spokojniejszych dni i końcem, do którego kierowała ostatnie marzenia i sny gasnącego żywota! O'Grady szanował miłość macierzyńską i Boga prosił przy pacierzach, by oszczędzić raczył matce boleść najgłębszą! Maryanna, zmuszona czasami słuchać długich opowiadań Julii o ukochanym Michale, litowała się nad nią i w monologach tylko, otoczo-

¹⁾ Dhan Dzu: posłaniec śmierci. W legendzie ludowej jest on Bacheusem „czuwał.“

na czworonożną gromadą, folgowała sobie w komentarzach własnych nad tém, co od staruszki słyszała.

— Ha, no! Michałku, moje życie, nie mówmy już o tém, kiedy ci się zdaje, że to niepodobna. Nie będę już marzyła o Knyveton—nie będę; chyba, że Bóg pobłogosławi pełném zdrowiem, kiedy będę mogła chodzić i ruszać się przez dzień cały bez zmęczenia! Ano—wtedyby grzechem było siedzieć tu w Topolach na łasce Marcina O'Grady.

— Zapewne! odparł syn obojętnie. Pocóż tu było przychodzić!

— Niech cię Bóg błogosławi, Michałku! Gdyby nie Topole, dawnobyś matuchę opłakał! Toż po jego śmierci, po śmierci biednego ojca i po pogrzebie, jaki mu tam biedakowi dała u n i a, cóż mnie tam było robić? Niech Bóg Najświętszy zachowa biedne ludziska od tyle nieszczęścia!.. Ale, kiedy on poszedł, a o tobie ani przedtém ani potem długo nie słyszałam, w wielkiej nędzy niemal sama już—do u n i i zawlec się musiałam.

— Tuście przyszli! ha! toć lepiej niż w domu pracy!

— Cyt! Michałku—nic... oj nie! Słuchaj tylko. Jednego wieczora wybrałam się z naszej lepianki. Nie było co zamykać, to i zostawiłam otwartą—dla biednych podróżnych. Widzisz, złotko moje, matuńcia rozum straciła!... zaczęła się o kiju na cmentarz, gdzie pochowali d a d a ¹⁾ i prosiła Pana Jezusa, żeby jój dał umrzeć na d a d a grobie!

— Pocóż to teraz przypominać! przerwał Michał z niechęcią. Staruszka oczy otarła perkalowym fartuchem, popatrzała na syna z czułością i dalej mówiła:

— Prawda, prawda, mój chłopaczku! Jeszczem ci o tém nigdy nie mówiła, na cóż więc zasmucać ci serce teraz, kiedy to już minęło! Jeno widzisz, Michałku, co mi bardzo smutno, oj bardzo!... to, że nie wiem, gdzie d a d leży... cmentarz wielki... a on ani kupki ziemi, ani krzyżyka tam swojego nie ma!

— Dosyć już, dosyć matko! Przyszlście więc tu, do O'Gradych!

— Sama nie wiedziałam jak!... Coś mnie porwało z miejsca, oddzielonego dla nieboszczyków ubogich, więc tak szłam i szłam do późnej nocy. Może to matucha do synaczka tak szła!... bo się pytała co chwila, aż w ciemnościach zgubiła dróżkę polną i tu się zabłąkała.

— Więc to był niby przypadek?

— Pan Jezus przyprowadził, Michałku. Bo widzisz, kochanie, jużbyś ty, żeby nie Marcin, matuńci swojej nie miał! Jużby ona tak oto padła przy drodze—i z d a d e m się złączyła!

— Aleście przecie znali starego O'Grady?

— A znaliśmy oboje, kiedyś, dawnol! Znaliśmy też żonę jego nieboszczkę...

¹⁾ Ang. wyrażenie pioszczotliwe, odpowiadające naszemu Tatkcu.

— Matkę Hessy...

— Matkę Hessy? — powtórzyła starsuszka pytająco, patrząc zdziwiona na syna—albo to ty nie wiesz, Michałku, że... no! ale może to ja nie powinnam ci powiedzieć, kiedy nie wiesz!

— Powiedźcie, owszem, matko kochana!—szepnął Michał ostrożnie, zbliżając się do krzesła.

— To już chyba inną razą, mój aniołku — rzekła starsuszka i wyciągnęła ręce, chcąc niemi objąć schyloną głowę Michała. Tenże cofnął się jednakże.

— Czemu nie teraz, matko? Któż wie, kiedy ja tu znów zajdę! Pracy w polu poddostatkiem; żeby nie kilku chłopców, przyjaciół—to sam nie wiem, jakbym sobie poradził!

— Przyjdź tedy jutro, Michałku, przyjdź wcześniej!

— Jutro? Nie mogę, matko, nie mogę! No—dodał, całując w czoło starsuszkę—przecież to nie tak długa zapewne historia, żeby się nie dała opowiedzieć w paru minutach!

— Ha! — odpowiedziała, wznosząc ręce i oczy—dawne to czasy... i nie wszystko już jasne w biednej pamięci! Ale, chłopczyku złotko, toż i ty pamiętasz Ballyglan—eh?

— Ballyglan? Juścić, że pamiętam. Zresztą i teraz znam dobrze naszą starą fermę, choć rola leży odłogiem. Nikt po nas tam nie osiadł; w domostwie—koszary konstablerów, a na toku stoją konie ich i dragońskie. Cóż jednak ma Ballyglan wspólnego z tém, co mi macie powiedzieć?

— Ano wszystko, Michałku! Pamiętasz mistress Agnes? Miałeś wtedy lat może dziesięć...

— Coś sobie... o! wiem teraz! mieszkała z nami—smutną była zawsze, chyba że przyjechał ktoś, pan jakiś....

— Tak, tak! Pan Leary.

— Nazwiska nie pamiętam. Tylko to sobie o nim przypominam, że mi raz darował swoją własną wędkę, kiedy miał odjeżdżać.

— Cyt! cyt! Michałku, siądź tu przy mnie blisko—rzekła Julia z nagłą zmianą w głosie i twarzy. Tak, dobrze. Powiedz-no tylko, a czy pamiętasz, jak ten pan wyglądał?

— Czy go koniecznie potrzeba w historii panny Hessy?

— Cyt! Ha!... Mistress Agnes i p. Leary—to rodzice przybranej Marcina!

Starsuszka wymówiła tych kilka słów ledwie dosłyszalnym głosem, z trudnością, jak gdyby mimowoli i z żalem, iż zdradziła tajemnicę O'Gradych. To też zaraz pochwyciła syna za rękę, niby w nim szukając obrony, jeżeliby źle uczyniła.

— Pamiętasz, jak wyglądał?

— Przy ojcu zdawał mi się bardzo chudy i wysoki... tak, tyle go sobie przypominam—miał czarne wąsy i brodę.

— Ten sam, Michałku, ten sam. Powiem ci więc, że... Postu-

chajno, czy są już w izbie, bo mi się zdaje, że słyszałam drewniaki dziewczyny.

Michał zbliżył się do zamkniętych drzwi alkierza i przyłożył ucho do szczeliny; ale żaden szelest nie dochodził z wielkiej izby, prócz trzasku łuczywa i węgli w kominku, na którym Maryanna zastawiła przed chwilą przygotowania do wieczerzy. Wrócił więc do krzesła, usiadł przy nim na podłodze i pochylił głowę na kolana matki, aby lepiej dosłyszeć jej szeptu.

XVIII.

Marcin O'Grady siedział na ławie obok córki, pod ścianą domu, na której światło wschodzącej pełni księżyca igrało z listkami bluszczu i ostrokrzewia. Kwiecień się kończył; bywały w nim dni jasnego i ciepłego słońca, po których niespodzianie nastąpiły przymrozki, przed kilku dniami spadły ciężkie ulewy, a teraz pogodna wiosna przedwcześnie zapowiadała upały. Roboty w polu dawno już były ukończone. O'Grady śledził bacznie stan powietrza i pilnie doglądał swoich ziemniaków, któremi obsadził każdą niemal piędź fermy. Plon zeszłoroczny utwierdził go w przekonaniu, że byle zachodu i starań nie żałować, to uprawa roli taka, jaką był przedsięwziął obficie się wynagrodzi i opłaci.

O'Grady był w mieście tego popołudnia. Wystawa bydła mała go teraz wprowadzić zajmowała po zaprowadzeniu zmiany zupełnej w gospodarstwie; ale był ciekawy postyszeć o wielkich przygotowaniach do rozpoczęcia w hrabstwie agitacji agrarnej. Dowiedział się też ważnych rzeczy w mieście. Powracając więc, zбочzył z drogi wstąpił na probostwo. Z księdzem plebanem, z wikaryuszami parafii i z kilku sąsiadami długą odbył naradę, po której zaszedł do dworku Jozeasa Peeta, zanim wrócił do Topoli i dowiedział się o myślowych odwiedzinach.

— A jakże się dziś ma mistress Julia, Het? zapytał dziewczętkę.

— Coraz lepiej, ojczulku. Otworzyła sobie okienko w południe, a nawet przejść się chciała w koło domu.

— Bogu chwała! Tylko bądźcie z nią ostrożne, bo po tak wielkiej chorobie i z nikłemi siłami chronić należy biedactwo, jak niemożliwe... A długo on już tu bawi?

— O! dłużej niż ostatnią razą. Będzie pół godziny, jak wszedł do chaty.

O'Grady zamyślił się, potem rzekł w pół do siebie:

— Widno, że coś ma w planie, kiedy matkę odwiedza. Zapewne znów się kędyś wybiera... A nie wątpić, że i oni teraz spokojnie siedzieć nie będą!... Był tu kto inny dziś, Hessy?

— Nikt nie był, ojczulku; tylko zaraz po południu, może w godzinkę po waszém odejściu, zjawił się koło bramy jakiś obcy, podróżnik—i zapytał o drogę do Knyveton, do osady pana Mylesa.

— O!—niedbale wtrącił O'Grady.

— Powiedziałyśmy mu i pokazały. On poszedł, ale kilka się razy obejrzał na chatę i na mnie. Widziałam go potem raz jeszcze, kiedy szła do pani Piotrowej, pod miasteczkiem, przy stacyi policyjnej. Skoro mnie zobaczył, odwrócił się prędko i wskazał mnie ręką konstablowi, z którym rozmawiał.

— Wskazał ciebie, Het? zapytał O'Grady z zadziwieniem.

— Mnie, da du, bo nikogo innego na drodze nie było.

— Hm!.. No, a widziałaś Piotrową Dogherty?

— Byłam u niej, ojczulku, dobrą chwilę i przyniosłam dzienniki — odpowiedziała Hessy, rumieniąc się na wspomnienie swęj wizyty w Ballytullagh.

— I cóż słyhać o Thadym?

Hessy podniosła kamyczek z ziemi i podrzuciła go z jednęj ręki do drugięj, odpowiadając z pozorną obojętnością:

— Pani Piotrowa nic mi nie powiedziała, da du... a przynajmniej bardzo mało.

— Bardzo mało! Toż mi mister Jozeasz mówił, że brat jego Achazyasz chłopca się nachwalić nie może! Byle tylko nie mieszał się do złęgo towarzystwa! Słyszałem, że się tam pokazuje z ludźmi, na których policya nastawiła szpiegów.

— O da du! Thady...

Wyjście z chaty Michała Mylesa przerwało serdeczną protestacyą dziewczeczki. Tęj samęj chwili, Marcin O'Grady powstał z ławy, i poprzędzając młodego człowieka, podszedł aż do podwórzowęj bramy. Stanął tam, zwrócił się ku nadchodzącemu i zakładając ręce na piersiach, spytał:

— Michale Myles, gdzie syn mój, Tomasz?

— W Dublinie — odparł zagadnięty bez zająknienia.

— Co on tam robi?

— Zostaje pod rozkazami „chłopców.“

— Nieszczęśliwe dziecko! — zawołał Marcin, załamując ręce. Słuchaj, Michale! Wiész przecie, że dla mnie tajemnicy nie ma: przypomnij sobie wieżę ś-tęgo Kolumbana...

Myles wstrząsł się i obejrzał dokoła. Ciemno tu było zupełnie. Zabudowania podwórzowe długie rzucały cienie wkoło obydwoh; księżyc świecił nad ich głowami. O'Grady postąpił krok naprzód.

— Nie bój się! Zuasz mnie, nieszczęśliwy, nadto dobrze i wiész, że póki syn mój żyje, żaden wyraz z ust moich przeciwko wam z oskarżeniem nie wyjdzie... póki on żyje i — moja dziewczeczka! Ale strzeż się, Michale! Słuchaj, ja nie chcę, by syn mój zmarniał między wami! Puśćcie go! dajcie mu opuścić Irlandyą! Czysty on na sumieniu — ty o tęp wiész najlepiej — niechże się tak ostanie, niech ręk nie wala krwią niewinnych — puśćcie go!

Myles stał z twarzą odwróconą od błagającego starca. Wzrok jego błakał się po przyległych krzewach. Myślał w tęp chwili o kole

Dermota; przypominał sobie suteryny w domu przy ulicy Studziennój, scenę, jaka tam zaszła w jego obecności, oskarżenie i wyrok—słuchał Marcina i milczał.

— Zapłacę wszystko, wszelkie przyjmę koszta—ciągnął starzec dalej, — Bóg widzi, że wolałbym patrzeć na niego umarłego, w trumnie, jak wiedzieć, że jest między wami, ślepymi obłąkańcami, co teraz nowe mordy gotujecie i gwałty!...

— Kto wam to powiedział?

— Kto mi powiedział?! — wybuchnął z goryczą starzec. On się pyta, kto mi powiedział!... Przecież mam oczy i uszy! Dość popatrzyć po osadach, po mieście, aby widzieć, co nas czeka! Zbrodnie i okrucieństwa w myślach waszych — a już i z temi się nie kryjecie, śmiałkowie! Bogu samemu uragacie! Tak wy w niedowarzeniu swojem hańbę gotujecie imieniowi irlandzkiemu, a rrah! poniżenie świętego narodu, co wieki całe przecierpiał i przeżył w torturach! Na niewinnych, na prostaków, na tych, co po was zostaną, gdy was samych kat odbierze — uparliście się sprowadzić cięższe kajdany, haniebniejsze wytępienie!

— My innym pomagamy — ligę wspieramy!

— Łżesz, łżesz, łżesz!

— W lidze są nasi.

— Łżesz!

— Jój założyciel, Michał Davitt, jest nasz.

— Łżesz, nędzniku! Ha! Jak mnie Bóg z jasnego nieba widzi, przysięgam na duszy swój zbawienie, że gdyby to prawdą było, tobym prędzej sam zapaloną żagiew pod własną strzechę podłożył aniżeli bym się do ligi zapisał!... Ale ty łżesz!

Na twarz Mylesa wystąpiła bladeść niepochamowanej wściekłości. Niewiadomo, coby był czynił, gdyby w tej chwili nie przeraził obydwoh szelest zbliżających się ostrożnie kroków za ścianą obory.

— Kto tam? — krzyknął O'Grady, ale odpowiedzi nie było.

— Kto tam? — powtórzył głośniej, lecz równie bezskutecznie.

Michał Myles oddalił się spiesznie ścieżką, prowadzącą od bramy do stóp pagórka.

Tymczasem nadbiegła Hessa i otworzyła kłódkę. O'Grady udał się spiesznie w stronę, z kąd potyszał szelest.

Z poza narożnego kamienia obory wyszedł przeciwko niemu niski, chudy człowieczek, z twarzą czarnym zarostem pokrytą aż pod same oczy.

— Ktoście wy? — gniewnie zapytał farmer.

Nieznajomy przystanął wprawdzie, lecz odpowiadając, przeginał się ustawicznie naprzód i w tył i w oba boki, podpierając się jedną ręką, a drugą dotykając kapelusza za każdym zdaniem, na sposób wojskowy. Małeńkie i błyszczące oczy jego zdawały się świdrować każdy przedmiot, na jakim się chwilowo zatrzymały.

— Łatwo to pytać—rzekł cieniutkim, słodkim głosikiem, us-

miechając się do groźnie nań spoglądającego Marcina. Łatwo pytać — nie łatwo odpowiedzieć. Gdyby mi tak wielkie pytanie postawił ś. p. ojciec mój, lub ś. p. matka moja, lub którykolwiek z ś. p. prawych przodków moich, odpowiedziałbym im wszystkim razem lub każdemu z osobna: jestem synem waszym, krwią z krwi, kością z kości, ciałem z ciała, jakom się narodził na świat...

— Zkąd się tu wzięłeś? A gadajże zaraz! Janie! Hola! Janie! O'Grady krzyknął silnie, aż echo się ozwało na dolinie. Nieznajomy, wciąż się przeginając, jak tancmistrz, stanął w otwartej bramie: Hessy na widok jego wołać poczęła:

— To on, ojczu, to on—ten obcy! i uciekła do chaty, zabiegając drogę Maryannie.

— W rzeczy samej, prawdę mówi dziewczica, czcigodny patronie — odezwał się nieznajomy. Na ziemi, zroszonej potem pra-pra-dziadów, jestem istotnie obcym! Przychodzę—albo jak wielebne usta wasze wyraziły: wzięłem się z wielkiego miasta. Idąc zaś, idę—idę—biegnę—lecę.

Zanim się O'Grady zdołał pomiarkować, już Jan leżał u nóg jego, jak kłoda; nieznajomy znikł w krzewinie opodal, z której dał kilka szczupaków i wyskoczył na ścieżkę. Ztamtąd popędził, ile miał sił, w dolinę, za Mylesem.

— Święty Janie w Oleju! Maryanno! jęczał, wołając po gaelicku stary wyrobnik Marcina; beusza beusza! Och, hon! wejrasthru! Maryanno, machrij! ¹⁾

— Och, bathershin ²⁾. Janie, machrij! I pewnie, że już beusza nic innego do roboty pod Topolami nie ma, kiedy się was uczepiła!

— Fejks ³⁾, tedy — odparł Jan Maryannie, czołgając się na czworakach po mokrej trawie i trzymając przedmiot jakiś w ręku, pamiątkę mi zostawił—przyjacielski duch, widać—nie beusza. Daj rękę, Maryanno, ma v orney, niech się podnieś i zobaczę... Whiskey, kuszła machrij! Och, tęga.

Młasnął językiem i podał Maryannie płaską flaszkę, do połowy napełnioną. Maryanna jednak ani słuchać nie chciała o skosztowaniu trunku!

— Rzucilibyście to, bigorra, Janie i spać poszli! Złodziej ten jakiś, co was zna dobrze, naumyślnie upuścił flaszkę, żebyście się nie obudzili do rana!

— A na co mi się budzić, machrij? zagadnął z głupowatą miną i przytknął flaszkę raz drugi do ust.

— Arrah, już wy pewnie między cielećkami św. Patryka żyli, na

¹⁾ Och, oj! biada mi, Maryanno, kochanku! — Machrij, jest używane bozostannie w mowie ludowej: Och brzmi bardzo gardłowo (ang. augh!)

²⁾ Zepsute z ang. bother: ej co tam!

³⁾ Z ang. Faith, wiara: ma foi.

górze Tara! Im się więcej starzejecie, tym z was wół cięższy i głupszy.

To powiedziawszy, Maryanna wróciła do chaty. Jan powlókł się do obory, gdzie miał swoje postanie,

Marcin obszedł całe podwórze, by się upewnić, że wszystko było w porządku i nikt inny się nie ukrywał w osadzie. Wchodząc do chaty, obejrzał się raz jeszcze ku dolinie i rzekł:

— Więc to już i szpiega na mnie szaleńcy nastawili! Boć szpieg to był, oczywiście. Ha! zobaczymy. Inne czasy!

W niewiele godzin po owém wydarzeniu, w jedném z okien pod strzechą chaty Marcina ukazało się światło. Najprzód na stole, pod samem oknem—bo promienie jasno płonącej świecy padały wzdłuż zagonu, w warzywnym ogrodzie. Potém ręka niewidzialnej osoby sięgnęła po lichtarz i cofnęła się z nim w głąb izby. Ktoby chciał zaspokoić ciekawość i zajrzeć do oświetconego wnętrza, mógłby to łatwo uczynić z wysokości pierwszej zaraz gałęzi, rosnącej przy ścianie jabłoni. A ujrzałby widok dziwny!

W izbie, przy nierościelonym łożku, siedziała na niskim stołku Maryanna. Ubrana była do podróży i cała zatulona długim, czarnym płaszczem, którego kaptur—podszyty tanim atlasem—spadał jej w przestronnych fałdach na plecy. Odświętne trzewiki stały tuż pod ręką, obok świecy w lichtarzu, na podłodze. Na trzewikach leżała zwinęta para pończoch, a na pończochach rzemyki, służące za podwiązki. Stopy Maryanny były bosc. Wpatrywała się w nie Maryanna z wielką uwagą, prowadząc szeptem taką dyskusyą:

— Magharnel! ¹⁾ Dwie żyły razem, wprost; jedna z ukosa w poprzek—to dwie pory dobre, a jeden nieprzyjaciel. Dwie pory dobre, niby teraz, kiedy wyjdę i potém, kiedy tam zajdę; jeden nieprzyjaciel—to on... A tu pod kostką: czerwona, czerwona, sina; niebieska... dłu i shla na chrij ²⁾, nie ma końca! Raz, dwa, trzy—jedna, dwie, trzy! A potém, kurze pazury. Czerwona—w drogę czas. Sina—mitręga. Niebieska—przyjaźń. Pazury—źli ludzie! Ano, bigorra, w drogę czas.

Maryanna zaciągnęła pończochy na prorocze nogi, podwiązała rzemykami, wstała i postawiła lichtarz z świecą na stołku, przy otwartej skrzyni w nogach łożka. Dobyła z niej gotowe zawiniątko.

— Jest wszystko, czego potrzeba. Trzy szylingi wskaplerzu. Raz jeszcze—tamtego.

To mówiąc, wyjęła z kącika w skrzyni blaszaną puszkę, otworzyła i wysypała w garść sporo ziarna jałowcowych. Poczém na kamieniu kominka zapaliła od świecy dwa na krzyż łuczycwka i rzucała po ziarnku na płomień.

¹⁾ Właśnie tak! Akurat!

²⁾ Furda, kochanku! (dosł. ja sama sobie kochanku!)

— Jedno! rzekła, gdy pierwsze zaraz ziarnko zatliło się i pęka-
jąc trzaśło. W miarę, jak rzucała ziarna, jedne zakuliły się aż pod
kratę kominika, inne, odbite od łuczywa, na izbę wypadły; pięć tylko
z trzydziestu czterech (odpowiadających liczbą wiekowi dziewczyny)
poszło za przykładem pierwszego.

— Sześć! na chrij; trzydzieści trzy, dwa, jeden, trzydzieści;
dziewięć i dwadzieścia, ośm i dwadzieścia. Dwadzieścia ośm! Tyle
dni w drodze, to za długo! Coby tu oni bezemnie robili! Ishla! Jan
się zaleje do czubka... a moje prosięta!

Przez dobrą chwilę, Maryanna stała w płaszczu; bynajmniej
niezdecydowana. Łuczywa dopalily się do szczytu, swąd tylko po nich
pozostał.

— A jak ja nie pójdę, nie znajdę i nie zrobię a rrah, to kto pój-
dzie, znajdzie i zrobi? On! Jeszcze więc raz ostatni!

Maryanna zamknęła skrzynię, schowała klucz pod kratę komin-
kową, postawiła świecę na stole, pod oknem i klękawszy przy stole,
zmówiła najprzód trzy Zdrowaś Marya, z wielkiem nabożeństwem. Po-
czém dodała z psalmów pokutnych akt strzelisty: „Nie chciéj pamię-
tać, Panie, win naszych, ani rodziców naszych!...“ i zaczęła odmawiać
zwolna i wyraźnie Pozdrowienie Anielskie... od końca!

— Amen. Naszój śmierci godzinę w i teraz...

Wiele jój widać zależało na tém, by się nie pomyliła ani razu;
bo ukończywszy w ten sposób pierwszą połowę modlitwy, czerwona na
twarzy i czole, jak burak, sapnęła głośno, otarła usta wierzchem ręki
i ciągnęła dalej z większą jeszcze, niż dotąd, ostrożnością. Im bliżej
była końca (a raczéi początku) tym dobitniej wymawiała każdy wyraz.
Aż wreszcie jęknęła „zdrowaś!“

Łzy się jój zakręciły w oczach. Przycupnęła do podłogi i poca-
łowała podłogę. Potém wstała, dobyła z pudełka, przybitego do ścia-
ny nad łóżkiem, kawałek poświęconej kredy, narysowała krzyżyk na
środku podłogi i otworzyła drzwi. Z zawiniątkiem w lewej, z trzewi-
kami w prawej ręce, zesła Maryanna cichuteńko ze schodów, tyle się
tylko zatrzymując, by tu i owdzie obronny i ochronny pozostawić krzy-
żyk. Równie ostrożnie—by nie zbudzić śpiących na górze i mi stress
Julii w alkwie—otworzyła drzwi chaty. Narysowawszy ostatnie trzy
krzyżyki—jeden na progu, drugi na drzwiach, a trzeci pod górną opra-
wą—złożyła zawiniątko przy progu, oparła się plecyma o ścianę i przy-
wdziała trzewiki.

— Święty Patryku!—zawołała prawie głośno, gotowa do podró-
ży—święty Marcynie, święte Estero, Julio, Maryanno! czuwajcie no te-
raz aż wróce, baczcie na chatę!... A bodajże téż! A ospa! Zapom-
niałam wczoraj wysypać ospę dla moich prościsków. Dhuishla!
Ospa w worku... ale, jak ta biedna kobieta zapomni! Choć znowu
z drugiej strony, po tém, com słyszała z wieczora przy alkwie bigor-
ra; nie wiedziałam, o którym wprzód myśleć... Święty Janie w Oleju!—
bo przecie i Jego nie mogę zapomnieć, choć to tylko tego niedomagają

Patron—pamiętaj o Janie, co tam znowu pewnie zaśni w oborze, aż mu Nina pysk obliże... benske go brały! Ja w drogę. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

I poszła—nie opowiedziawszy się nikomu. Nikt też nie wiedział dokąd poszła i po co.

XIX.

Nadchodził dzień, w którym miała się odbyć ostatnia w dublińskim sezonie uroczystość dworska—ostatnie levee, recepcya i bal.

O ile dwór panującej w Anglii monarchini jest posępny, o tyle świetne i okazałe są dwory jej wicekrólów. Sezon dubliński rozpoczyna się wprawdzie rychło i kończy w pierwszych dniach maja, by na nim nie stracił sezon londyński, trwający od maja do sierpnia; ale przyciąga daleko liczniejszych gości i—co więcej znaczy—dla handlu i przemysłu irlandzkiej stolicy, nierównie więcej jest zyskowny, bo rozrzutniejszy, hałaśliwszy, błyszczący. Osoby przedstawione wicekrólowi w dublińskiej sali tronowej nie potrzebują — jeżeli im chodzi o wstęp do dworu angielskiego, przechodzić przez sztywniejszą ceremonią w Buckingham Palace, lub w St. James's Palace: namiestnik odbywa bowiem monarsze levees w imieniu królowej, tak samo, jak królewicz następca tronu odbywa je w Londynie w zastępstwie dostojnej wdowy. Sezon irlandzki—od pierwszej recepcyi na zamku, aż do wyścigów w Punchestown—więcej ma życia, a bynajmniej nie jest pozbawiony dystynkcji. Formy dworskie istnieją i przestrzegane tu bywają może nie z tak głębokim poszanowaniem i odśrodkowym znaczeniem, jak w przedśionkach królewicza i królowej, lecz równie surowo i ściśle, a dla oka wspaniałej.

Skarb nie szczędzi i nie żałuje na kolonialne wystawności. Okazałość i powaga majestatu są odpowiednio, a nawet z pewną przesadą, reprezentowane w Dublinie, Kalkuccie i Quebecu. Lecz nigdzie w granicach imperyum brytańskiego nie ma wyraźniejszego natłoku do dworskich uroczystości, jak w ojczyźnie i w stolicy prostego i—opinii brytańskiej—, „w pół-dzikiego“ celto-gaela! Starożytna i od augielskiej dumniejsza, butna, zrezygnowana arystokracja indostańska, pogardliwem patrzy okiem na kilkunastu słuźalczych rajachów, szukających z wyrachowaną skwapliwością przypuszczenia do majestatycznej obecności reprezentanta cesarzowej Indyi. Dwór w Kalkuccie poprzestaje więc na azyatycko-europejskim przepychu, podziwianym jedynie przez azyatycko-europejskich urzędników, wojskowych i handlowych firm naczelników.

Wielkorządca Kanady, jeżeli nie jest synem lub zięciem królewskim, jest w Quebecu pierwszym, nieodpowiedzialnym dygnitarzem—niczem więcej. Kanadyjczycy dość blisko sąsiadują z Stanami, by instytucje swe i społeczny porządek zachować od wszelkiej cechy słuźbi-
stości i poddaństwa; daleko zaś są czystszej i więcej jeduolitéj w obu

provincyach rasy, aniżeli amerykanie Stanów—i to ich pozostawia chłodnymi, wolnymi od znanéj, śmiesznej arystomanii nowoyorskich i bostońskich demokratów.

Nie tak w Irlandyi.

Zamek dubliński jest środkowém ogniskiem tego obłudnego objawu tajemnych prądów oranżyzmu, jaki nazwano „kolonialną lojalnością“—w lodowatym oceanie narodowych pragnień i obywatelskich ambicyi. W zamku mieszczą się obok siebie powaga praw Anglii konstytucyjnej i powaga imperyalnego majestatu. Z zamku wychodzą administracyjne nadużycia konstytucyi, drakańskie ustawy gabinetowe przeciwko trzem milionom odrębnej narodowości irlandzkiego królestwa; z zamku również pochodzi i płynie wszelka przewrotność, uzbrojona prawem przemocy, charakteryzująca istotne i kapryśne panowanie jednego miliona kolonistów.

Były czasy w Austrii, gdy osobistości podejrzanej o mrzonki pisano z gabietu ministra: „Monsieur, Sa Majesté l'Empereur desire vous voir plus souvent à Sa cour de Vienne“... biada temu, kto nie słuchał życzenia i stronił od dworu!

W Irlandyi współczesnej, komu chodzi o cechę socyalnej dystynkcyi brytańskiej, a zarazem wierno-podańczości, powinien ukazać się na zamku—być przedstawionym. Podczas gdy w Anglii „presentation at the Court“ nadaje potwierdzający jedynie „dyplom“ znakomitości rodowej, lub finansowej—w Irlandyi, szambelan wicekrólewski, działający podług wskazówek sekretarza stanu, nie wymaga dowodów ni pierwszej, ni drugiej—żąda dowodów „lojalności.“ Kto więc nie bywa widziany na salonach zamkowych, ten w oczach rządu jest co najniżej „separatystą,“ jeżeli nie wręcz buntownikiem, a rebel; w przekonaniu kolonialnego high-life'u jest nikim; w opinii kolonialnej małomiasteczkowości jest—gburem. Małoduszni nie wiele może dbają o sąd sfer rządowych, lecz boleśniej czują ostracyzm w łonie towarzystwa, do którego należą, znieść nie potrafią, lub niechęć dorobkowiecowskiej napuszystości—obracając im plecy...

Do lat niedawnych, lord-mayor brał świetny udział w uroczystościach zamkowych, otoczony cywilnymi dygnitarzami stolicy. Majestat królewski w osobie namiestnika przyjmował u tronu municypalny majestat stolicy kraju. Pierwszy reprezentował monarchią i społeczeństwo sasko-normandzkie; drugi—konstytucyjną egzystencją „trzęciego królestwa“ i wolne instytucye cywilne, narodowe. Wicekról w szatach swego dostojenstwa, z insygniami orderu świętego Patrycyusza, podawał rękę lordowi-burmistrzowi, przyodzianemu starożytnym płaszczem najwyższego urzędu municypalnego, z insygniami „wolnej karty“ miasta Dublina i stołecznych swobód. Wkół obu grupowała się reprezentacya windsorska i westminsterska obok prymasowskiej katolickiej i prymasowskiej kolonialnej; otaczał obu uosobiony w swych zasłużonych agentach interes brytański i interes kolonialny wszelkich umysłowych i materyalnych kierunków. Lecz od chwili, kiedy rząd

angielski zdał sprawy administracyjne Irlandyi prawie bez żadnego ograniczenia w ręce biurokratów kraju i szefów wydziałowych na zamku; gdy odpowiedzialność parlamentarna sekretarza stanu irlandzkiego stała się częścią anomalią, wobec despotyzmu antyirlandzkiej większości w izbach westminsteru; kiedy oranżystowskie łóże, potępione przez lorda kanclerza Anglii, nie tylko mogły głosić publicznie konieczność wytepienia katolicyzmu i narodowości irlandzkiej, lecz owładnąć zamkiem, zagarnąć dla siebie najważniejsze urzędy i na czele ksiąg swych wypisać imię każdego namiestnika, jako członka i „brata“ ex officio; gdy nakoniec stało się dublińskiemu municipium niepodobieństwem zapraszać wicekróla na swoje bankiety i uroczystości—ile że wicekról obecność swą robił zależną od wykluczenia powszechnie szanowanych posłów i patryotycznych dostojników stołecznej gminy; kiedy, jedném słowem, namiestnik został agentem najzacieklejszych wrogów kraju—lord-mayor stolicy przestał bywać na zamku i przestał zapraszać wicekróla na oficjalne obchody stolicy. Zzymała się na to mniejszość ławników protestancka, ale kraj cały przyklasnęła decyzji—a większość reprezentantów miasta Dublina zawotowała w radzie podwyższenie honoraryów lorda-mayora, by mu dać możność pomnożenia i uświetnienia festynów ratuszowych, mających się odbywać każdego roku równocześnie z rautami i recepcjami dworskimi.

Różne nad oną decyzją czyniono komentarze. Koloniści wołali, że to rebelia i koutempt majestatu; mniejszość ławników stołecznych uderzyła na alarm, nazywając recepcye lorda-mayora żakowską fanfaronadą i lekkomyślném trwonieniem publicznego grosza, na inne potrzebnego cele. Mieszkańcy stolicy byli jednakże zadowolnieni z idei „podwójnych”—jak je zwano, sezonów. Po Nowym Roku, Dublin przepętnił się „zamkowymi“ i „ratuszowymi.“ Koloniści współubiegali się z narodowcami, lub jak mówiono: „homerulerami,“ aby wspaniałość i życie sezonu im przeważnie przypisywano. Płeć piękna zwykle rozstrzygała spory, po czyjój stronie więcej było pięknych panielnek, po raz pierwszy w świat wstępujących — po téj stronie leżał tryumf sezonu. O ile jednak argument ten był prosty i bądź co bądź słuszny, o tyle też z góry można było przewidzieć, który obóz poszczyci się palmą zwycięstwa. Na jedną bowiem w zamku piękną lady, stawało w ratuszu dwanaście celtyckich lassies, czarnookich dziewczoi z hrabstw południowych, w których krew drgała andaluzyjska, lub klasycznych rysami donegalek, w których odrazu spostrzegłeś mi-lezański rodowód.

W dzień, poprzedzający ostatnie levee i bal na zamku, ruch był więcej niż zwyczajny w wielkich ulicach Dublina. Magazyny damskie roiły się niecierpliwemi klientkami, chociaż były to przeważnie—jeśli nie jedynie—żony, siostry i córki homerulerów, dopełniające swych potrzeb, na ostatni bal ratuszowy. Damy „zamkowe“ dawno już wyperswadowały swym niewolnikom, iż już przecie sama lojalność zakazuje kontentować się produkejami, tych irlandzkich kato-

lików i fenianów!.. Niel Suknie balowe i prezentacyjne powłoki muszą koniecznie pochodzić z ulicy Regenta, z magazynów Madame Elizy, lub Madame Pauliny de Simpkins. Jeżeli mąż lub ojciec zbyttnio reflektował, jakby mógł pogodzić lojalność z oportunizmem — umiały go żona lub córka przywieść do natychmiastowej decyzji:

— Chyba sądzisz, mój skarbie najdroższy, że kiedy już mamy telegrafować do Londynu, to może lepiejby od razu do Paryża... do Worth'a!..

— Niel.. no, ja— tego... rzecz jasna! Poślij depezę na ulicę Regenta, oczywiście. Albo — hm! może mi pozwolisz zatelegrafować samemu—właśnie mam wychodzić!..

Koloniści majątni inną jeszcze noszą nazwę w Irlandyi—a b s e n t e e s, „nieobecnych”. Wielcy właściciele ziemi, rękodzielnicy, właściciele okrętów i handlowych zakładów dobywają z kraju krwawo przez tuziemców zapracowany grosz na to tylko, by go czempredź na drugą przetrzucić stronę kanału 6-go Jerzego. Sami gardzą ojczyzną (bo bądź co bądź Irlandya jest ich rodową i urzędową ojczyzną); rzadko do niej przybywają i tylko na czas najkrótszy — a nawet wtedy starają się obyć bez wszystkiego co irlandzkie. Powiedziano o niektórych z nich, że gdyby mogli, powietrzeby z sobą przywozili zagraniczne w specjalnych respiratorach!

Stało się zatem podwójnie obowiązkiem tuziemców, dumnych z imienia irlandzkiego, poprzestawać na produkcjach krajowych i z kwestyi importacyi zbytwnych, lub potrzebnych wyrobów, wyrabianych choćby i gorzej we własnym kraju — zrobić kwestyą publicznego wstydu.

Kwakier Achazyasz, podobnie jak wszyscy jego bracia według ducha, robił niezłe interesa, stojąc neutralnie jak na „przyjaciela” przystało, między obu obozami. Od dnia, w którym dopełnił swych obserwacyi nad Thadym i nabrał przekonania o jego rzetelności, prawiści i nie małej dozie przemysłowego rozsądku—brat Achazyasz Peet anonsował stale w dziennikach stołecznych, że w handlu swoim umieścił pomocnika, któremu powierzył „wolny i swobodny zarząd w wydziale roślin i kwiatów używanych czasami (tyle dla zaspokojenia sumienia) przez licznych przyjaciół do przyozdobienia salonów i sal bankietowych.” Nie dziw więc, że przy znanėj sumiennosci kwaków, sezon stołeczny, „podwójny,” był dla niego żniwem. Przestrzegał wszakże, by o ile możności najmniej miał do czynienia wprost z wypożyczaniem swych roślin.

Zmartwił się więc niemało, gdy w chwilowej pomocnika swego nieobecności, stanął przed handlem wytworny ekwipaż, wszedł do kantoru wygalonowany lokaj i złożył na stole bilet, na którym były wypisane nazwy doniczkowych roślin, potrzebnych „do kancelaryi szambelana Jego Ekscelencyi lorda namiestnika” na dzień następnny:

— Nie wiem, przyjacielu—rzekł z zamkniętymi oczyma—nie

wiem, czy pomocnik mój to uczyni. Dam mu to pisanie, skoro za łaską Boga przyjdzie tu po spożyciu południowego posiłku. Pomocnik mój sam wtedy uda się, sędzę, do urzędowej izby przyjaciela, od którego z ulicy przyszedłeś. Będzie to, o ile mogę powiedzieć—tu spojrzaj na zegar—za minut czasu czterdzieści i pięć, lub czterdzieści i sześć. Niechaj ci się szczęści przyjacielu—tobie i twoim.

Lokaj wrócił do ekwipażu, a kwakier do ksiąg swych handlowych i listów.

Korzystajmy z pierwszej, jaka się następuje, okazji przypatrzenia się Achazyaszowi,

Liczy on lat sześćdziesiąt i pięć, bo tak zapisano na pierwszych kartach jego olbrzymiej, w mosiądz okutej biblii rodzinnej gdzie figurują wszystkie nazwiska jego linii od r. 1652, czyli od dnia, w którym, jak czytamy: „Obadyasz wyzwał-Się-Djabłu, zwany przez światowych Karolem Peet, wziął do siebie Metesdę, córkę Jonatana Trzęsnij-Mną-Panie, zwanego przez światowych Janem Harvey, i Maryi, jego połowicy w obliczu Pana.“

Achazyasz jest w towarzystwie przyjaciół „starszym.“ On to w Dublinie wiąże i kojarzy małżeństwa siostr i braci, wedle obrządku jedynie w sekcje uznanego. Majestatycznej postaci, wysoki, otyły, o ruchach i giestach poważnych, patryarchalnych, z długą białą brodą sptywającą mu na szerokie piersi:—brat Achazyasz z ulicy zamkowej najwspaniałej się przedstawia, gdy stojąc z wzniesionemi rękoma i oczyma przed stołem, za którym siedzi cierpliwa para oblubieńców, czeka natchnienia i „zstąpienia Ducha.“ Długo on tak nieraz stoi zrezygnowany: zgromadzeni bracia i siostry śledzą pilnie rysy pełnej jego twarzy i źrenice czarnych, jak noc jego oczu—rychło się usta jego otworzą uśmiechem, oczy spoczną na mężu i niewieście. Wtedy bowiem Achazyasz odezwie się swym dźwięcznym, basowym głosem: „Stało się! Duch zstąpił na mnie. Edyto i Danielu, idźcie w pokoju, służcie Panu w małżeństwie, wyrastajcie i mnożcie się. Tak niech się stanie!“ Achazyasz Peet, jako „starszy“ w sekcje, pełen jest bezwątpienia i innych dobrych przymiotów, gdyż jest zarazem syndykiem stołecznej izby handlowej, skarbnikiem wielu dobroczynnych towarzystw i mężem powszechnie szanowanym dla swej głębokiej roztropności, wielostronnego doświadczenia i serca otwartego, niby wrota szerokie, każdemu doń kołaczącemu. Wdowiec i bezdzietny, znaczną swą fortunę zlał w jedną z Jozeaszową, jakieśy to już wspomnieli. Brata swego cenił ponad wszystkich śmiertelnych i był do niego serdecznie przywiązany.

Z tém wszystkiém, miał swoją słabostkę—jak i brat jego z Tramore. Jozeasz uwziął się na wygrzebanie z wszelkich możliwych szczątków starożytności dowodów, że Homer nie tylko istniał w ciele i kościach, lecz sam jeden był autorem obu poematów. Achazyasz był biblomanem, lubownikiem ksiąg starych i rzadkich;—ale zarazem postachem wszystkich innych antykwarzy. Nie cenił on wcale parga-

minu i oprawy. Rozdzierał starożytne wydanie bez skrupułu, jeżeli wydaniem takim mógł skompletować inne, poprzednie lub następne, albo nawet odmienną całkiem treścią dzieło, wzmiankujące taką a taką sentencyą w owém rzadkiem wydaniu. W zbiorze swym posiadał Achazyasz „Dzieje Irlandyi“ Mandeville'a; czytał je z mrówczą pracowitością, a gdy tylko natrafił na imię, lub na wypadek sobie nieznanym, — szukał komentarzy w innych księgach; znalazłszy, wycinał kartę i wlepił w „Dzieje.“ Tym sposobem zniszczył jedyną zapewne w Irlandyi księgę „Kronik Geralda,“ którą kupił u handlarza rupieci i dołączył natychmiast z nię, co się dało, do „Dziejów Irlandyi,“ kilkadziesiąt kart do Humego „Dziejów Anglii,“ kilkanaście do Scotta „Opowiadań Dziadunia“ — a resztę trzymał pod kluczem, póki by nie zapotrzebował do skompletowania jakiego innego dzieła. Wyrzucali mu wandalizm taki bracia przyjaciele — ale nawrócenia i poprawy nie wskórali. Achazyasz twierdził i bezwątpienia był przekonany, że tak postępując, księgi bogacił, nie zaś psuł, szpecił i niszczył.

Skoro Thady powrócił z obiadu, pryncypał wskazał mu, milcząc, bilet szambelana.

— Nie wiem — rzekł pomocnik, czy mi tych roślin nie zabraknie, bo już poprzednio obiecałem sporą ich grupę dostawić do ratusza.

— Tadeuszu Kennedy — odparł poważnie kwakier — reflektuj się w duchu nad obowiązkami swemi we własnym kantorze. Obowiązki swoje znasz, przyjacielu Kennedy!

— Ja tylko, panie Peet, chciałem się pana poradzić, czybyśmy nie mogli odmówić „zamkowym?“

— Ja zaś na to przyjacielowi swemu odpowiedzieć nie mogę. Obowiązki przyjaciela mego są jasne, a gdzie obowiązek woła, tam różnicy czynić nie należy, lecz sprawiedliwością się rządzić i zdrowym sądem, jako napisano: „Sprawiedliwość i sąd mieszkaniem twego tronu; miłosierdzie i prawda przed obliczem twojem postępować będą.“

— Kiedy już u mnie więcej roślin takich nie ma!

— Azasię obowiązek woła: zwróć potrzebę swą dokąd należy!

— Ale pan roślin nie wypożyczy!

— A!... westchnął kwakier z głębokim politowaniem, jako mnie nie znasz! Roślin ja nie wypożyczam dla zbytku i nieboskiej uciechy. Ale gdy pomocnikowi idzie o dopełnienie grup w wydziale jemu przezemnie poręczonym — czemużbym odmówił?

— Przepraszam pana! rozumiem teraz! — rzekł pomocnik, odwracając i powstrzymując wybuch śmiechu. Późem, nie czekając dalszych wskazówek, zawołał chłopca, a wybrawszy, jakie mu były potrzebne kwiaty, kazał odnosić do swego magazynu po drugiej stronie domu.

— Przyjacielu Thady — odezwał się po chwili pryncypał — obiecałem, że sam w swój osobie dasz odpowiedź w izbie urzędnika, nazywanego szambelanem, o ośm lub dziewięć minut po drugiej.

— Dobrze, panie. Idę natychmiast. Z zamku przyjdzie mi pospieszyć do ratusza, bo miss Farrel, jedna z gospodyń dzisiejszego koncertu i jutrzejszego balu, chce mieć kwiaty na piątą!

Brat Achazyasz wznosił do góry ręce i oczy.

— Ja się, przyjacielu Kennedy, do twoich spraw nie wtrącam — o nic nie zapytuję. W dzień szósty zdajesz mi rachunek z obrotów w zarządzie swoim — i na tém poprzestaję, bo ufam wierności twój. Jednakże duch każe mi oświadczyć, iż niecną jest rzeczą ludzi ucho człowieka dźwiękiem sztucznym i śpiewem! Alboż nie pyta psalmista: „Gdzie jest Bóg, mój Stworzyciel, dający śpiew w nocy?” Nie ma Go!... Tak i te płąsy w ciałach niezakrytych są przeciwko Zakonowi. Czytamy albowiem, jako małżonka strofowała Dawida, iż bezwstydnie obnażony pisał skocznie przed niewiastami, niby jeden z próżnych!

— Będę musiał, proszę pana — rzekł Thady, wracając do rzeczy — wziąć omnibus albo dorożkę z zamku do ratusza, bo droga zbyt daleka a obiecałem pomagać tam w ustawieniu kw... potrzebnych rzeczy i stawić się o wpół do trzeciej.

Kwakier kiwnął głową przyzwalająco i Thady znalazł się wkrótce na ulicy, spiesząc ku zamkowi. Przed bramą, przy której stało dwóch konnych dragonów z dobytymi szablami i włożyło się mnóstwo gawiedzi, zatrzymał się i dał ręką znak jednemu z dorożkarzy, zwykle tu stacyonujących. Potém znikł między konstablerami i tajnymi policyantami, a dorożkarz podjechał bliżej dragonów i czekał.

(d. o. n.).

Z EKONOMIKI.

I.

Potrzeba organu ekonomicie poświęconego. — Dlaczego dotychczasowe usiłowania nie wydały owoców. — Program nowego ekonomisty i przypuszczalny budżet wydawnictwa. — Kwestya chlebna w Paryżu. — Przeciętne koszty wypieku. — Piekarnia w Roubaix i Angoulême. — Nowe reformy finansowe w Rosyi. — Income-tax w Anglii. — Badania R. Giffena o dochodach anglików. — Pokrywanie wydatków wojennych w Anglii budżetem. — System francuzki obłożenia przemysłu i handlu. — Podatek przemysłowy we Włoszech, Prusach i Austro-Węgrzech. — Opłaty przemysłowo-handlowe w Rosyi. — Podatek przemysłowy w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi. — Porównanie przemysłu i handlu w Królestwie i gubernii moskiewskiej. — Podatek dochodowy w Rosyi. — Dwie jego gałęzie: odsetne oraz składka przemysłowo-handlowa. — Nowe urzędy podatkowe. — Przypuszczenie do udziału przedstawicieli ludności miejscowej. — Sieć kolei żelaznych na kuli ziemskiej. — Rozwój dróg żelaznych w Ameryce i konkurencyja zbożowa.

Wiadomo czytelnikom „Bibl. Warsz.,” że p. Bronisław Mayzel podał w końcu roku zeszłego wniosek, ażeby Towarzystwo popierania przemysłu i handlu przystąpiło do wydawnictwa własnego pisma z charakterem ekonomicznym. Dalsze losy wniosku nie są nam znane, zauważyliśmy jednak w samym już zaczątku pewien pesymizm, z jakim projekt został przyjęty przez jeden z najpoczytniejszych dzienników, którego kronikarz między innemi pisze: „przedewszystkiem p. Mayzel życzy sobie posiadać organ, któryby streszczał prace członków Towarzystwa. Niewątpliwie byłoby to dobrém, gdyby... znaleźli się czytelnicy ¹⁾, dziś jednak usposobienie opinii publicznej jest takie, że do po-

¹⁾ Trudniejszą sprawę stanowi liczba prenumeratorów, potrzebna do utrzymania poważnego pisma naukowego, ponieważ społeczeństwo nasze nie

znawania ważnych kwestyi gospodarstwa krajowego wystarczają jej „wiadomości bieżące“, „wypadki“, „kroniki krajowe i zagraniczne“ i t. d., że więc organ Towarzystwa miałby w perspektywie śmierć głodową. Z drugiej strony pamiętamy, także że i ś. p. Sommer, redaktor Ekonomisty, zawieszając to pismo, powiedział, że wydawnictwo Ekonomisty było widocznie przedwczesnem dla naszego społeczeństwa.“

Naszém zdaniem mylił się Wiktor Sommer i późniejsi redaktorowie i wydawcy Ekonomisty. Że dotychczasowe usiłowania nie osiągnęły celu, to bynajmniej nie dowodzi jeszcze, aby Ekonomista nie miał racyi bytu w przeszłości, a témbardziej w chwili obecnej. Wydawnictwo pisma, tak jak i każde inne przedsiębiorstwo, zależy przede wszystkim od fundamentu, na którym się opiera, to jest od kapitału, a następnie od dobrej administracji. Ileż to przedsiębiorstw, nie mówię już w zakresie literackim, ale np. handlowym lub przemysłowym upadło, nie dlatego aby były przedwczesne, lub nie miały racyi bytu, ale dlatego, że nie miały albo odpowiedniego kapitału, albo dobrej administracji, lub też jednego i drugiego, co się najczęściej zdarza.

Powodzenie pisma zależy przede wszystkim od dostatecznego uposażenia i dobrej administracji, (rozumiemy tu nietylko w ścisłym znaczeniu administracją, ale zarazem i redakcją). Przynętem wydawnictwo pisma specjalnego mianowicie Ekonomisty, wymaga jeszcze wielu innych warunków, których zaniedbanie spowodzić musi upadek pisma. Ekonomista dla naszego społeczeństwa musi obejmować wszystkie działy ekonomiki równoległe prowadzone, a głównie powinien stanąć na gruncie krajowych interesów ekonomicznych. Nie może być prowadzonym wyłącznie w kierunku teoretycznym, niejako abstrakcyjnym, jak to było w pierwszym jego okresie (miesięcznik), ani też nie może poprzestać na uprawianiu pewnych tylko gałęzi gospodarstwa społecznego, i to niesystematycznie, więcj dorywczo, jak to czynił tygodnik.

Ekonomista, obejmujący wszystkie działy gospodarstwa narodowego, nie może się ograniczać tak homeopatycznymi rozmiarami, jak to czynił tygodnik w końcu swego istnienia. Potrzebuje zatem znacznego nakładu i znacznych sił literackich. Nie tylko teoria, ale i wszelkie kierunki ekonomicznej pracy narodowej powinny znaleźć w nim uwzględnienie, rozbierane równomiernie i w właściwym czasie. Dlatego też wydawnictwo Ekonomisty jest przedsięwzięciem trudnem, znacznych nakładów wymagającym, chociaż o ile znamy stosunki krajowe możliwem do wykonania.

Nie będziemy dowodzić, że pismo ekonomiczne jest dla nas p o-

wzniosło się jeszcze na ten stopień kultury, żeby podtrzymywanie piśmiennictwa naukowego uważało za jeden ze swoich pierwszych obowiązków. Zaznaczając ten smutny fakt dzisiaj, mamy nadzieję, że to jednak niobawem nastąpi.

Red.

trzebniem. Dostyć wspomnieć niektóre instytucje społeczne w ostatnich latach powstałe, dostyć rzucić okiem na ten grosz publiczny ofiarnością ogółu zebrany, a tak często nieprodukcyjnie marnowany, dostyć przeczytać te codzienne niemal herezye ekonomiczne w wielu organach, aby się przekonać, jak często nauka jest poniewierana, jak często wykraczamy przeciwko kardynalnym, równoznacznym z tablicą Pytagoresa, zasadom ekonomiki. Jeżeli rozpowszechnianie pewnych teorii w niespecyalnych organach, często więcej szkody niż pożytku przynosi, to jakąż to niepowetowaną krzywdę wyrządza społeczeństwu krzewienie w nim pojęć niezgodnych z nauką, i podkopujących zdrowy rozwój ekonomiczny? Od lat pięćdziesięciu kraj nasz podlega bezustannym eksperymentom oraz różnorodnym usiłowaniam przytępienia pojęcia pracowitości i porządku, i tak już peryodycznemi wstrząśnieniami politycznemi osłabionego. W naszym przeto społeczeństwie, będącym pod względem ekonomicznym jeszcze niejako „rudis indigestaque moles,“ zachodzi większa niż gdzieindziej potrzeba organu specyalnego, ekonomicie poświęconego. Lecz, ażeby wskrzeszony „Ekonomista“ odpowiedział potrzebom należy:

aby redaktor był wyłącznie pismu oddany, to jest, aby tak był uposażony, iżby nie potrzebował piastować żadnego urzędu lub zajmować się jakim przedsiębiorstwem dla zdobycia środków utrzymania;

ponieważ redaktor Ekonomisty nie może być specjalistą we wszelkich gałęziach, to w pomoc jemu należałoby dodać komitet redakcyjny, z czterech członków płatnych złożony, którymby powierzono cztery główne działy Ekonomisty, mianowicie: 1) finanse i kredyt, 2) rolnictwo, 3) przemysł, 4) handel. Każdy z współredaktorów, pobierający, prócz honorarium za własne prace, stałą pensją, powinien się starać, ażeby tak teoria, sprawy ekonomiczne krajowe, ważniejsze zagraniczne oraz bibliografia i statystyka jego działu, były należycie reprezentowane i troskliwie w właściwym czasie traktowane. Redaktor więc i czterej kierownicy działów byłiby głównymi siłami literackimi pisma. Do pomocy im możnaby dodać dwóch studentów (?) uniwersytetu, ekonomicie poświęcających się, ze stałą płacą dla przygotowywania wyciągów, rozmaitych tabel, sprawozdań i t. p.;

redaktor, obeznany gruntownie z kwestyami społecznymi, śledzi pilnie, aby sprawy będące na dobie były bezwzględnie w Ekonomistcie ze znajomością traktowane. W tym celu zostawać winien w ciągłych stosunkach z ludźmi ekonomikę uprawiającymi i powinien zamawiać artykuły u odpowiedniego specjalisty;

ze względu na to, że traktowanie spraw społecznych wymaga bezustannych badań, porównań, robienia wyliczeń i t. p., tak, że często dla krótkiego artykułiku potrzeba wiele czasu i trudu poświęcić, należy też honorarium za współpracownictwo w Ekonomistcie płacić wyższe niż w innych pismach.

Każdy numer Ekonomisty w zasadzie powinien obejmować:

a) krótki przegląd polityczny (résumé), uwydatniający głównie te wypadki i prace parlamentarne, które szczególnie mają związek z ekonomiką.

b) artykuł wstępny, traktujący wydatniejszą sprawę ekonomiczną krajową, na dobre będącą;

c) artykuły w zakres powyżej wymienionych czterech działów wchodzące;

d) kronikę i bibliografią ekonomiki;

e) rozporządzenia rządowe, sprawozdania giełdowe, zdania sprawy instytucji kredytowych, większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych i t. p.

Koszta wydawnictwa Ekonomisty (tygodnika), przyjmując format „The Economist“ lub „L'Économiste français,“ każdy numer z dwóch arkuszy, to jest 12 stron treści i cztery płatnych sprawozdań i ogłoszeń, drukując 1,000 egzemplarzy, w przybliżeniu byłyby następujące:

redaktorowi płacy rocznie	rs. 1,800
4 współredaktorom	„ 1,920
2 pomocnikom redakcyi	„ 600
sekretarzowi administracyi	„ 600
honorarium, licząc średnio 400 w.	
po 6 kop., 600 w. po 5 i 4 k. i 800 w. po 3 kop.	
za jeden numer 75 rub., czyli rocznie	„ 3,900
papier licząc ryżę po 6 r.	„ 1,248
druk	„ 1,664
książki i pisma	„ 300
woźnemu	„ 300
lokal	„ 600
wydatki nieprzewidziane	„ 568
razem wydatki rocznie	rs. 13,500
dochód licząc 900 egzempl. po r. 8	rs. 7,200
ogłoszenia 4 stron., po r. 30 za str.	„ 6,240
dochód przybliżony	rs. 13,440

czyli w przybliżeniu Ekonomista, mając 900 płatnych prenumeratorów, zamykałby budżet bez deficytu. Bezwątpienia w pierwszym roku wykazałby się pewien niedobór, gdyż nie możnaby liczyć na całkowitą odrazu liczbę prenumeratorów, spodziewamy się jednak, że gdyby pismo było prowadzone na wyżej wypowiedzianych zasadach, to już w drugim roku prawdopodobniejszy byłby zysk aniżeli strata.

Spółczeństwo nasze bynajmniej nie zadawalnia się dzisiaj rozprawami ekonomicznymi, czerpaniem z wiadomości bieżących, wypadków chwili i t. p., czego najlepszym dowodem, że nie ma prawie dziennika, któryby się nie starał choć od czasu do czasu pomieszczać obszerniejsze prace treści społecznej. Traktowanie jednak spraw ekonomicznych w dziennikach, przedstawiających różne kierunki i stara-

jących się często kwestye społeczne wyzyskać dla jednostronnych celów, nie ma tej doniosłości, jakąby miało uprawianie ekonomiki w organie specjalnym, przez specjalistów redagowanym i wyłącznie kwestyom ekonomicznym poświęconym. I same redakcye pism, najczęściej ze sprawami ekonomicznymi nie dosyć obeznane, miałyby w „Ekonomiście” pewnego rodzaju drogowskaz, z którym, jakkolwiek mogłyby się często nie zgadzać, ale który nie raz uchroniłby je od zejścia na manowce, na które często sprowadzane zostają przez współpracowników niedostatecznie z ekonomiką obeznanych.

Wskrzeszenie „Ekonomisty” wobec budzącego się u nas coraz więcej przemysłu i handlu, wobec rolnictwa, stojącego dziś na przelomie, a co najważniejsza, wobec prądów socyalnych, tak silnych na Zachodzie, a falami swemi coraz bardziej i dalej wkraczającymi na nasze niwy, wobec tego wszystkiego, mówię, wskrzeszenie „Ekonomisty” jest sprawą wielkiej doniosłości. Wydawnictwo Ekonomisty nie może być dziełem kółka przyszłych współpracowników, gdyż ludzie ci najczęściej nie mają odpowiednich zasobów pieniężnych, aby przetrwać ciężkie zwykle początki. Ekonomista na pierwsze lata potrzebuje pomocy kapitalisty, ale nie jako kapitalisty, któryby redakcyi stawiał jednocześnie swoje warunki, lecz pomocy kapitalisty-obywatela kraju, któryby, dając zapomogę, miał jedynie dobro kraju na celu.

Z Ekonomistą mogłoby być połączone wydawnictwo „Biblioteki ekonomicznej,” na wzór „Biblioteki umiejętności prawnych,” mającej głównie na celu rozpowszechnianie w polskim przekładzie arcydzieł ekonomiki oraz wybitniejszych prac oryginalnych, których niedostatek coraz bardziej czujemy.

„A partir d'aujourd'hui, le pain, qui coûte 70 centimes, ne sera plus payé que 69 centimes” (za 4 funty), taką decyzją podpisał prefekt na skutek postanowienia rady municypalnej paryzkiej. Tak mikroskopijna obniżka, poprzedzona kilkumiesięczną „kwestyą chlebną” i specjalną ankietą, rzecz naturalna, niezadowoloniła spożycwów, wywołała jednak szereg badań urzędowych i prywatnych, któremi właśnie z czytelnikami chcemy się podzielić.

Kwestyą chleba wywołało w Paryżu głównie pojawienie się w sklepach chleba z kilku nowych większych piekarni, znacznie tańszego od wypieku ze zwykłych piekarni. Różnica wynosiła 10 — 15 centimów na 4 funtach i ona to właśnie spowodowała ankietę. Przekonano się, że w Paryżu istnieje 1,800 piekarni, z których 1,400 dla dziennego wypieku zużywa po 2 worki mąki, 300 po 3 worki, a tylko około 100 piekarni potrzebuje więcej niż trzy worki mąki dziennie. Piekarnie paryzkie więc, jak widzimy, są bardzo drobne i to głównie powoduje drożyznę chleba.

Ceny chleba zależą: od kosztów ogólnych ceny mąki, kosztów wypieku oraz ilości mąki, użytej przez piekarnią dla dziennego wy-

pieku. Rozpatrzmy budżet przeciętnej piekarni paryzkiej, — który się tak przedstawia:

lokal	3,500	franków	
ubezpieczenia	263	„	
gaz	1,200	„	
woda	60	„	
podatki	393	„	
wagowe i utrzymanie porządku	40	„	
utrzymanie materyałów	200	„	
5 ^o / _o od wyłożonego kapitału	1,250	„	
razem	6,906	franków, czyli wyda-	
tki ogólne piekarni wynoszą dziennie			18 fr. 23 ct.
doliczając: opał	4	fr.	
2 piekarzom po 7 fr.	14	„	
chleb i białe wino tymże	1	„ 10 c.	
roznosicielowi	4	„ — „	
chleb dla tegoż	—	„ 35 „	
wydatki administracyjne	10	„ — „	
różne wydatki	1	„ — „	
2 worki mąki po 45 ¹ / ₂ fr.	91	„ — „	125 fr. 45 ct.
ogółem wydatki dzienne			143 fr. 68 ct.

Z dwóch worków mąki otrzymuje się 204 chleby po 4 funty, więc zgodnie z powyższymi kosztami cena bochenka chleba wynosi 70 cent. Wprawdzie w tej ilości pewna część piecze się chleba zbytkowego — droższego, lecz różnicę odliczyć należy na rozmaite nieprzewidziane straty: jak nierozprzedanie całego wypieku, niewypłatność klientów itp. Inaczej się jednak przedstawia kalkulacja, jeżeli taż piekarnia zużywa dziennie trzy lub więcej worków mąki. Koszta ogólne pozostają te same, gdy wydatki wytwórcze podnoszą się w słabym stosunku. I tak przekonano się, że przy wypieku chleba:

z 4 worków mąki	cena bochenka	wynosi	60 — 62 centymów
z 5	„	„	56 — 59 „

W tém położeniu kwestyi, radykalni członkowie rady municypalnej paryzkiej domagali się albo założenia wielkich piekarni miejskich, albo też zmniejszenia liczby istniejących piekarni więcej niż o połowę, aby tym sposobem pozostałe miały możność większego wypieku, a przez to i obniżenia ceny chleba. Deklamowano, że skoro państwo ogranicza liczbę notaryuszów, adwokatów, agentów giełdowych i t. p., to dla czegożby nie mogło ograniczyć i liczby piekarni? Zapewne, że państwo z uwagi na powyższe dowodzenia, mogłoby to uczynić, lecz francuzi w ogóle zawsze są przeciwni interwencji państwowej w sprawach ekonomicznych i więcej okazują poszanowania praw cudzych niż gdzieindziej. Dla tego też nawet w republikańskiej Francji socyalizm bynajmniej nie zagraża obecnemu ustrojowi społecznemu w tym stopniu, co w monarchicznych Niemczech lub Austro-Wę.

grzech. Zachcianki radykalistów paryzkich w kwestyi chlebnój słusznie téż nie znalazły poparcia ani w opinii publicznej ani w prasie.

Ekonomiści francuzcy, z p. A. Fourgerousse na czele, wystąpili również przeciwko radykalnym teoryom w kwestyi chlebnój; poplepszenia bytu robotników przez obniżkę cen chleba szukają nie w interwencji państwa — w zakładaniu miejskich piekarni i zamykaniu drobnych, ale w inicjatywie prywatnej, w powstaniu piekarni wielkich, które jedynie mogą produkować chleb tani, oraz w rozszerzeniu zakresu stowarzyszeń spożywczych, których w samym Paryżu znajduje się 46.

Jak dobroczynny wpływ wywrzć mogą stowarzyszenia spożywcze, przekonać się o tém można z działalności dwóch piekarni, mianowicie: w Roubaix i Angoulême, urządzonych na zasadach kooperacyi.

Piekarnia w Roubaix (Boulangerie coopérative de Roubaix) podług sprawozdania za r. 1884 liczy 852 stowarzyszonych, posiada:

kapitału zakładowego (cotisation)	26,878 fr.
kapitału rezerwowego	26,759 „
depozytów członków	30,163 „
razem	<u>83,809 fr.</u>

W ciągu roku wypieczono 827,990 kilogramów chleba, wartości 297,865 fr., na czém zyskano 75,690 fr., czyli 24^o/. Chleb produkowano trojaki: po 32, 37 i 42 centymy za kilo (obecnie kilo chleba w Paryżu kosztuje przeciętnie 40 cent.); jeżeli zaś odliczymy 24^o/% zysku, to rzeczywista cena chleba z piekarni w Roubaix wyniesie 24, 28 i 32 centymy. Przyjmując, że w ciągu roku rodzina, złożona z czterech osób, spożywa 160 kilogramów chleba po 37 cent., czyli za 236 fr. 80 c., okazuje się, że kupując go w swój piekarni, zaoszczędza rocznie 56 fr. 85 centimów.

Piekarnia w Angoulême (Boulangerie coopérative d'Angoulême) urządzona jest na zupełnie różnych zasadach niż w Roubaix. Podczas ostrój zimy 1867 r. zamożniejsi obywatele złożyli 12,000 fr. aby przyjść w pomoc uboższym robotnikom. Ze zaś we Francyi nie jest w zwyczaju udzielania pieniężnych zapomóg, najczęściej chybających celu, jak to ma miejsce u nas, więc téż za zebrane pieniądze postanowiono założyć piekarnię z zamiarem jak najtańszej produkcji dla klas pracujących. W Angoulême pieczono chleb w ten sposób, że im bochenek był większy, tem i cena niższa a to w téj myśli, że większe chleby nabywają robotnicy, — ludzie ubożsi; gdy mniejsze spożywają zamożniejsze stany. Z tego powodu piekarnia w Angoulême sprzedawała chleb w d. 29 Listopada 1884 r. po następujących cenach:

bochenek ważący 10 kilogramów po 21 1/2 centimów za kilogram

5	„	22	„
2 1/2	„	24	„
2	„	30	„
1	„	35	„

w ten sposób zysk osiągany na pieczywie był rozkładany tylko na trzy pierwsze gatunki chleba, obywatele zaś zamożniejsi kupując w tej piekarni chleb dwóch pozostałych gatunków, t. j. po 2 i 1 kilogr. przychodzili t \acute{e} m sam \acute{e} m w pomoc biedniejszym.

Piekarnia w Angoul \acute{e} me podług sprawozdania za 1883 r. liczyła 1,600 stowarzyszonych i wyprodukowała chleba:

w 1868 roku	309,985 kilogramów
1878 „	800,589 „
1883 „	1,679,743 „

Stan rachunkowy piekarni w d. 31 grudnia 1883 r. tak się przedstawia:

kassa i d \acute{l} użnicy	12,714 fr. 70 cent.
sklepy i zapasy	40,918 „ 40 „
nieruchomości	83,405 „ 13 „
	<hr/>
razem	137,038 fr. 23 cent.
odliczając rach. wierzycieli	47,298 „ 21 „
	<hr/>
majątek piekarni wynosił	89,740 fr. 02 cent.
a zyski za 1883 r. 22,000 franków.	

Dodać należy, że powyższy majątek piekarni jest czystym kapitałem dorobkowym, gdyż poprzednie wkłady całkowicie zostały spłacone. Tymczasem nadmienić trzeba, że piekarnia w początku istnienia poniosła dotkliwe straty, lecz znalazł się jednak człowiek, pełen poświęcenia dla dobra rodzinnego miasta, p. Bouchaud Pracciq, który przez piętnastoletnią pracę doprowadził stowarzyszenie do tak wielkich rezultatów. Piekarnia jest prowadzoną na zasadach entrepryzy, pod ścisłą kontrolą stowarzyszenia, które przedsiębiorcy dostarcza tylko mąkę i płaci po 4 franki od 100 kilogramów chleba. Rachunki z entrepryzą zamykają się codziennie, a wpływy przelewają się na rachunek bieżący.

Rozjaśniając kwestyą chlebną w Paryżu i opisując dwie piekarnie współdzielcze w Roubaix i Angoul \acute{e} me, mieliśmy na celu wywołanie w Warszawie rozbioru kwestyi chlebnej, podobnej do paryżkiej, oraz zwrócenie uwagi ludzi dobrej woli, a głównie stowarzyszeń zaliczkowych, na możliwość urządzenia i u nas piekarni bądź na zasadach przyjętych w Roubaix bądź w Angoul \acute{e} me. Gdy znajdą się chętni, to nie omieszkamy za po średnictwem Redakcyi Biblioteki udzielić bliższych objaśnień,

Pożądan \acute{e} m byłoby, aby przykład obywateli w Angoul \acute{e} me skierował i naszą dobroczynność publiczną do wejścia z o \acute{c} iarnością na drogę praktyczną. Udzielanie pieniężnych wsparć i zapomóg, chociażby w formie pożyczek, rok rocznie pochłania znaczne sumy a przynosi pomoc małej doniosłości; gdy tymczasem powołanie do życia za te pieniądze instytucyi np. w rodzaju piekarni w Angoul \acute{e} me jest o wiele donioslejsz \acute{e} m, trwalsz \acute{e} m, a przytem niewykraczając \acute{e} m przeciwko najelementarniejszym zasadom ekonomiki, które niestety w ostatnich latach coraz częściej u nas gwałcimy.

Rok bieżący, bez wątpienia, zajmie wydatniejsze miejsce w historii reformy finansowej. W d. 15/27 stycznia r. b. drogą prawodawczą zaprowadzono dwa nowe podatki: odsetne i składkę przemysłowo-handlową (procentny i raskładoczny sbor) od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych opłacających gildę, a więc w większych rozmiarach. Jest to pierwszy krok na większą skalę w kierunku zastosowania u nas podatku dochodowego.

Nim przystąpimy do bliższego zaznajomienia czytelników z nową reformą, przyjrzymy się odpowiedniemu systemowi podatkowemu na Zachodzie.

W ciągu ostatnich kilku wieków przemysł i handel na Zachodzie i u nas podlegał przeważnie opłatom rogatkowym i akcyznym pod rozmaitemi formami, później wprowadzono licencje, istniejące jeszcze w Anglii (licences imposees aux marchands d'articles de consommation) i patentowe (droit de patente), najszerzej stosowane we Francji. Kupno, a raczej opłata tych podatków uprawniała do zajmowania się przemysłem lub handlem.

W W. Brytanii podatek dochodowy zaprowadzono w 1842 r. w którym wysokość dochodów (wyłączając Irlandyę) obliczono w sumie 251,013,003 liv. ster. Podatek dochodowy w Anglii dzieli się na pięć głównych działów, oznaczonych pierwszemi głoskami alfabetu, mianowicie tabella A, B, C, D i E.

W pierwszym dziale (tabella A) mieszczą się następujące dochody, obliczone w 1881—1882 r.

z ziemi	68,811,032 liv. st.	
„ budowl	120,877,195 „	
„ dziesięcin	327,501 „	
„ zamków	146,497 „	
„ różnych innych dochodów ziemskich	369,454 „	190,531,679 liv. str.

W dziale II (tabella B) mieszczą się dochody:

z dzierżawy ziemi	68,592,073 liv. st.	
„ ogrodów	207,332	68,799,405

W dziale III (tabella C) mieszczą się dochody od skonsolidowanych dłużów państwa i rent dożywotnich

od dłużów nieskonsolidowanych	19,508,452	
„ pożyczek miejskich	171,879	
„ „ i gwarancyi indyjskich	801,803	
„ „ zagranicznych	7,358,666	
	12,151,971	39,922,771

W dziale IV (tabella D) dochody:

z przemysłu i zajęć wolnych	169,017,952	
„ kopalni	6,728,243	
„ zakładów gazowych	4,640,363	

z angielskich dróg żelaznych	31,881,901	
„ różnych innych przedsiębiorstw	55,133,725	267,402,184
W dziale V (tabella E) dochody:		
z pensyi i emerytur rządowych	15,494,515	
„ „ prywatnych	19,230,423	34,724,938

W ogóle w 1881—1882 r. obliczo-
no dochodów podległych podatkowi
Income-tax

601,450,977 liv. st.

Podług badań Roberta Giffena, dyrektora wydziału statystycznego Board of Trade, w Wielkiej Brytanii i Irlandyi, liczono w 1879 do 1880 roku 7,760,000 rodzin mających ogółem dochodu 1,168,000,099 liv. ster. czyli średnio jedna rodzina miała dochodu rocznie 180 £. t. j. 1,134 rubli a każdy mieszkaniec Anglii przecięciowo rocznie 33 £. t. j. 207 rubli 90 k. Liczby powyższe najlepiej pokazują niezmierne bogactwo Anglii, z którym zasoby żadnego z państw kontynentalnych zrównać się nie mogą.

Podatek dochodowy w Anglii uczynił.

w 1842—3 r. przy obłożeniu 8 pensów	5,405,161 £.
„ 1850—1 „ „ 7 „	5,808,205
„ 1855—6 „ „ 16 „	15,715,684
„ 1860—1 „ „ 10 „	11,057,436
„ 1870—1 „ „ 4 „	6,350,387
„ 1880—1 „ „ 6 „	11,095,000

Cyfry powyższe wskazują zmiennosc stopy obłożenia: podczas wojny krymskiej np. income-tax podniesiono do 16 pensów, gdy w 1870—1 stanowił tylko 4 pency. Zasadą zarządu finansowego w Anglii jest nie wyczerpywać siły podatkowej kraju, ażeby w razie potrzeby, spowodowanej wydatkami wojennymi, tém łatwiej można podnieść dochody państwa. Z tej przyczyny, gdy inne państwa kosztem nadzwyczajnego zwiększenia długów, to Anglia od kilkudziesięciu lat wojenne wydatki pokrywa głównie bieżącym budżetem t. j. podwyższeniem podatków. Obecnie np. przy obłożeniu dochodów, na jeden pens, income-tax przynosi 2,010,000 £., w razie zatem wielkiej wojny, gdyby zaszła potrzeba podwyższenia do 16 pensów, jak to miało miejsce podczas kampanii krymskiej, to podatek dochodowy uczyniłby 32 miliony liv. ster, t. j. około 200 mil. rubli.

Obecny system opodatkowania przemysłu i handlu we Francyi datuje się od 1791 r. W ciągu dziewięćdziesięciu lat podlegał on ciągłym zmianom i dopełnieniom, zasadzającym się zawsze na zewnętrznych cechach. Podatek przemysłowo-handlowy pobiera się we Francyi pod dwiema postaciami: jako podatek stały (droit fixe) i proporcjonalny do ceny najmu pomieszczenia przedsiębiorstwa, tudzież i do mieszkania właściciela firmy (droit proportionnel). Podatek stały przemysłowo-handlowy ściąga się podług tabel A, B i C, pomiędzy które rozdzielono rozmaite rodzaje przedsiębiorstw, a że jest zależnym znowu od miej-

scowości, z tego powodu wytworzyła się nader złożona taryfa podatkowa, licząca przeszło 15,000 norm. Podług budżetu na 1883 r. podatek patentowy przyniósł państwu 94,461,600 frank. oraz departamentom i gminom 64,235,567 „

razem	158,697,167 frank.
-------	--------------------

Towarzystwa akcyjne lub udziałowe oprócz patentowego płacą:

a) podatek dochodowy od majątków rachunkowych (impôt sur le revenu des valeurs mobilières) w stosunku 3%.

b) podatek od akcji i obligacji bezimiennych w ilości $\frac{1}{5}\%$ średniej ceny giełdowej (droit de mutation), a imiennych $\frac{1}{2}\%$.

c) stemplowe w ilości $\frac{1}{20}\%$ od wartości imiennej akcji,—oraz 20% sumy podatku patentowego.

Trzy te rodzaje podatku dodatkowego od akcji i udziałów, przynoszących 4%, stanowią 8, 2%, a $9\frac{1}{2}\%$ od akcji 5%.

Włochy poszły za przykładem Anglii, ustanowiwszy w 1864 r. podatek dochodowy z mienia ruchomego (imposta sui redditi della ricchezza mobile), któremu tak przemysł jak i handel podlegają.

W Prusiech do 1810 r. podatek przemysłowy był przywilejem, lecz od téj pory zmienił charakter i stał się dochodem państwowym. Pierwiastkowo podzielony był na 11 grup, oznaczonych pierwszemi literami alfabetu, z podziałem znowu stosownie do miejscowości. Z postępem czasu Prusy złączyły niektóre grupy, tak, że obecnie podatek przemysłowy dzieli się na:

- A-1 Wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe.
- A-II Przemysł i handel średnich rozmiarów.
- B. Drobnny przemysł i handel.
- C. Zakłady spożywcze wszelkich odmian.
- H. Rzemiosła.
- K. Właściciele statków i w ogóle środków przewozowych.
- L. Roznosiciele i dostawcy.

Pobór podatku z dwóch ostatnich grup dokonywa się podług stałych norm, w grupie A i C rozdział dopełniają sami opodatkowani, a dla kategorii B i H władze gminne. Oprócz tak umiarkowanego podatku przemysłowego, kupcy i przemysłowcy płacą jeszcze osobisty podatek dochodowy, bez względu na jego źródło. Na obecną kadencję sejmu pruskiego wniesiono projekty rozmaitych reform podatkowych, między innymi: 1) o podatku przemysłowym, z celem silniejszego obłożenia wielkich przedsiębiorstw, 2) o podatku dochodowym, mianowicie: aby niezależnie od opłaty osobistej, opłacały go i stowarzyszenia akcyjne i udziałowe i 3) o podatku od kapitałów.

W Austro-Węgrzech, poczynawszy od 1812 r., przemysł i handel dzieli się na 4 klasy pod względem opodatkowania, mianowicie:

- a) wielki przemysł fabryczny.
- b) handel hurtowy i częściowy.
- c) Drobnny przemysł i handel oraz rzemiosła.
- d) Dostarczyciele usług osobistych (adwokaci, nauczyciele itp.).

Każda z tych klas dzieli się na liczne podziały, stosownie do miejsca i zakresu przedsiębiorstwa, tak, że w Austro-Węgrzech istnieje 140 norm, poczynawszy od 3 flor. 57 kr. do 3,150 flor. W końcu 1882 r. ministerjum skarbu przedstawiło radzie państwa następujące projekta: a) podatku przemysłowego, b) podatku od przedsiębiorstw, zobowiązanych do składania peryodycznych sprawozdań z swęj działalności, c) podatku dochodowego z mienia ruchomego i d) ogólnego podatku dochodowego osobistego.

W Rosyi ustawa o opłatach przemysłowo-handlowych (Położenie o poszlinach za prawo targowli i promysłów), w ostatecznej redakcyi zatwierdzona 5/17 lutego 1865 r., obowiązuje i dzisiaj, lubo z pewnemi zmianami. W Królestwie Polskiem zaś weszła w życie z d. 4 czerwca (23 maja) 1868 r. Ustawa ta dzieli handel na:

- 1) Hurtowy, dokonywany w kantorach, magazynach, składach i statkach całemi partjami towarów.
- 2) Częściowy, w sklepach itp.
- 3) Oraz drony, do którego zaliczono także handel roznosicieli i rozwózicieli.

Do czynności handlowych, pociągających opłaty, ustawa zalicza czynności następujące: prowadzenie fabryk, zakładów rzemieślniczych, bankierstwo, komisyonierstwo, ekspedycyą, meklerstwo, kantory ubezpieczeń, informacyjne, transportowe, budowę i utrzymywanie statków parowych, przewoźnictwo, zakłady spożywcze, zobowiązania dostawców, przedsiębiorców itp., zeskarbem, z miastami i różnemi instytucyami, a także i umowy pomiędzy osobami prywatnemi o dostawę towarów lub przedsiębiorstwa, o ile przedstawiają się agentom, meklerom lub instytucyom rządowym. Spełnianie obowiązków handlowych przez subiektów zalicza się także do czynności handlowych.

Wszystkie te czynności, odpowiednio do swego zakresu i charakteru, należą do jednego z powyższych trzech działów i tak między innemi, stowarzyszenia akcyjne, udziałowe, domy bankierskie, komisowe, zaliczają się do gildy I i t. p. Wogóle opłaty prawa zajmowania się przemysłem i handlem rozdzielają się na: a) gildę I, kosztującą bez względu na miejsce r. 565, b) gildę II, stosownie do miejscowości po r. 120, 95, 75, 55, 40; c) świadectwa na drobny handel po rs. 30, 25, 20, 15, 10; d) świadectwa na handel rozwózicielski po rs. 16; e) świadectwa na handel roznosicielski po r. 6; f) świadectwa dla subiektów handlowych kl. I po rs. 35 i kl. II po rs. 6. Oprócz tego, zakłady przemysłowe i handlowe podlegają opłatom przy świadectwach I gildy po rs. 55, 45, 35, 25, 20, — przy świadectwach II gildy po rs. 35, 25, 20, 15, 10 i przy świadectwach na drobny handel po rs. 10, 8, 6, 4 i 2.

Z ogólnęj sumy wpływów na rzecz skarbu z opłat powyższych, wynoszących w 1883 r. 20,498,594 przypada.

I. na Królestwo Polskie:

gubernią warszawską	świadectw handl.	32,828	na sumę r.	471,168
„ piotrkowską	„	14,374	„	149,387
„ lubelską	„	12,559	„	96,202
„ radomską	„	14,865	„	95,502
„ siedlecką	„	13,757	„	83,382
„ płocką	„	9,991	„	67,979
„ kaliską	„	9,385	„	66,409
„ suwałkowską	„	5,677	„	50,755
„ łomżyńską	„	5,808	„	44,859
„ kielecką	„	6,262	„	39,656

Razem wykupiono świadectw sztuk 125,546 na sumę rs. 1,165,299

II. na Litwę i Ruś.

gubernią wieleńską	świadectw handl.	12,216	na sumę rs.	150,870
„ kowieńską	„	13,013	„	137,195
„ grodzieńską	„	22,609	„	204,745
„ mińską	„	15,066	„	132,917
„ witebską	„	11,868	„	155,088
„ mohylewską	„	8,731	„	81,240
„ wołyńską	„	31,477	„	294,161
„ podolską	„	23,793	„	293,034
„ kijowską	„	35,050	„	598,337

Razem na Litwie i Rusi świadectw sztuk 173,793 na sumę rs. 2,047,587

Dla porównania rozwoju przemysłu i handlu, oraz siły podatkowej za świadectwa do prawa zajmowania się nimi, obliczyliśmy, że:

w Królestwie Polskiem.

	na jedno świadectwo handl. przypada mieszkańców	na jednego mieszkańca w- pada podatku kwartalnie
w gubernii warszawskiej	28	50 kopiejek
„ piotrkowskiej	59	17 „
„ lubelskiej	69	11 „
„ radomskiej	44	14 „
„ siedleckiej	45	13 „
„ płockiej	55	12 „
„ kaliskiej	82	9 „
„ łomżyńskiej	93	8 „
„ suwałkowskiej	107	8 „
„ kieleckiej	101	6 „

przecięciowo w Król. Polsk. na

jedno świad. handl. przypada mieszk. 58 a na 1 mieszk. podatku 15 kop.

na Litwie i Rusi „ 82 „ 14 „

w gubernii moskiewskiej 28 „ 113 „

Z powyższych zestawień widzimy, jak przemysł i handel w Królestwie Polskiem a również na Litwie i Rusi jest słabo rozwinięty i nade wszystko, że jest drobny. Wyjąwszy kilka lub kilkanaście miejscowo-

ści, które wyglądają jak wysepki na oceanie spokojnym, lub oazy w stepach kirgizkich, w których to zresztą oazach tylko nieliczne gałęzie przemysłu i handlu są rozwinięte, cały kraj nasz pod względem ekonomicznym, niestety, dotąd niedaleko odbiegł od stanu pierwotnego. Na jakichże danych opierają się niektóre organa, przezywające Królestwo Polskie Belgią północy? Jeszcze raz powtarzamy to, cośmy wypowiedzieli w pierwszej kronice, że pod względem ekonomicznym na niezmierną metę odstaliśmy od Zachodu, a i Wschód w niektórych kierunkach pracy, daleko już nas poza sobą zostawił. Weźmy np. jedną tylko gubernią moskiewską, w której w 1883 r. wprawdzie wykupiono tylko świadectw, uprawniających do zajmowania się przemysłem i handlem sztuk 69,735, ale za to na sumę r. 2,261,253 t. j., prawie dwa razy większą niż w całym Królestwie Polskiem.

Na tém kończymy przegląd w głównych zarysach prawodawstw europejskich odnośnie do przemysłu i handlu, respective do obciążeń skarbowych. Widzimy, że wogóle wszędzie opodatkowanie przemysłu i handlu opiera się na cechach zewnętrznych, to jest wysokość obłożenia zależną jest przeważnie od rodzaju przedsięwzięcia, oraz od miejscowości. W Anglii tylko system podatkowy więcéj jest rdzenym i słusznym, gdyż opiera się na rzeczywistym, a nie domniemanym dochodzie z przedsięwzięć handlowych i przemysłowych. Za przykładem Anglii poszły Włochy, a po części i Prusy, obecnie zaś widzimy, że i Rosya po téjże drodze postępować zamierza.

Powiedzieliśmy wyżej, że rok bieżący zajmie bezwątpienia wybitniejsze miejsce w historii reformy podatkowej w Rosyi. Rzeczywiście, w dotychczasowych rozporządzeniach dostrzegamy zamiar wprowadzenia podatku dochodowego.

Usankcyonowane w d. 15/27 stycznia r. b. nowe opodatkowanie większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, jest właściwie jedną z licznych gałęzi podatku dochodowego, którego dalsze rozwinięcie spodziewane jest jeszcze w roku bieżącym (np. podatek od kuponów i wogóle od kapitałów). Wprowadzony obecnie podatek dochodowy składa się z dwóch części: odsetne i składka przemysłowo-handlowa.

I. Odsetne przemysłowo-handlowe. (Dopólniteliujny procentny sbor), któremu podlegać będą wszelkie stowarzyszenia akcyjne, udziałowe i spółkowe (poucziastkam), które opłacają dotychczasowy podatek gildyjny. Ustawa jest dosyć niejasną, nastęrcza wiele wątpliwości, naszym jednak zdaniem pod tę kategorię podciągnięte będą wszelkie spółki przemysłowe i handlowe, tak przez odpowiednią władzę zatwierdzone, jako téż i prywatne, notaryalne, na których zarząd statuta wkładają obowiązek przedstawiania stowarzyszonym peryodycznych sprawozdań z czynności. Zaliczono tu: banki, towarzystwa kredytowe ziemskie, miejskie, wzajemnego kredytu, ubezpieczeń, kasy pożyczkowe i zaliczkowe, drogi żelazne, fabryki i przedsiębiorstwa akcyjne i udziałowe, żegluga parowej, transporta komisowe, —

oraz wszelkie spółki, chociażby z kilku tylko uczestników złożone, o ile na nich ciąży obowiązek peryodycznych sprawozdań, wykazujących czyste zyski, oraz zaopatrywania się w świadectwo równie pierwszej jak i drugiej gildyi. Wszelkie tego rodzaju stowarzyszenia, bez względu na cel ich zawiązania, płacić będą podatek dochodowy, który nazwano odsetnóm przemysłowo-handlowóm, w stosunku 3% od czystych zysków i operacji osiągniętych.

W tym celu wszelkie (wsie bez iskluczenia) stowarzyszenia przemysłowo-handlowe, opłacające gildę, obowiązane są przedstawiać urzędowi podatkowemu gubernialnemu roczne swoje sprawozdania wraz z protokołem zebrania ogólnego i kwitem na wniesiony podatek, w ciągu miesiąca od daty tegoż zebrania. Dla kontroli włożono na izby skarbowe obowiązek prowadzenia rejestru wszelkich stowarzyszeń przemysłowych i handlowych z oznaczeniem terminów zebrania ogólnego w ich statutach wykazanych. Urzędowi podatkowemu służy prawo sprawdzania sprawozdań oraz wymagania od zarządów stowarzyszeń wyjaśnień dodatkowych.

II. Składka przemysłowo-handlowa. (Dopołnitelnyj raskładocznyj sbor). Podlegać jej będą wszelkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe powyżej nie wymienione, tak spółkowe (niezobowiązane do składania peryodycznych sprawozdań), jako też własnością osobistą będące. Słowem: zakłady przemysłowe i handlowe oraz kupcy i przemysłowcy gildę opłacający. Wyjątek stanowią tylko te zakłady, które opłacają akcyzę i są własnością osobistą. Naszém zdaniem zatem, np. cukrownia lub gorzelnia, jeżeli jest akcyjną lub udziałową, to będzie płacić odsetne przemysłowo-handlowe, jeżeli zaś jest własnością osoby pojedynczej, to ani tego podatku ani téż składki przemysłowo-handlowej płacić nie będzie.

Ponieważ czysty zysk z przedsiębiorstw osobistych niewiadomy jest rządowi i nigdy dokładnie skontrolowany być nie może, przeto ministerjum skarbu, wzięwszy za podstawę przypuszczalne obroty i zarobki, zaprojektowało w ustawie ryczałtową sumę, co trzy lata mającą być zmienianą, która drogą rozkładu (składki) przez urzęda podatkowe ściągana będzie. Składka przemysłowo-handlowa na trzechlecie 1885—7 w Królestwie Polskiem uczynić ma rs. 224,000, ile zaś wyniesie odsetne przemysłowo-handlowe jeszcze niewiadomo, przypuszczamy jednak że nie będzie niższem od 250,000 rubli rocznie. Razem więc przemysł i handel w Królestwie Polskiem, temi nowemi podatkami obciążony został sumą przypuszczalną pół miliona rubli.

Ustawa o tych podatkach, jak w ogóle każda ustawa, właściwie wstecz obowiązująca nie powinna, stało się jednak inaczej, z uwagi na niezadawalniający stan finansów państwa. Składka przemysłowo-handlowa będzie w tym roku pobrana, lecz można się przynajmniej pocieszać, że to podatek za rok bieżący, anticipando tylko ściągany. Inaczej rzecz się ma z odsetnóm handlowo-przemysłowóm, które będzie pobrane za rok ubiegły 1884, gdyż ministerjum skarbu

tak rozjaśniło elastyczność ustawy, że wszelkie stowarzyszenia, których sprawozdania zostały zatwierdzone przez zebrania ogólne po 1 stycznia r. b. mają wnieść 3% od wykazanych zysków. Rozporządzenia tego ani słusznym, ani praktycznym nazwać nie można, gdyż niektóre zebrania ogólne już w styczniu sprawozdania swoich zarządów zatwierdziły, rachunki zamknęły, a nawet i dywidendy zrealizowano w c z e s n i é j niż wyjaśnienie zostało opublikowanem. A jeżeli przytém stowarzyszenie było akcyjnym, a akcyonaryusz pozbył się akcji, to za cóż karać nowonabywcę, że z zysków za rok bieżący, straconym mu będzie podatek za rok ubiegły, w którym nie brał udziału?

Dla bliższego rozpatrzenia i rozstrzygnięcia kwestyi, wynikłych przy stosowaniu podatku dochodowego, w ministerym skarbu utworzono osobny urząd podatkowy pod kierunkiem dyrektora wydziału handlu i rękodzieł, złożony z kolegium deparlamentu, trzech członków, wybranych przez radę handlowo-przemysłową, członka zarządu miejskiego petersburskiego, trzech przedstawicieli wybranych przez kupiectwo, oraz komitet giełdowy i radę gubernialną ziemską w Petersburgu!

Izby skarbowe, z utworzonymi przy nich urządami podatkowymi gubernialnymi, zawiadywać będą bezpośrednio podatkiem dochodowym. Urzęda podatkowe gubernialne, powiatowe, oraz oddzielne dla większych miast, będą miały cechę mieszaną, to jest składać się będą z urzędników koronnych, oraz przedstawicieli przemysłu i handlu. I tak urząd podatkowy gubernialny pod kierunkiem prezesa izby skarbowej składa się: z kolegium izby, oraz z sześciu członków i tyluż zastępców wybranych przez radę gubernialną ziemską, radę miejską, oraz kupiectwo, z pośród osób gildie opłacających. Tam zaś, gdzie samorząd ziemski i miejski nie istnieje, to członków nazywa się miejscowy gubernator. Urząd podatkowy powiatowy, zostaje pod władzą osoby mianowanej przez prezesa izby skarbowej, oraz sześciu członków i tyluż zastępców, wybranych przez ziemstwo powiatowe, radę miejską oraz kupiectwo. Nakoniec w głównych centrach państwa będą oddzielne urzędy podatkowe, pod prezydencją osoby, mianowanej przez ministra finansów, złożone z sześciu członków oraz kandydatów, wybranych na trzy lata przez radę miejską, kupiectwo i giełdę. Te są główne zasady i urządzenia nowej ustawy o podatku dochodowym. Charakter mieszany, polegający na przypuszczeniu przedstawicieli z wyborów z pośród miejscowych kupców i przemysłowców, daje rękojmią, że stosowanie nowej ustawy dokonywać się będzie z całą oględnością i uwzględnieniem miejscowych warunków.

W pierwszym numerze z r. b. „Archiv für Eisenbahnwesen,“ wydawanym przez pruskie ministeryum robót publicznych, znajdujemy ciekawe dane, dotyczące dróg żelaznych w Europie i innych częściach ziemi, które uzupełniwszy, podajemy tu w streszczeniu.

Ogólna sieć dróg żelaznych w d. 1 stycznia 1884 r. wynosiła :

w Ameryce	224,454 kilometrów
„ Europie	182,913 „
„ Azji	18,632 „
„ Australii	10,534 „
„ Afryce	5,666 „
razem	<u>442,199 kilometrów</u>

Dla łatwiejszego pojęcia téj długości nadmieniamy, że temi liniami możnaby kulę ziemską opasać jedenaście razy, oraz że ta długość wystarczałaby nietylko dla dostania się na księżyc (średnia odległość 388,500 kilometrów), ale nawet na przejechanie się po księżycu i ziemi. Dalej licząc bieg pociągu po 50 kilometrów na godzinę, na przebycie całej sieci istniejących dróg żelaznych, potrzebaby jechać bez odpoczynku 368 dni i 10 godzin, to jest dłużej niż rok cały.

Z powyższej sieci dróg żelaznych znajduje się:

1. W Stanach Zjednoczonych	191,356 kilometrów
2. „ Niemczech	35,800 „
3. „ Wielkiej Brytanii i Irlandyi	29,890 „
4. „ Francji	29,688 „
5. „ Rosyi i Finlandyi	23,206 „
6. „ Austro-Węgrzech	20,598 „
7. „ Indjach wschodnich	16,650 „
8. „ Kanadzie	13,300 „
9. „ Australii	10,534 „
10. „ Włoszech	9,450 „
11. „ Hiszpanii	8,251 „
12. „ Szwecyi i Norwegii	7,990 „
13. „ Brazylii	5,100 „
14. „ Meksyku	4,840 „
15. „ Belgii	4,269 „
16. „ Szwajcaryi	2,797 „
17. „ Argentynie	2,700 „
18. „ Peru	2,600 „
19. „ Holandyi	2,520 „
20. „ Ameryce środkowej	2,100 „
21. „ Królestwie Polskiem	1,915 „
22. „ Chili	1,800 „
23. „ Danii	1,790 „
24. „ Algeryi	1,779 „
25. „ Turcyi	1,765 „
26. „ Koloni Cap	1,733 „
27. „ Rumunii	1,500 „
28. „ Egipcie	1,500 „
29. „ Portugalii	1,492 „
30. „ Indjach Holenderskich	1,100 „
31. „ Uragwaju	470 „
32. „ Azji mniejszej	372 „

33. W Ceylonie	260	kilometrów
34. „ Ś-go Maurycego	250	„
35. „ Japonii	250	„
36. „ Tunisie	246	„
37. „ Natalu	158	„
38. „ Paragwaju	72	„
39. „ Equatorze	60	„
40. „ Boliwii	56	„
41. „ Grecyi	22	„

razem 442,199 kilometrów

Absolutna długość dróg żelaznych w danym państwie, nie daje jednak jaśniejszego pojęcia o stopniu zaspokojenia jego potrzeb komunikacyjnych, dlatego też w następnym wykazie porównamy ją z rozległością, mianowicie na 100 kilometrów kwadratowych powierzchni ma:

1. Belgia	14,5	kilometrów dróg żelaznych
2. Wielka Brytania	9,5	„ „
3. Holandia	7,1	„ „
4. Szwajcarya	6,8	„ „
5. Niemcy	6,6	„ „
6. Francya	5,6	„ „
7. Dania	4,7	„ „
8. Austro-Węgry	3,3	„ „
9. Włochy	3,2	„ „
10. Stany Zjednoczone	2,1	„ „
11. Portugalia	1,7	„ „
12. Hiszpania	1,6	„ „
13. Królestwo Polskie	1,5	„ „
14. Szwecya	1,4	„ „
15. Rumunia	1,2	„ „
16. Rosya	0,5	„ „
17. Indye wschodnie	0,4	„ „

Nakoniec porównyując długość dróg żelaznych z liczbą mieszkańców, przekonujemy się, że na jeden kilometr kolei przypada:

1. W Stanach Zjednoczonych	264	mieszkańców
2. „ Szwecyi	715	„
3. „ Szwajcaryi	1,016	„
4. „ Wiel. Brytanii i Irlandyi	1,136	„
5. „ Danii	1,161	„
6. „ Francyi	1,237	„
7. „ Niemczech	1,273	„
8. „ Belgii	1,308	„
9. „ Holandyi	1,669	„
10. „ Austro-Węgrzech	1,838	„
11. „ Hiszpanii	2,043	„
12. „ Włoszech	3,011	„

13. W Portugalii	3,139	mieszkańców
14. „ Rumunii	3,384	„
15. „ Rosyi i Finlandyi	4,014	„
16. „ Królestwie Polskiem	4,267	„
17. „ Indyach wschodnich	11,780	„

Z wykazu drugiego widzimy, że np. Belgia ma sieć kolei żelaznych dziesięć razy gęstsza niż Królestwo Polskie, a 29 razy gęstsza niż Rosya. Dalej Stany Zjednoczone przeszło cztery razy gęstsza niż Rosya i jeżeli odtrącimy te wielkie jeszcze obszary w Stanach Zjednoczonych z rzadką ludnością i siecią kolei, a uwzględnimy obfitość rzek spławnych i sztucznych kanałów, to się okaże, że Stany Zjednoczone mają stosunkowo przeszło sześć razy więcej środków komunikacyjnych niż Królestwo Polskie. Jestto jedna z najgłówniejszych przyczyn możliwej konkurencyi amerykańskiej na targach europejskich. Mylą się ci, którzy twierdzą, że konkurencya zamorska wkrótce osłabnie, my przeciwnie przewidujemy w najbliższym czasie znaczne wzmożenie się konkurencyi nietylko Stanów Zjednoczonych, ale Australii i Indyi wschodnich, oraz Meksyku, mającego, jak wiadomo, głębę jedną z najpłodniejszych w świecie. Przepuszczenia zaś swoje opieramy na tej gorączce budowania dróg żelaznych, z jaką wzięły się do tego przedsiębiorstwa państwa zamorskie. W ciągu czterech lat 1879—1883 zbudowano na całym globie ziemskim 92,168 kilometrów dróg żelaznych, z których przypada na:

Stany Zjednoczone	56,327 kilometrów,	czyli 61% ogólnej ilości
Francją	4,500	„ „ 5 „
Meksyk	3,727	„ „ 4 „
Australią	3,603	„ „ 4 „
Indye wschodnie	2,786	„ „ 3 „
Niemcy	2,716	„ „ 3 „
Austro-Węgry	2,263	„ „ 2,4 „
Brazylią	2,050	„ „ 2,2 „
Rosyą	1,721	„ „ 1,8 „

W ogóle przyrost kolei żelaznych w ciągu czterech lat w danym państwie wyraża się w ten sposób:

Anglia i Irlandya powiększyła swoją sieć kolei o	5%
Belgia	6%
Rosya	7%
Francya	18%
Stany Zjednoczone powiększyły swoją sieć kolei o	42%
Brazylia	67%
Meksyk	335%

W Stanach Zjednoczonych budowa kolei żelaznych jest zatem tak silną, że np. w ostatnich czasach budowano tam w ciągu roku tyle, ile wynosi cała dotychczasowa sieć kolei w Rosyi. Ten to niestychany w dziejach popęd amerykanów do udogodniania komunikacji, powinniśmy ekonomiści mieć przedewszystkiem na uwadze przy rozbiorze

kwestyi konkurencyi amerykańskiej, zwłaszcza zbożowej. N. X. von Neumann Spallart, znany austriacki statystyk, oblicza ogólną wartość zbudowanych kolei żelaznych na 118 miliardów fr., czyli 29 $\frac{1}{2}$ miliardów rubli, którą to sumę drugi uczony redaktor „Archiv für Eisenbahnwesen“ tak malowniczo opisuje: „Eine Rolle deutscher Doppelkronen ¹⁾ welche diesen Betrag enthielte, würde eine Höhe von nahezu 7,200 kilometr haben.“

F. Fendi.

¹⁾ Złotych dwudziesto-markówek.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kurs języków i literatur słowiańskich w kolegium francuzkiém profesora Leger.—Konferencya p. Trawińskiego o sztukach pięknych w Polsce.—„Anatologia krytyki nowożytnéj“ p. Morandi. — „Pogadanki Jana Gigone.“ — Thermomikrofon d-ra Ochorowicza. — Sprawozdanie z podróży po Afryce p. Girand.—Walka między kapitałem a pracą w instytucie francuzkim.—Wystawa rzeźb i obrazów.—Boulanger: „Matka Grachów.“—Berand: „Henryk Walezyusz w Wenecyi.“—Clairin: „Tryumf maurów.“—Benjamin Constant: „Sprawiedliwość Szeryfa.“ — Flameng: „Marya Antonina przed egzekucyą.“ Fretel „Solum Patriae.“—Fournier „Syn Galla.“—Bouguereau „Hold trzech króli i pastuszków.“—Bonat: „St. Dyonizy.“—Olivier Merson: „Przybycie do Betleem.“ — Juliusz Breton: „O świcie i o zmroku.“ — Pani Daimond Breton: „Powrót majtków z wyprawy.“ — Malarze i rysownicy polscy: pp. Brandt, Chelmoński, Merwart, Axontowicz, Karbowski, Zier, Przepiórski, Gąsowski, Krabański, Lipiński, Feliks Jasiński, Rejnach, Ostrowski; panuy: Bilińska, Dziekońska, Dulemba, Duchyńska, Płużańska, Jabłonowska. — Rzeźby.—Croisy: „Piedestał do pomnika generała Chunzy.“—Gautier: „Pomnik Kladyusza Jouffroi.“—Chapu: „Nagrobek księżny Orleańskiej.“—Fremiet: „Walka Galla z niedźwiedzicą.“—Rzeźbiarze polscy pp. Godebski, Hegel, Marcinkowski, Kosowski, pani Matylda, panna Certowicz.

W dniu 15 kwietnia p. Leger rozpoczął w kolegium francuzkiém kurs literatur i języków słowiańskich, w obec licznych słuchaczy różnaitych narodowości. Wielka liczba osób, spragniona usłyszyć coś o słowiańszczyźnie, daje się wytłómaczyć wielkimi wypadkami, dzisiaj wstrząsającemi światem. Dwudziestoletnie prace profesora,

prowadzone systematycznie w jednym kierunku, pamiętna protestacja w Towarzystwie lingwistycznym (r. 1868), przeciw zmianie tytułu katedry „Języka i literatury“ na tytuł „Języków i literatur;“ wreszcie oświadczenie p. Leger po klęskach Francyi, że „struga strzały przeciwko Niemcom z drzewa, jakie znajduje pod ręką“¹⁾, wszystko to było pobudką do podniecenia ogólnej ciekawości.

Profesor rozpoczął oświadczeniem zupełnej bezstronności w wykładzie. Wymienia narody słowiańskie, na które ma zwrócić kolejno uwagę; temi są rosyjanie, polacy, czecho-morawianie, bułgarzy i serbo-kroaci, słoweńcy; w tej arystokracji plemienną nie wymienił tylko kilkunastomilionowego ludu rusinów.

Według przyjętej rutyny, profesor następnie ocenia zasługi poprzedników, szczególnie tego, po którym objął katedrę. Podnosi głęboką erudycją profesora Chodźki, wspomina jak Mickiewicz sam, w proroczym natchnieniu, mianował go niegdyś następcą swoim improwizowaną zwrotką, którą p. Leger powtórzył po polsku na dowód, że język nasz wcale mu nie jest obcy.

Po tej apoteozie, p. Leger szydzi jednak z uczonych, którzy przywiązali jakąkolwiek wagę do poematów orficznych, przechowanych w wąwozach Rodopu przez bułgarskich pasterzy. Wiadomo przecie, iż profesor Chodźko dwuletni wykład poświęcił owym pieśniom. Wprawdzie protestował on wielokrotnie przeciw głębokiej starożytności, jaką im przyznawano; widział w nich jedynie piękne kwiaty poezji ludowej, bez względu na to, w jakim wykwitły czasie.

Kurs Mickiewicza zbywa p. Leger bardzo pobieżnie. Skłania głowę przed geniuszem poety, ale nie podnosi zasługi profesora, nie bada tajemnicy tego potężnego wpływu, jakim wieszcz trzymał na uwieży słuchaczy; utyskuje nawet na dążność do mistycyzmu, właściwą plemionom słowiańskim, które wywołały ów mesyanizm wygłaszany z katedry.

P. Leger porównywa świat słowiański, jak go pojmowano przed czterdziestu pięciu laty, z tym, w jakim przedstawia się dziś, gdy Francja upokorzona przez Niemców, zwraca pilne oko na olbrzymią siłę, wrogą Germanom; siłę, w której pokłada dziś całą swą ufność. Aby dowieść, jak dalece Słowiańszczyzna nieznaną była przed półwiekiem we Francji, przytacza profesor głosy w Izbie prawodawczej przeciwne utworzeniu katedry, kładzie silny nacisk na ówczesną nieznaną rzecz i na panujące uprzedzenia. Polsku naprzykład, którą p. L. każe uważać jako satelitę potężnego ciała politycznego,

¹⁾ Przytaczamy słowa p. Leger: „La soieime française, doit aujourd'hui faire flèche de tout bois et chercher ses alliés partout où elle les trouve. Revue politique et litteraire, 8 juillet 1861.

błyszczała wtedy pierwszorzędnym blaskiem w oczach francuzów; słowem, przed czterdziestu pięciu laty, słowiańszczyzna wyobrażała jakiś świat ciemny, chaotyczny, przedstawiany w fałszywem świetle przez ościenne ludy: „tu Grecy domagali się Macedonii od Bulgarów, tam Włochy usiłowali wydrzeć Istrią i Dalmacją Słoweńcom i Kroatom, tu znów Węgrzy zaprzeczali prawa bytu Słowakom i Rusinom; Niemcy zaś mienili się wyłącznymi panami Czech, Szlązka i Morawii.“

Odtąd światło wyszło z tego chaosu. Jakim sposobem? Posłuchajmy profesora. „Kiedy idzie o ludy żyjące, mówi, których przyszłość rozleglejsze ogarnia pole niżli cała ich przeszłość, nie szukajmy prawdy wyłącznie w książkach; potrzeba szukać jej na gruncie samym, gdzie te ludy się poruszają, badać ich życie polityczne i literackie, brać udział w ich ucztach, w ich żałobach i rytuałach religijnych. Co do mnie, od dwudziestu lat badam to życie współczesne, o którym podróże tylko mogą dać dokładne pojęcie. Badałem je u stóp Wyszehradu i Hradczyna, nad brzegiem Dunaju i Sawy, w sanktuariach Gniezna i Kijowa, w Krakowie i Moskwie, na dalekich wybrzeżach Wołgi, na klasycznych równinach, oblanych falami Isteru i Marycy. Wspomnienia, jakie wyniosłem z tych dalekich wycieczek, pozwolą mi, mam nadzieję, zwrócić uwagę słuchaczy moich na losy słowiańskich ludów, które z różnych przyczyn jednakowo przywiązane do kraju naszego.“

Czekamy na dalszy kurs pana Léger; nie przesądzamy rzeczy. Dodajmy tylko, że Mickiewicz, w czasach gdy przemawiał z katedry, znał tylko kotłinę Dniepru i Wołgi, oprócz litewskich lasów swoich, a przecież potęgą geniuszu sięgał tam, gdzie wzrok ludzki nie dosięga, i więcej widział niż wędrowiec, który przez lat dwadzieścia, krążąc w pośród dalekich ludów, patrzył na nie przez własne naprzód przygotowane szkieleko.

Linneusz nie wydalął się nigdy ze Szwecyi, a był i jest dotąd prawodawcą w naukach przyrodniczych. Sokrates nie opuszczał Aten, ani Kant swego Królewca, a przecież myślą ogarnęli świat cały; Cuvier nie żył w czasach przedpotopowych mamutów, a jednak z kilku kości odtworzył dawne ich kształty i dał je poznać światu.

Zdziwiliśmy się widząc prelegenta czytającego lekcya z drukowanej korekty, przygotowanej do „Przeglądu politycznego i literackiego;“ profesorowie kolegium zwykli mówić nie czytać. Pan Léger dawno już przemawia z innych katedr i dostatecznie mógł zgruntować świat słowiański, aby potrzebował, zdaniem naszym, posiłkować się czem innem jak pobiezną notatką.

Ma wyjść w tych czasach, jak się dowiadujemy, nowa publikacya, poświęcona wyjaśnieniu rzeczy słowiańskich we Francyi od roku 1840.

Dawno już Akademia francuzka nie wyprawiała paryżanom takich godów, jak w dniu 23 kwietnia, kiedy Nestor zgromadzenia Wi-

ktor Hugo, wprowadził Lessepsa na miejsce zmarłego przed rokiem Henri Martin. Któż nie wie, jak imię Lessepsa popularnym jest dziś we Francji. Popularność tę winien wielki inżynier, nietylko herculesowym pracom, wykonanym w trzech częściach świata, ale co więcej, tej gorącej miłości kraju, która pobudzała go do olbrzymich wysiłków uwiecznionych zwycięstwem. Czują patryoci francuzcy ile mu zawdzięczają, wiedzą, że on należy do tej małej garstki wybranych, którzy trzymają górą sztandar upokorzonej Francji, zmuszając świat do hołdu.

Mąż czynu w akademickiej mowie, nie bawił się w puste frazesy, ale każde słowo jego niesłychaną ma wagę, każde wyrwane z kipiącej piersi, trafiło do serca słuchaczom i budziło zapal powszechny. Bez oratorskich formuł przystąpił wprost do rzeczy.

„Powołując mnie do grona swego, panowie, rzekł z prostotą, sprawiliście mi wielką radość, a zarazem i wielki kłopot; prawdziwy to zaszczyt należyć do arystokratycznego grona Akademii francuzkiej, ale przemawiać w obec niej, to trudne zadanie dla najbieglejszego pisarza, a cóż dopiero dla mnie, który niestety wcale nim nie jestem.

„Myśl sama o mowie akademickiej przejmowała mnie trwogą, nie chciałem wystawiać cierpliwości waszjej na twardą próbę. Nie mogąc wywiązać się dobrze, uczynię lepiej, będę przynajmniej związłym.“

W krótkich słowach wiele jednak powiedział Lesseps.

„Zajmuję dziś miejsce, rzekł, po Thiersie i po Henri Martin. Z obu łączyła mnie dawna przyjaźń. Wielki przedział istniał pomiędzy nami; byli to ludzie nauki, ja jestem człowiekiem czynu; byli to historycy, ja jestem geografem... na mój sposób. Przy całej różnicy zbliżam się do nich w pewnym względzie. Obaj gorąco ukochali kraj, a z tej strony przynajmniej czują się godnym ich następcą. Jak oni, poświęciłem życie moje Francji, przez lat sześćdziesiąt z górą, myśl o przyczynieniu jej chwały i pożytku, była jedynym celem moim, głównym bodźcem do pracy i pewien jestem, tajemnicą mego powodzenia.

„Taki tylko cel, mógł mnie podtrzymać w długoletnich wysiłkach. Nic łatwo nie przychodzi na świecie. Każde tworzące się dzieło, choćby najpożyteczniejsze, napotyka zawsze zapory w nieukach i zawistnych; pierwsi, stają ci na drodze, bo nie wiedzą dobrze dokąd idziesz, nie są wtajemniczeni w twoje środki i siły, tych, należy oświecić, raz nawróceni, stają się gorliwymi zwolennikami i czynną przynoszą ci pomoc. Co do drugich, sceptyków i zawistnych potwarców, tych najlepiej zostawić na boku. Przysłowie arabskie mówi: „psy szczekają a karawana idzie dalej.“ Tak i ja też poszedłem.“

Zwraca się mówca następnie do poprzednika swego Henri Martin. W krótkich słowach ocenił go lepiej, niż inni w długich rozprawach nad historyczną jego pracą.

„W początkach zawodu naszego, mówi Lesseps, zarzucano nam

obu zbytek wyobraźni. Wiadomo wam wszystkim, że w chwilach poetycznych uniesień i żaru młodzieńczego, Henri Martin, badając pierwszą dobę dziejową naszego plemienia, zakochał się w Druidach. Ten Celt z Pikardyi, wtajemniczony w straszliwe obrzędy, praktykował je w domu, jak to niektórzy utrzymują. Prawdaż to czy bajka, iż zapał uniósł go tak daleko, nikt nie zaręczy, co jednak pewna, oto, że napisał najkompletniejszą historią Francyi, jakiej dotąd nie było i nie ma.

„Co do mnie, jakkolwiek nikt nie nazwał mnie Druidą, mówiono jednak, że jestem marzycielem. Było to w początkach moich przedsięwzięć. Dowiodłem później, że umiem być człowiekiem praktycznym; nie myślę jednak oskarżać marzycieli. Wyobraźnia dodaje bodźca sprawom ludzkim, jak kwas rozczynia ciężkie ciasto. Im dalszy cel przed nami, tém wyżej spoglądać nam potrzeba. Rzeźbiarz, niech stawia pierwszy posąg na wierzchołku wysokiej góry; tak i człowiek praktyczny, niech się nie zatrzymuje przed niepodobieństwem, przekonany że wszystko może, niech śmiało idzie do celu. Doświadczenie pokaże mu z czasem, co ma odrzucić ze zbytich ułud swoich, ale praca jego zyska tém samém nową siłę, myśl rozszerzy się i podniesie. Z obłądów Saint-Symonizmu, dziś słusznie zapomnianych, wyszli niemniej zdolni inżynierowie, wytrawni ekonomiści i biegli finansisci. Thiers pisał nasamprzód o wystawach malarskich, Claude Bernard utworzył nasamprzód tragedya; mnie przynajmniej nic podobnego nie zarzuci akademia.

„Historya Francyi Henri Martin jest dziełem pierwszorzędnem: znajduje się dziś w każdej Bibliotece, a co więcej żyje w pamięci wszystkich. Nie chcę dowodzić jęj literackiej wartości, w obawie czy zdołam uczynić to dokładnie.

„Zresztą nie piszę tu rozprawy, pragnę tylko jedném słowem określić główną cechę jego talentu, gdyż to zarazem charakteryzuje człowieka.

„Każdy historyk ma swoją nutę własną. W Michelecie jest nią poezya. Wyobraźnia jego odkrywa nowe widnokregi, wobec których myśl zatrzymuje się ze zdumieniem.

„Augustyn Thierry, żarliwy erudyta pisarz natchniony, wskrzesiciel zamarłego świata, jest przedewszystkiém biegłym malarzem i nieporównanym kolorystą. Guizot i Mignet, tworzą systemata filozoficzne i polityczne. W łańcuchu zdarzeń wyświełają pierwsze ich przyczyny i wynikię z nich skutki. Thiers wybornie opowiada wypadki, przedstawia sytuacje, rozwiązuje zagadnienia: zaletą jego jasność. Henri Martin jest sprawiedliwym, a ta miłość sprawiedliwości, leżąca w jego umyśle, pochodzi z miłości ojczyzny, przepęłniającej jego serce.

„Ów człowiek przekonania, a nawet partyi, tak stanowczy w swoich zasadach, tak niezmienny w postępowaniu, tak nieugięty w sporach, odrzuca na bok wszelki sąd namiętny, gdy wstąpi na pole historyi. Świadek przeszłej chwaty naszój, z miłością uchyla przed

nią czoła. Zapalony czciciel Druidów, korzy się przed męczennikami chrześcijańskiego kościoła, wielbi Joannę d'Arc i Henryka IV, wysławia zwycięstwa Ludwika XIV, i pierwszej rzeczypospolitej, pierwszego cesarstwa i konwencji. Idzie mu zawsze o Francją, widzi tylko jej chwałę; żaden wzgląd nie powstrzyma jego patryotyzmu, żadna rachuba nie zdoła ostudzić jego uczuć. Ktokolwiek służył Francji, ktokolwiek podniósł ją wobec świata, do niego już należy. Pięknym przykładem i godziwym naśladowaniem.

„Biada ludom, które sfanatyzowane duchem stronnictw, znieważają własne tradycje, nie pojmując, że naród to żywe społeczeństwo, że nie można odrywać chwili obecnej od przeszłości bez narażenia go na zgubę.

„Z tej przeszłości tak bolesnej a tak chlubnej na przemian, Henri Martin wyciąga zbawienną naukę, wydobywa ufność niezłomną, której nic nie odstraszy.

„Francuz, obznajmiony dobrze z historią kraju swego, mówi, zachowa nadzieję, w dniach najsroższych klęsk i upokorzeń. Naród nasz posiada zadziwiajączą moc odradzania się, nie daną wszystkim ludom.

„Dumny jestem, dodaje Lesseps, żeście mnie wybrali w miejsce tego, kto wyrzekł takie słowa. To uczucie dumy narodowej z przeszłości Francji, i niezłomnej wiary w jej przyszłość, równie głęboko zakorzenione w sercu mojem. Ta wspólność nadziei czyni mnie do niego podobnym.“

Inaczej przemawiał Renan dyrektor Akademii, przyjmujący nowego członka. Mowa jego pełna delikatnych sarkazmów, błyszcząca stylem, długa, nastrzępiona cytatami z Biblii, częste wywoływała oklaski. Był to zgręcznie obmyślany, akademicki fajerwerk.

„Dyrektor Akademii zaczyna od komplementu zaprawnego nie tylko solą attycką, ale i palącym pieprzykiem. Wbrew temu co wyrzekł o sobie Lesseps, przyznaje mu cudowny dar wymowy, nikt bowiem nie umiał tak jak on, przemawiać do ludzi głuchych na wszelkie retoryczne metafory i zdobywać od nich kapitały na zamierzone przedsięwzięcia. Głos jego porwał zarówno Amerykanów z Chicago, jak Turków i Arabów, jak spekulantów z Paryża i Liwerpoolu. Nim wyrzekł słowo, już go obsypywano oklaskami. Niektórzy mienią to zgręcznością, my, rzekł Renan, nazwijmy to czarodziejstwem. Ludzkość ulega zawsze tajemniczemu wpływom, niewidzialnym dla tłumów.“

Przypomina mówca długie wędrówki Lessepsa po Saharze, nim rozpoczął olbrzymie dzieło. W tych peregrynacjach nieraz spotykali się obaj pod słońcem afrykańskim, gdzie każdy z nich za innym gonił celem.

Przyrównywa Lessepsa do arabskiego konia, co tratuje wszelkie zapory spotykane po drodze. To znów pyta go czemu w mowie akademickiej nie wspomniał o Abrahamie i Sarze, nie dotknął Józefa i królowej Saby, o których słyszał nieznanne wieści w miejscach zdep-

tanych nigdyś ich stopą. Opowiada nakoniec, jak widział kwiaty wyrosłe na pustyni, proroczy znak, zapowiedziany przez Izajasza, który miał poprzedzić wielki przewrót spełniony w świecie. Ten przewrót spełnił Lesseps łącząc dwa morza razem. Renan przebiega jak motyl, z jednego przedmiotu do drugiego, zręczny wirtuoz gra na wszystkie tony, coraz nowy uderza akord.

O Henri Martin wyraża się z poszanowaniem; nazywa go historykiem sprawiedliwym, bo nie gardził przeszłością, ale chlubił się wszystkiem, cokolwiek naród spełnił wielkiego w dziejach, bez względu na stronicze uprzedzenia.

Ostatni bukiet fajerwerku zachwycił wszystkich. Nie wchodząc w to, czy koniec mowy, był owocem głębokiego przekonania czy też obmyślany na efekt, powtarzamy go tu w całości, jako prawdziwie piękną.

„Dzięki składamy wam obu, zawołał Renan, tobie panie i wielkiemu poecie, który siadł dziś przy boku twoim, żeście w tych czasach skażonych zawiścią, i lekceważeniem zasługi, dali naszemu smutnemu narodowi pobudkę, do wydobycia z serca tego, co w nim najlepsze: zdolność wielbienia i kochania. Naród który umie kochać i wielbić, nie jest blizkim upadku. Tym, którzy mówią, że pierś tego ludu nie uderza gorącym tętnem, że naród ten nie zdolny do szlachetnych uniesień, że pamięć tylu doznanych zawodów, zgasiła w nim ufność i wiarę we wszystko co świat nazwał wielkiem i dobrém; tym którzy tak mówią, pokażmy was obu, przypomnijmy im tę cześć jaką tłumy was otaczają, te honory jakimi obsypują was hojnie, ten dreszcz zachwyty przenikający ich serca, na wspomnienie Lessepsa i Wiktora Hugo. Takie objawy są dla nas najwyższą pociechą i ukrzepieniem! patrząc na nie, możemy śmiało wyrzec: Biedna Francyo! ty nie zginiiesz, bo jeszcze umiesz kochać, bo jesteś jeszcze ukochaną!

Z początkiem roku bieżącego ukazał się drugi tom ozdobnej publikacyi archeologicznej, p. t.: „La vie antique,“ przekład to z niemieckich autorów Guhla i Konera, dokonany przez p. Trawińskiego. O pierwszym tomie obejmującym życie Greków mówiliśmy już w roku zeszłym. Drugi tom poświęcony Rzymianom. Ten żywsze jeszcze przedstawia zajęcie niż poprzedni, dzięki bogatym wykopaliskom w Pompei i Herkulanum, z których wybiegło na świat życie starożytnéj Romy, zasklepione przez dwadzieścia wieków pod lawą i popiołem. Publikacya to nazbyt ważna, abyśmy chcieli zbyć ją w kilku pobieżnych słowach, zostawiamy ją też do przyszłej kroniki naszej. Pan Trawiński, wywiązał się dzielnie z trudnego zadania; zasługa jego wielka; nie szło tu bowiem o prosty przekład ale o dostrojenie dzieła do smaku wytwornych francuzów, dla których erudycya niemiecka nie wystarcza jeżeli jéj nie ogrzewa i nie rozjaśnia życie. Uczony ziomek nasz, odpowiedział wyboruie wymaganym warunkom.

W panu Trawińskim mamy archeologa od którego wiele spo-

dziewać się możemy. Dowodem na to nie tylko praca podjęta dla francuzów, ale co więcej, świeża konferencya, jaką miał niedawno w Paryżu o rozwoju sztuki polskiej od czasów najdawniejszych, aż do chwili obecnej. Tę konferencją przytaczamy tu w treści.

Prelegent rozpoczął rzecz od określenia sztuki: jest ona rzekł, najpiękniejszym i najsilniejszym objawem myśli ludzkiej. Parthenon z arcydziełami rzeźby starożytnej, czaruje nas zarówno jak ustęp z Homera: w wielkich mistrzach odrodzenia włoskiego, tyle znajdujemy poezji jak w pieśniach Danta i Petrarki. Sztuka jest oprócz tego idealnym przedstawieniem rzeczywistości. Bez poczucia ideału, artysta byłby po prostu fotografem przyrody, kiedy powinien być głębokim jej tłumaczem, kiedy powinien uczynić miłym dla oka najpospolitszy nawet przedmiot. Dowód na to mamy w malarzach holenderskich, którzy nie wychodząc za obręb zwyczajnego życia, umieli przedstawiać je na tle poetycznym. Sztuka nakoniec przez dziesięć wieków, jedyną była piastunką historycznych tradycji. Nie wiedzielibyśmy nic o starożytnym Egipcie, gdyby nie było pyramid, ani sławnych pomników Karnaku i Luqsoru. Śmiało też powiedzieć możemy, że sztuka pod jakimkolwiek przedstawia się kształtem, czy to jako gmach, jako posąg lub obraz, oznacza zawsze w miarę stopnia rozwoju swego, stopień cywilizacji danego społeczeństwa. Historia zatem sztuki, rozwijając przed oczyma naszymi wszystkie utwory ludzkie, które w pasmie wieków, budziły miłość, uwielbienie i zachwyt, staje się dzielnią mistrzynią w wychowaniu narodu.

Po tym ogólnym określeniu sztuki, prelegent przechodzi na pole, jakie sobie głównie zakresił. „Polska, mówi on, jakkolwiek dość późno przyjęła cywilizację, spiesznym zato krokiem szła po drodze postępu. Wkrótce groźna sąsiadom, otoczona poszanowaniem ludów, bierze czynny udział, w ugruntowaniu posad nowożytnego społeczeństwa, a świetna zorza Jagiellonów rozsiewa blask na zewnątrz. Wszystko to dowodzi, że wielkie idee kiełkowały już w Polsce od XIV wieku. Dodajmy i to, że tak w obyczajach i zwyczajach naszych praojców, jak w malowniczym ich stroju uderza charakter oryginalny, prawdziwie artystyczny.

Zapytuje potem prelegent, czyli Polska w przeszłości wydała szkołę własną? Wydała wprawdzie wielu artystów, świadczą o tém liczne imiona, wydobyte z niepamięci przez wytrwałego archeologa, hr. Rastawieckiego, umieszczone w jego trzutomowym słowniku. A przecież w tych luźnych pracach nie widzimy właściwej szkoły. Wyraz szkoła, oznacza zbiór tradycji i środków technicznych, odrębny smak w rysunku i kolorycie, słowem szczególnie sposób pojmowania ideału, właściwy artystom jednej narodowości. Tak powstały szkoły: flamandzka, holenderska, hiszpańska, francuzka i różne szkoły włoskie; trudno jednak powiedzieć, aby w przeszłości istniała szkoła polska.

Czyż idzie zatem, aby Polska miała pozostać obojętnym świadkiem artystycznego ruchu w świecie? Mogłyżby te wszystkie objawy

piękna, powiewające od Wschodu i Zachodu, nie rozplomić jój duszy i nie rozwinąć twórczych skrzydeł jój geniuszu? Tak być nie mogło!... Naród, który wydał poetów jak Kochanowski i jak słynna plejada z pierwszej połowy XIX wieku, musiał mieć zawsze głębokie poczucie idealnego piękna, a choć ten ideał rozwinął przedewszystkiem w twórczym słowie, musiał niemniej oceniać plastyczną stronę sztuki, dowodem na to owe malowidła i tryptyki, któremi zapełniono kościoły i klasztory nasze w XII jeszcze wieku. Nieco później, kiedy Masaccio i Cimabue wyzwoliwszy się z byzantyjskiego jarzma, stworzyli we Włoszech nową szkołę; widzimy natychmiast objawy tej przemiany w kościołach: ś-tój Katarzyny w Krakowie i ś-go Krzyża w Bodzantynie, a co więcéj, na zachowanych tam tryptykach, stroje narodowe szczególną zwracają uwagę. W końcu XV wieku, tworzy się wreszcie w Krakowie, szkoła cechowa malarstwa, w której dopatrzeć można niejakié zawiązki sztuki narodowój. Widać to szczególniej w miniaturach zdobiących mszały i księgi kościelne.

Siedemnasty wiek nie przedstawia nic nowego; w ósmnastym dopiero pojawia się grupa artystów, którzy nadali nowy kierunek sztuce malarskiej w kraju naszym; na czele ich stoją Daniel Chodowiecki, Michał Stachowicz i Aleksander Orłowski. Stachowicz w bitwie pod Byczyną i w obrazach przedstawiających sceny z życia krakowskiego, i dziejów akademii Jagiellońskiej, nie doszedł zapewne doskonałości, ale położył nie małą zasługę, pierwszy bowiem odtworzył na płótnie to, co widział w około siebie, a tém samém dowiódł, że sztuka narodowa, nie potrzebuje być słabem odbiciem zagranicznój, że nie obowiązana koniecznie szukać wzorów w mytologii greckiej i rzymskiej, skoro w historii własnej znajduje niewyczerpane źródło narodowych pobudek. Chodowiecki pełen werwy, zyskał słusznie nazwę Hogartha polskiego. Orłowski znów chwytając życie w różnostronnych jego objawach, odtwarza je z całą prawdą i rozbudza w kraju poczucie artystyczne. Wszyscy trzej przemawiają do ziomków własnym ich językiem, ztąd naród zrozumiał ich od razu. Chodowiecki, Orłowski i Stachowicz, słusznie mówi prelegent, są tém dla sztuki polskiej, czém był Cimabue dla sztuki w ogólności. Obok nich wymienia Czechowicza, Szmuglewicza, Lesyckiego, nie licząc już Włochów przebywających w kraju naszym.

Od malarstwa prelegent przechodzi do rzeźby. Sięgając w głąb ubiegłych wieków, zatrzymuje się chwilę przy posągu Światowida, ważnym dla archeologii, ale bez znaczenia dla sztuki; dłużej przygląda się na Wawelu średniowiecznym grobowcom Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. W płaskorzeźbach otaczających sarkofagi, rozpoznaje typy czysto narodowe. Przechodzi następnie do Wita-Stwosza, i niezrównanych jego arcydzieł, jak ołtarz w kościele Panny Maryi i pomnik grobowy Kazimierza Jagiellończyka w katedrze wawelskiej, że pominiemy inne. Jakkolwiek Stwosz uległ wpływom Dürera i innych artystów niemieckich, w pomysłach jednak szedł za

tradycją narodową. Naprózno Niemcy usiłują przywłaszczyć go sobie, jak to chcą uczynić z Kopernikiem; dzięki badaniom profesora Łepkowskiego, narodowość Wita Stwosza, nie ulega dziś wątpliwości. Polska najśluszniej pochłubić się może, iż wydała jednego z najgenialniejszych mistrzów wieku piętnastego.

W pasmie trzech następnych wieków, obcy wpływ pochłania całkiem rzeźbę polską. Cudzoziemcy pracują w kraju naszym, wznoszą wspaniałe pomniki Zygmunta i Batorego na Wawelu, pyszny grobowiec Jana Tarnowskiego w Tarnowie. Są to nieporównane arcydzieła, ale zupełnie dla nas obce. Wiek odrodzenia, nie wykrzesał najdrobniejszej iskiarki z geniuszu polskiego. Uwaga ta dotyczy tylko sztuki plastycznej, w literaturze bowiem stało się inaczej. Kochanowski, jakkolwiek wykształcony na starożytnych wzorach, pozostał przecież narodowym polskim poetą. W odach Sarbiewskiego z pod łaciny, silnie przecież uderza polskie tętno.

Osobny ustęp poświęca p. Trawiński architekturze. W tym dziale sztuki mniej jeszcze dopatruje samodzielności. Najdawniejsze pomniki nasze: kolegiata kruświcka, Tum pod Łęczycą, katedra Płocka, kościół ś-go Andrzeja w Krakowie, budowane w stylu czysto romańskim; po nim następuje styl gotycki. Tu prelegent powołując się na powagę profesora Łuszczkiewicza, powtarza za nim, jakoby ten styl przerodził się u nas w odrębny rodzaj zwany gotykiem Wiślanobaltyckim. Odmiana ta jednak nie wielka; jeśli ma wagę w oczach specjalistów, ogół jej nie odróżni. Styl z epoki odrodzenia, pozostawił wprawdzie arcydzieła w kościołach naszych, dość tu wspomnieć kaplicę zyguntowską, ale te arcydzieła budowali włoscy mistrze, tak za ostatnich Jagiellonów, jak i za Stanisława Augusta.

Dla czego sztuki piękne tak słabo kwitły w Polsce? zapytuje prelegent. Organizacya polityczna i społeczna, nie wstrzymywała przecież rozwoju artystycznych zdolności. Silnie uwydatniony indywidualizm, któremu starożytna Grecya zawdzięcza bohaterów swoich i wiekopomne swe arcydzieła, stanowi również charakterystyczną cechę narodu naszego. Klimat nie mógł też stanowić przeszkody, wszakże Holandya i Belgia nie lepiej od nas w tym względzie uposażone.

„Sztuka, odpowiada prelegent słowami Kraszewskiego, to delikatna roślina, nie wyrasta nigdy na wulkanie“ potrzeba jej spokojnej atmosfery. Owóż ojcowie nasi walczyli bezustannie; życie w obozach lub na polu zapasów, nie rozbudzało potrzeb estetycznych. Pędzel i dłuto nie przystawały tym, którzy z mieczem w ręku, stali na straży cywilizacyi europejskiej, i piersią jak tarczą zastaniali narody od groźnej powodzi barbarzyństwa.

Obok tej przyczyny, którą słusznie pochłubić się możemy inną, jeszcze stawia prelegent, a tą jest zbyt duża łatwość przyswajania sobie zdobyczy umysłowych. Skoro tylko nowa idea błysnie w dziedzinie sztuki, pochwycają ją w locie, posiewamy na gruncie naszym, ale

nie czekając aż wyda odpowiednie nam plony, porzucamy ją dla nowych ideałów. Ta gorączkowa pogoń za nowością, nie pozwoliła u nas wytworzyć się sztuce narodowej w pasmie ubiegłych czasów.

Z początkiem wieku XIX-go, mówi prelegent, otwiera się dla nas nowy okres artystyczny. Uderzyła godzina odrodzenia, nasamprzód dla poezyi, następnie dla sztuki plastycznej. Aleksander Lesser, zrywając pęta klasyczne, bada wytrwale archeologią narodową, bierze przedmioty z dziejów. Simler, Śmiercią Barbary zdobywa w kraju rozgłos; Stattler nadaje nowy kierunek szkole krakowskiéj, gromadzi w koło siebie grono zdolnych i pracowitych uczniów. Rodakowski w portretach, nie dość, że wiernie oddaje rysy, ale wnika w tajniki ducha i umie odtworzyć je na płótnie.

W tych właśnie czasach mozolnych wysiłéń, odezwał się zdaleka głos usiłujący zatrzymać artystów, w niewczesnym, jak mówi, polocie. Autor *Pogadank* Florenckich (Klaczko) przebiega artystyczną przeszłość naszą, pokazuje z przesadą jéj ubóstwo, ostrzega naród aby nie dał się złudzić sztuce, która nie może, nie powinna być jego udziałem. A oto nie przebrzmiały jeszcze te słowa, kiedy wystąpił Matejko i śmiałym rzutem pędzla, w niwecz obrócił pesymistyczne wróżby.

Nim prelegent przystąpił do tego wielkiego przedstawiciela sztuki naszéj, podnosi imiona wszystkich artystów polskich rozrzuconych nietylko po różnych stronach kraju, ale niemniej po różnych krajach Europy. Nie możemy iść w ślady za nim; powiedzmy tylko, że nie przepomniał żadnego z tych skrzętnych pracowników, którzy znoszą cegłę do wspólnéj budowy, świadczącój głośno w obec świata o żywotności narodu. Podnosi zasługi Gersona, wymienia piękne jego utwory: Witolda, Kopernika i Krzyżaków, znane i cenione w Paryżu. Wspomina cudne konie Kossaka, piękne krajobrazy Gierymskiego, bitwy i stepowe sceny Brandta pełne szalonéj werwy, drgające życiem obrazy Chełmońskiego. O tym ostatnim artyście wyraża się w dobitny sposób. „Przed stu laty, Diderot przechadzał się z przyjacielem wśród wystawionych w salonie obrazów.—„Wszystko tu, rzekł, piękne, bardzo piękne, ale nie widzę djabła!“ Otóż tego djabła, mówi prelegent widzę w każdym obrazie Chełmońskiego; każdy kipi życiem, na każdym wyciśnięte samoistne piętno, da go poznać wpośród tysiąca innych.“

Pochyliwszy czoło, przed mistrzowskim pędzlem, przed siłą kolorytu i potęgą wyobraźni Siemiradzkiego, przystępuje wreszcie prelegent do Matejki. „Wiemy wszyscy, mówi on, z jak niezmordowaną żarliwością, z jakim namaszczeniem kapłańskim, mistrz ten wydobywa z przeszłości najwspanialsze chwile dziejów naszych. Nie opuścił on nigdy Krakowa, bo i cóż znaczą trzy miesiące spędzone w Monachium. Zbadał wszystkie pamiątki historyczne; żadna rycina, żadem medal, żaden najdrobniejszy zabytek, przechowany w archeologicznym gabinecie uniwersytetu krakowskiego, nie uszedł przed jego

baczném okiem. To téż wszystkie obrazy jego, noszą cechę prawdy historycznej; można im zarzucić lekkie uchybienia pod względem kolorytu i perspektywy, nikt jednak nie zaprzeczy, że Matejko we wszystkich utworach swoich, zaczawszy od otrucia Bony aż do oswobodzenia Wiednia, w Kazaniu Skargi w Unii lubelskiej, w Rejtanie, w Batorym, w Bitwie pod Gründwaldem, w Hołdzie pruskim, w Dzwonie Zygmunta, okazał się jednym z najznakomitszych mistrzów pędzla naszego czasu.

W innych działach sztuki, p. Trawiński zaznacza równie olbrzymi postęp. Z najwyższém uznaniem podnosi twórcze pomysły wielkich rysowników naszych. Grotgera i Andryollego. Co zaś do rzeźby, sam konkurs na pomnik Adama Mickiewicza, na który przysłano trzydzieści kilka projektów niepospolitej wartości, wymownie świadczy o rozwoju téj sztuki w kraju naszym.

Nie pomija nakoniec prelegent prac krytycznych i archeologicznych. Wysoko podnosi rozprawy o sztuce p. Gersona, jak również badania archeologiczne prof. Łuszczkiewicza i znakomity kurs tego erudyty w krakowskiej Akademii sztuk pięknych.

Ukazało się w tym roku we Włoszech bardzo ważne dzieło, pod tytułem: „Antologia della nostra critica moderna,” przez Ludwika Morandi. Jestto historia literatury nowożytnej, obmyślana i usystematyzowana według nowéj metody. Autor, głęboki erudyta, nie wyrokuję sam o wartości głośnych w świecie utworów, ale pokazuje, jak mistrzów słowa osądzili mistrze krytyki współczesnej.

Plan dzieła zasługuje na uwagę. Pierwsza część czysto teoretyczna; autor nakreśla prawidła i pokazuje, czém powinna być krytyka w idealném słowa znaczeniu. — W drugiej części sięga do początków literatury, daje poznać stopniowy jéj rozwój w pieśniach ludu, w bajkach i legendach, w pierwszych zawiązkach narodowéj epopei i dramatu włoskiego. Trzecia część obejmuje właściwą literaturę: wielcy pisarze następują po sobie w chronologicznym porządku. Najobszerniejszy ustęp poświęcony Dantemu. Szereg pisarzy zamykają Manzoni i Leopardi.

Antologia ta zwróciła uwagę filologów tak we Francji jak w Szwajcaryi. Jeden z nich, tylko co zmarły Marc Monier, profesor literatury w Genewie, daje poznać wielką jéj ważność, a zarazem zachęca pisarzy francuzkich do podjęcia podobnej pracy. Radzi słusznie, aby, mówiąc o znakomitych autorach, pokazać zarazem, jak sądzili ich współcześni i potomni. Tym sposobem traktowana historia literatury byłaby niemniej historią smaku, zmieniającego się w danych epokach, odpowiednio do prądów przenikających społeczeństwo.

„Jakże pożądaném — mówi Monier — byłoby dzieło, w którémby młody pisarz, zamiast głoszenia własnych sądów, częstokroć niedowarzonych, o arcydziełach wielkich autorów, których nie miał czasu po-

znać gruntownie, zebrał poprostu zdania najpoważniejszych koryfeuszów krytyki, jak: Villemain, Sainte-Beuve, Paul St. Victor, Montaigne i zestawił je obok siebie, popularyzując w ten sposób prace krytyczne, niedostępne dla ogółu, samym rozmiarem swoim.“

Aby tém lepiej uwydatnić ważność podobnej pracy, Marc Monier stawia np. Rabelais'go, autora Pantagruela i Gargantui, który w satyrycznym obrazie odmalował społeczeństwo XVI wieku. Pokazuje sprzeczne sądy współczesnych i potomnych o tym słynnym autorze, nieobojętnym i dla nas, bo z tylu względów przypomina Reja z Nagłowic. Ta jednak zachodzi różnica między nimi, że nasz satyryk, równy francuzkiemu dowcipem i trafnością spostrzeżeń, nie dopuścił się nigdy cynizmu, jaki słusznie Rabelais'emu zarzucają.

Współczesny mu poeta Ronsard, ostrym epigramatem chłoczce go jako pijaka, siedzącego wiecznie nad pełnym dzbanem i dziwi się, że kierz winny nie wyrósł z jego ciała, gdy go w grobie złożono. Montaigne znów chwali Pantagruela w pogardliwy sposób, jako książkę zabawną i krotofilną. W XVII wieku Molier i Lafontaine wysoko cenili Rabelais'ego i niemało z niego korzystali. W końcu wieku jednak nastąpiła zmiana w pojęciach. Labruyère w dziele „O charakterach,“ tak się o nim wyraża: „Trudno przebaczyć Marotowi i Rabelais'emu, że w dziełach swoich tyle rozsieli śmieci; Rabelais zwłaszcza całkiem dla mnie niepojęty; książka jego niewytłómaczoną jest zagadką. To istny potwór z piękną głową niewieścią, z nogami i ogonem gadziny; dziwna mieszanina moralności z obrzydliwem zepsuciem. W dobrych ustępach staje się szczytnym, może zadowolić najdelikatniejszych czytelników, w złych, jest bezecnym, czaruje nędzny motłoch!“

W następnym wieku zepsucie obyczajów zwróciło smak do Rabelais'ego. Mówiono o Filipie, księciu Orleanu, że, chodząc do kościoła z Ludwikiem XIV, nosił Pantagruela zamiast brewiarza. Wolter w młodości swojej wyrażał się o Rabelais'em pogardliwie, zwał go pijanym filozofem; później jednak Wolter zmienił zupełnie zdanie. Odbył pielgrzymkę do Meudon, na grób wzgardzonego niegdyś pisarza. Pisze o tém do pani Duffant w r. 1770: „Odczytałem z przyjemnością ustępy z Pantagruela — umiem je na pamięć; wyborcy to obraz rzeczywistego świata; wyrzucam sobie, że tyle złego mówiłem niegdyś o autorze!“

Później, Bernardin de St. Pierre, surowo potępiając Rabelais'go, przyznaje ogromne znaczenie jego pracom. — „Przypadło — mówi on — szczęście ludów; podkopano zasady religii, odkąd dwaj pisarze: Rabelais i Cerwantes, jeden we Francyi, drugi w Hiszpanii, wstrząsnęli zarazem potęgą zakonów i rycerstwa. Aby powalić te dwa kolosy walczyli tylko bronią śmiechności, tém lekarstwem na trwogę. Ludy jak dzieci śmiały się i uspokoiły.“

Z pomiędzy krytyków XIX wieku, Lamartine zowie Rabelais'go wielkim rozgrzebywaczem błota. Chateaubriand od Rabelais'go wy-

prowadza literaturę francuską. Romantycy przyklasnęli mu oburącz; pod ich wpływem doktryner Guizot, a za nim niemiecki Auerstaedt, poczęli zgłębiać idee Gargantui o wychowaniu. Michelet podnosi głos na chwałę Rabelais'go, zowie go najszczytniejszym szaleńcem wieku odrodzenia, którego liczą do pisarzy fantastycznych, a który przeciwnie powziął pierwszy pojęcie świata rzeczywistego, świata prawdziwego, prawdy połączonej z nauką.

Wytrawny krytyk, Sainte-Beuve, powstaje znów ostro na cynizm autora Pantagruela. — „Czytając go na głos — mówi on — nawet w gronie mężczyzn, gdyż wobec kobiet byłoby to niepodobieństwem, wydaje nam się, że brniemy w śmietniku, przeskakujemy co chwila całe ustępy, aby się nie zabłądzić, ależ to bardzo trudno.“

Pod takim studjum nad krytykami Rabelais'go, można było spodziewać się znakomitej historii literatury od profesora w uniwersytecie genewskim. Niestety, śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. Marc Monier umarł w pierwszych dniach kwietnia, w parę tygodni po nakreśleniu zajmującej rozprawki z powodu antologii włoskiej. Sądźmy jednak, że posiew, rzucony przez niego, upadł na dobrze uprawną rolę i zachęci młodych filologów francuzkich i naszych do podjęcia tak pożytecznej pracy.

W tych czasach pesymizmu, grasującego szczególniej pomiędzy artystami, książka nakreślona z miłością i wesołym humorem, przez podeszłego malarza, prawdziwą jest osobliwością. Miłą téż niespodziankę sprawiły nam „Pogadanki Jana Gigoux“ o artystach współczesnych. Znany ten malarz i biegły ilustrator, dźwigający lekko ósmy krzyżyk na barkach, rozpoczął zawód swój w świetnej epoce przełomu romantycznego, obok Eugeniusza Delacroix, Corota, Dawida z Angers i Pradier'a, tych dzielnych zapaśników, którzy na gruzach klasycyzmu stworzyli nową szkołę w malarstwie i rzeźbie. Gigoux nie należał do koryfuszów téj pamiętnej epoki, szedł jednak śladem przewodników; przynosi on skromną cegiełkę do gmachu, na którym blyszczą ich imiona i poprzestaje na tém. Nietylko, że nie zazdrości im chwały, ale jeszcze pragnie ją podnieść i utrwalić w pamięci nowych pokoleń, przypominając z ich życia piękne rysy, na które patrzal własnymi oczyma.

W przeciwieństwie z innymi autobiografami Gigoux mało mówi o sobie; w kilku zaledwie rzutach pióra kreśli szczęśliwą młodość swoją, tém szczęśliwszą, że i w dalszych latach nie nastąpiło po niej smutne rozczarowanie.

Urodzony w cieniu gór Jura, od dziecka pragnął tylko trzech rzeczy: przebiez Szwajcaryą, poznać Paryż, zobaczyć morze. Trzy życzenia spełniły się niebawem. W szkole w Besançon, jakiś protektor sztuki ustanowił nagrodę dla ucznia, który wykona najlepszy rysunek. Mały Gigoux staje do konkursu, otrzymuje sto franków. Z kijem w ręku, picchotą, przebiega Szwajcaryą wzdłuż i wpoprzecz.

Później pleban wiejski zamawia u niego obraz św. Hipolita, patrona parafii — płaci mu trzysta franków. Zachęcony tém ojciec, który przeznaczał synowi zawód weterynarza, pozwala mu opuścić dom, szukać szczęścia w Paryżu. Zaledwie tu przybył młody Gigoux, bierze się skrzętnie do pracy, zarabia małą kwotkę, pospiesza do Hawru z towarzyszem.

Było to w czerwcu; w Nanterre, o parę mil od Paryża, zalata go woń kwiatów. Podczas przeprzegu wybiega z wózka jednym skokiem.

— Czujesz ty, jak tu pachnie morze? — zagadnie towarzysza — wiatr przynosi woń od północy! Był to zapach róż z pobliskiego ogrodu.

Wiek dojrzały nie odebrał słodkich utrud artyście. Serce jego pozostało zawsze jeszcze młodem. Pełen dobroci i pobłażania dla drugich, widzi w nich tylko dobrą stronę, błędy zostawia w cieniu. Z jakąż to miłością wspomina słynnych mistrzów, zagorzałych twórców nowej szkoły. „Żyli tylko dla sztuki — mówi o nich — wszystko dla niej gotowi poświęcić. Do nich to można odnieść słowa żołnierza konającego na polu walki: „Pamiętaj synu, życie, to służba; masz stać wiernie na czatach, sprawiać je przyzwoicie, zstępować z nich bez plamy.“ Wszyscy kochali sztukę głębokim uczuciem, wierzyli w nią, ufali w jej przyszłość. Delacroix co rano, nim wstąpił na stalugi, naszkicował parę figór z Rafaela, lub innych starych mistrzów. Zamilowani w sztuce, kochali także jedni drugich. Troyon za pierwszą sumkę, otrzymaną ze sprzedaży obrazów, widząc, że Delacroix w trudnym jest położeniu, nabył jego piękne dzieło, „Jezusa śpiącego na łodzi podczas burzy.“ Zaczny Corot wspomniałomyślnie dopomagał kolegom. Posłyszawszy, iż Daumier ociemniał i przyszedł do ostatniej nędzy, nabył wiejski domek, w którym biedny artysta przeżyć miał długie lata. Akt kupna posłał mu w dzień imienin.“

Podziwia Gigoux bezinteresowność ówczesną. Troyon, malując obraz, mawiał nieraz ze śmiechem do przyjaciół: „Nie przyznam się nawet, ile mi za to płacą — ci ludzie doprawdy poszaleli!“ To samo powtarzał słynny Diaz: „W głowie mi się przewróciło; dają mi dziś 40,000 za obraz, którybym niegdyś sprzedał chętnie za 300 franków!“

Mnóstwo podobnych rysów znajdujemy w ciekawych pogadankach artysty. Z długoletnich wspomnień zrywa on świeże kwiaty i ze czią składa je na grobach przyjaciół.

Od dwóch miesięcy pisma paryżkie zajęte żywo thermomikrofonem doktora Ochorowicza. Przeglądy naukowe piszą rozprawy o nowym aparacie, pokazują go nawet w rysunku, lubo jak sami przyznają, nie mają o nim dokładnego wyobrażenia. Aparat ten bowiem tak zaciekawiający publiczność paryżką, przenoszący dźwięki i odtwarzający je wiernie, aparat ten powtarzamy jest dotąd tajemnicą wyna-

laczy. Nie wchodzimy tu bynajmniej w jego określenie, poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu zdumiewających rezultatów, otrzymanych na kilkunastu publicznych posiedzeniach.

Poraz pierwszy dr. Ochorowicz wystąpił 4-go lutego na miesięcznym zebraniu, międzynarodowego Towarzystwa elektryków. Wykazał tam dotychczasowe prace wykonane w telefonie, nastąpiły potem doświadczenia. Sala mieściła do pięciuset osób, mimo wielkiej jej rozmiarów, nie stracono ani jednego dźwięku z orkiestry pomieszczonej w znacznym oddaleniu. Tłum przyklasnął gorąco; poważne przeglądy naukowe, wyraziły się z wysokim uznaniem dla wynalazcy. Dziennik „La Nature“ z 28 lutego mówi, że pytanie co do głośnej transmisyi, i za pomocą telefonów częściowo już rozwiązane było przez Gowera i Edissona, ale rozwiązanie jakie podaje dr. Ochorowicz, zupełnie jest i doskonalsze. Toż samo utrzymuje Henryk Parville, sprawozdawca „Debatów.“

Po tej pierwszej próbie inne coraz udatniejsze następowały w ślad po sobie. Jeszcze w miesiącu lutym, znany elektrotechnik Barbier przedstawił aparat w Towarzystwie fizycznym. Za ukazaniem się wynalazcy, poważni fizycy żywymi powitali go oklaskami.

W początku marca, w wielkiej sali konserwatorium sztuk i rzemiosł, elektryk Napoli w odczycie o telefonach, porównał aparat pana Ochorowicza z innymi i przyznał mu niezaprzeczone pierwszeństwo. Byliśmy na tym zebraniu; słyszeliśmy dźwięki orkiestry złożonej z fortepianu, ze skrzypców i puzonu odtworzone thermomikrofonem, a rozlegające się po wszystkich zakątkach ogromnej sali.

W parę dni potem w tejże sali znakomity profesor fizyki Bequerel, powtórzył w obec uczniów też same doświadczenia. Wynalazek nazwał *cudownym*.

Zaciekawiony tym ówczesny minister poczt p. Cochery, pragnął w salonie swoim dać słyszeć całą operę licznie zebranych gościom. Na prośbę jego p. Ochorowicz zajął się przeprowadzeniem drutów od Wielkiej Opery do gmachu ministerstwa, położonego przy ulicy Grenelle po drugiej stronie rzeki. Na pierwszym posiedzeniu obecni słyszeli najdokładniej „le tribut de Zamora,“ na drugim zachwycali ich opera „Rigoletto.“

Tymczasem nastąpiła wystawa elektryczności w obserwatorium. W dniu otwarcia, w chwili gdy prezydent Grevy wszedł do głównej sali, rozległ się po niej odgłos Marsylianki, oddany świetnie przez zawieszony telefon. Muzyka wojskowa wykonała pieśń narodową w dalekim zakątku ogrodu.

Przez parę tygodni powtarzały się codziennie doświadczenia w obserwatorium po dwa razy na dzień, z wielką uciechą paryżanów.

Ostatnie wystąpienie w sali Towarzystwa zachęty, więcej nas od innych zajęło. W dniu zwykłego posiedzenia tegoż Towarzystwa, wykonali w podziemiach gmachu koncert najświetniejsi artyści paryscy: znakomity kompozytor Saint-Saëns, świetny skrzypek Marsik i jedna

z pierwszych śpiewaczek opery pani Conneau. Dźwięk skrzypców, odtworzony przez aparat, wprawił obecnych w zachwycenie. Tony stłumione nieco nowego nabrały uroku; najłżejszy odcień dobiegał dokładnie do ucha. Partycye wykonane na fortepianie biegłą ręką Saint-Saënsa, równy obudziły podziw, jak i świetna arya śpiewaczki. Po skończoném posiedzeniu, gdy się tłum rozszedł, a pozostała tylko mała garstka ciekawych, artyści wbiegali kolejno na górę, rozmawiali przez telefon z oddalonymi towarzyszami. Zachwycony Saint Saëns, żądał od Marsika coraz to nowych melodi, wreszcie powołał go do sali, zbiegł na dół i zakończył koncert najwspanialszą ruladą, jaką nam się kiedy słyszeć dało.

O ważności wynalazku dr. Ochorowicza, najwymowniej świadczy wielka liczba przeglądów i dzienników, jakie się zajęły jego thermomikrofonem, przytaczamy tu cały ich szereg.

„L'Electricien“ nr. 96: Nowy telefon dr. Ochorowicza. „La Nature“ nr. 613: nowy telefon głośno mówiący. Tenże przegląd nr. 617: Sprawozdanie z wystawy elektrycznej. „Le Franklin“ nr. 2: „Buletyn międzynarodowy Tow. elektryków,“ nr. 3: „Buletyn Tow. fizycznego“ z 12 lutego. „Buletyn Towarzystwa zachęty“ z 10 kwietnia. „Przegląd naukowy“ nr. 13 i 17: Sprawozdanie z wystawy elek. „Le guide Scientifique“ nr. 3. „Dziennik zastosowań elektrycznych“ nr. 14. „L'Industrie progressive“ nr. 14. „La Science de la Nature“ nr. 71. Spraw. z wystawy elektrycznej. „Journal des Débats:“ rozprawy naukowe Parvilla z 5 i 27 marca. „Le Monde Illustré:“ artykuł z drzeworytem: przyjęcie prezydenta Grevy na wystawie elektryczności. „Le Gaulois“ z 15 marca: o pięciu odczytach dr. Ochorowicza i innych przyrodników, w przedmocie thermomikrofonu. „La Paix,“ „Intransigent,“ „Figaro,“ „Gil Blas,“ „Le XIX Siècle.“ Angielskie pisma: „The Electrician“ z 7 marca, „Pall-Mall gazette.“ Niemieckie „Illustrierte Zeitung.“

Z zagranicznych pism przytaczamy te tylko, które nas doszły; z francuzkich pomijamy mniej znaczące dzienniki.

W chwili gdy to piszemy, specjaliści przysposabiają na wystawie antwerpskiej osobny pawilon w ogrodzie, na pomieszczenie ciekawego aparatu. Od 1-go czerwca będzie tam urządzona orkiestra, która przez cały dzień da się słyszeć powtórzona przez thermomikrofon. O ile wiemy dr. Ochorowicz ma zamiar jechać do Warszawy w pierwszej połowie czerwca, i tam dać poznać wynalazek swój na wystawie rolniczej.

Młody marynarz Giraud powrócił w tych czasach z misyi, powierzony mu w r. 1882 przez Towarzystwo geograficzne w celu rozpoznania wschodnich części Afryki. W Zanzibarze podróżnik zebrał dość liczną karawanę. poczem przytłynąwszy na brzeg stałego lądu, puścił się ku jeziorom Nianza i inném, gdzie Lingwinstone wskazał początek ogromnej rzeki Congo. Wiadomo, że słynny podróżnik an-

gielski umarł w tych stronach nad jeziorem Banguelo; z pozostałych po nim notat Giraud wytknął plan swojej drogi.

Miał on do zwalczania niesłychane trudności. Brnąc przez trzęsawiska rozsiewające zgniły miazmat, wśród barbarzyńskich i nie-nawistnych tubylców, dotarł nad brzeg Banguelo, zostawił karawanę u króla Cambeze, w kraju Lundu, a sam z kilku wiernymi towarzyszami, postanowił opłynąć rozległe jezioro statkiem, którego części murzyni przynieśli z Zanzibaru.

Po kilku dniach żeglugi, Giraud napotkał wielki wodospad; nim zdołał ominąć tę zaporę, chmara tubylców napadła go i uwięziła. Zdołał jednak ująć do stolicy króla Cambeze, licząc na przyrzeczoną mu opiekę. Czarny ten król odarł go w najnikczemniejszy sposób. Pozbawiony wszelkich środków, zaledwie że zdołał ująć z życiem do belgijskiej stacyi Karma.

W trzy miesiące potem puścił się znów ku wschodowi, ale zdradzony przez karawanę, przerzucając się z jednej rzeki na drugą, dopłynął szczęśliwie do Kilimane nad oceanem Indyjskim.

Smutne bardzo wrażenie odniósł z wyprawy swojej Giraud. Opisuje naprzód okropną nędzę czarnych tubylców środkowej Afryki. Mieszkają oni zwykle w małych wioskach, złożonych z kilkunastu bud, unikając rozległych osad, gdzie zamożniejszy przewodzca zamieniłby ich w niewolników. Trudno im wprawdzie opędzać się chciwym i drapieżnym sąsiadom, przekładają wszakże te gwałty nad twarde jarzmo opiekuna. W grudniu murzyni uprawiają z mazołem ziemię, w styczniu posiewają ziarno, w czerwcu zbierają zboże. W ciągu trzech miesięcy plon ich całkiem spożyty; przez resztę roku, jedynym ich pokarmem grzyby, korzonki, miód i gotowane liście z drzewa. W téj porze przebywał Giraud ścieżki zawałone trupami. To téż ludność zmniejsza się coraz bardziej, skutkiem bezustannych bójk, głodu i handlu niewolnikami, którego powstrzymać nie podobna. W Afryce podzwrotnikowej na dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych, liczą zaledwie dwudziestu pięciu mieszkańców płci męskiej. Zdaniem podróżnika, europejczycy nie mogą rachować na pomoc krajowców w uprawie roli. Rozmiłowani w niepodległości, czarni nie sprzedadzą się za kęs chleba. Zresztą przedmioty europejskie nie potrzebne im wcale i nie mają dla nich powabu.

Uprawa tamtejszej ziemi, jak mówi Giraud, małą przyniesie korzyść. Europa wyobraża sobie środkową Afrykę, bogatą w roślinność, pełną palm i rozłożystych bananów, jak to widzimy na zachodnich wybrzeżach. Wszystko to nie istnieje. Wielka przestrzeń zarosła wprawdzie lasami, ale drzewa w nich nędzne i karłowate, nie zasłaniają nawet od słońca. System nawodnienia mógłby zapewne zmienić postać kraju, ale w innych miejscach, możnaby go stokroć pożyteczniej zastosować.

Co do bogactw naturalnych, te Giraud mało waży: widział tylko żelazo i trochę miedzi. Słonie trzymają się wyłącznie w środku sta-

łego ładu, ztąd transport kości słoniowej o wiele przechodzi jęj wartość, odkąd nie przenoszą jęj niewolnicy.

Aby odstręczyć przyszłych pionierów cywilizacji europejskiej, Giraud pokazuje stan południowych kolonii angielskich, znajdujących się przecięż w korzystniejszych warunkach pod względem klimatu. Bogactwem ich były pióra strusie i kopalnie dyamentów, lecz te się wyczerpały. Zaraza niszczy co rok całe stada bydła i koni. Miasta Cap-Town i Natal upadają pomimo wysiłku metropolii.

Na publicznym posiedzeniu Towarzystwa geograficznego Giraud zdawał sprawę z powierzonyj mu misyi, poczem otrzymał złoty medal z ręk prezydenta Lessepsa.

Walka między kapitałem a pracą przeniosła się dziś pod kopułę pałacu Mazariniego, i zamęciła chwilowo pokój w Akademii sztuk pięknych. Miesiąc temu, po śmierci p. Somerard, dyrektora muzeum Cluny, na wakujące po nim miejsce w Akademii, podało się kilku kandydatów, a między nimi Heuzey, uczony konserwator Muzeum starożytności w Luwrze i Alfons Rotszyld, naczelnik wielkiego domu handlowego. Akademicy podzielili się na dwa obozy. Jedni z zapalem jęli podnosić zasługi pana Heuzey, wielkiego pracownika, niegdys ucznia szkoły ateńskiej, który zdeptał całą Grecyą, przewodnicząc misyi naukowej w Macedonii, następnie wydał mnóstwo prac archeologicznych, mianowicie pyszne, ozdobne dzieło o „Starożytnym Olympie,” a od kilku lat wykłada archeologię w Akademii sztuk pięknych. Drudzy tymczasem wysławiają w Rotszyldzie zapalonego zbieracza dawnych arcydzieł, któremi pomnaża co rok zbiory odziedziczone po ojcu.

Najzawziętym przeciwnikiem tego kandydata okazał się słynny Meissonnier. Siedmdziesięcioletni malarz; walczył jak tygrys przeciw wprowadzeniu plutokracji do uczonego grona, w którym prawdziwa tylko zasługa powinna być uczczoną.

— „Cóż ztąd,—woła—że Rotszyld skupuje stare płótna! Gdyby przynajmniej wybudował pałac, ozdobił go freskami i posągami, rozrzucił złoto między żywych artystów, możnaby to uwzględnić. Nie nam chylić głowę przed złotym cielcem; instytut nie otworzy bram swoich miliardom,

Nieprzyjaciele mistrza mniemają, że powodem tęg zaciętości jest obrażona miłość własna. Rotszyld pragnął mieć mały portrecik, wykonany jego pędzlem; zapytywał przez pośrednika o warunki. Meissonnier żądał pięćdziesiąt tysięcy franków. Suma ta wydała się Rotszyldowi nazbyt wygórowaną. Rzecz poszła w odwłokę, wreszcie spęzła na niczém.

Praca odniosła zwycięztwo nad kapitałem. Heuzey większością kilku głosów obrany został członkiem Akademii sztuk pięknych. Gdyby los inaczej był zrządził, Meissonnier chory już od kilkutygodnio-

wych wzruszeń, byłby, jak mówią, życiem przypłacił tryumf pluto-kracyi.

Otrzymawszy wiadomość o rezultacie wyboru, Rotszyld posłał w téjże chwili dziesięć tysięcy franków na pomnik Eugeniusza Delacroix. Parę tygodni temu, powoływano do suskrypcyi w tymże celu króla bankierów paryzkich. On jednak nie kwapił się z podpisem, o ile mógł puszczając rzecz w odwłokę; nie chciał bowiem, aby go posądzano o chęć zniewolenia sobie artystów, sypniętą hojnie garścią złota.

Ów pomnik na cześć naczelnika szkoły romantycznej w malarstwie, wkrótce stanie się celem współzawodnictwa malarzy francuzkich. W ciągu kilku miesięcy, organizatorowie zebrali już 30,000 franków ze składek dobrowolnych. Wystawa obrazów tego mistrza przyniosła w ciągu marca przeszło sześćdziesiąt tysięcy. Niewiadomo dotąd czy komitet ogłosi konkurs, czy też powierzy dzieło jednemu z pierwszych mistrzów dłuta. Zdaje się, że przeważy ten ostatni projekt, Delacroix bowiem nieprzyjacielem był wszelkich konkursów i silnie przeciw nim występował.

Wystawa rzeźb i obrazów otwarta od dwóch tygodni na polach elizejskich; tłumy oblegają pałac przemysłowy: w dziennikach i przeglądach, spotykamy najsprzeczniesze sądy, naciągnięte do panującego w nich kierunku. Zdaniem materyalistów, sztuka upada bo przestarała rutyna tamuje postęp; trzyma na uwięzi myśl wydzierającą się naprzód, depczącą pogardliwie wszelkie uznane prawidła estetyki. Idealisci przeciwnie, patrzą z boleścią na tyle młodych talentów, zagrzężyłch w materyalizmie, szukających wyłączenie prawdy w steku brzydot społecznych. Walka tych dwóch prądów odbywa się zarówno w malarstwie i rzeźbie, jak w literaturze dramatycznej i powieściowej. Społeczeństwo wstrząśnięte dziś do gruntu przechodzi chwilę gorączkowego przesilenia. Stan nienormalny musiał odbić się w sztuce i wprowadzić ją w chaotyczny zamęt. Ufajmy, że światło zapanuje znów nad ciemnością.

Poważne głosy mistrzów napróżno wołają na uczącą się młodzież *sursum corda!* Głos taki odezwał się nie dawno w pełnej znaczenia rozprawie Boulanger'a, kierującego jedną z najgłówniejszych pracowni malarskich.

Mistrz przemawia gorąco do uczniów, ostrzega ich przeciw niebezpieczeństwu, gromi surowo zbytnią pochopność do szukania dróg nieutartych. Bez trwogi patrzy jednak w przyszłość, nie przypuszcza zupełnego upadku, powstaje tylko na szal nowatorstwa, ogarniający dziś tak artystów jak i wielką część publiczności. Chorobliwą cechą szkoły naszej, mówi, jest to, że każdy młody artysta pragnie bądź cobądź wyróżnić się czémś nadzwyczajnym, by zwrócić na siebie uwagę; każdy podnosi głos, śpiewa choćby na ton fałszywy, byle tylko zakrzyczeć drugich, a dążność tę nieszczęściem rozdmuchuje prasa,

która nie umie odróżnić rzutów geniusza od dziwacznych wybryków, i woła o doraźny rozkwit nowej sztuki, niezwiązanej żadnym węzłem z przeszłością. Fakt taki jest przecież niepodobieństwem i nigdy się jeszcze nie okazał. Prasa najgubniejszy wpływ wywiera na młodzież, radzi bowiem porzucić sumienną i gruntowną naukę a o własnych siłach torować sobie nowe drogi! Tę rzekomą nowość widzimy objawiającą się co rok pod pretensjonalną nazwą naturalizmu, impresjonizmu, luminizmu i t. p.

Daliej podnosi mistrz błędy młodych artystów: pod pozorem kolorytu, i pełnego powietrza (plein air) zaniedbują kompozycją i rysunek, przedstawiają trywialne sceny na płótnach ogromnych rozmiarów. Z wielką słusnością dowodzi, że „nigdy nauka powolna a systematyczna, oparta na tradycyi i wielkich wzorach nie stłumiła oryginalności w artyście, jak to dziś niektórzy utrzymują; a jeżeli gramatyka nie stworzy talentu, jeśli nie da polotu geniuszom, jeśli nie rozwinie wyobraźni, to przecież nie odbierze tych darów wybranym, lecz daje potężną siłę do ich spożytkowania.

Głos Boulangera nie był głosem wołającego na puszczy: oddziaływał zarówno na młodych artystów jak i na sędziów konkursowych. Ci ostatni odrzucili mnóstwo ekscentrycznych utworów: tym sposobem salon harmonijniej przedstawia się dla oka niż w dwóch poprzednich latach.

Biegły mistrz potwierdził wygłoszoną teorią obrazem historycznym małym co do rozmiarów, ale wielkim pod względem wykonania i zawartej w nim myśli: przedstawia on matkę Grachów z dwoma synami, w których widzi ozdobę swą i przyszłą chwałę. Kornelia wychodzi z domu, prawą rękę położyła na ramieniu czternastoletniego Tyberjusza, który z miłością synowską obrócił ku niej oczy, lewą prowadzi małego Kajusa, stąpającego przy niej z kulą i biczkiem w drobnej rączce. Ta poważna matrona, to żywe uosobienie przeszłości, ta krzepka dziatwa z płomienistym okiem, to przyszłość wsparta na tradycyi.

Wszedłszy do pierwszej sali, ogarniamy wzrokiem wielki tryptyk, zapełniający główną ścianę. Historyczny ten obraz łączy się z chwilą ważną w ubiegłych dziejach naszych, przedstawia bowiem Henryka III w Wenecyi, dokąd przybył wprost po ucieczce z Krakowa. Malarz Beraud przebywając od dwóch lat w nadadryatyckim mieście, wykonał dzieło swoje z ścisłością historyczną. Środkowy obraz przedstawia pyszną salę w pałacu dożów, po prawej ręce stoją piękne weneccyanki, strojne w szkarłat i złotogłów, obwieszane perłami; po lewej patrycyusze, przybrani z hiszpańska w płaszczyki i kryzy koronkowe. Na pierwszym planie doża Mocenigo w złotolitej delii z gronostajem i w tradycyjnej czapce, wprowadza Walezyusza, bladego jeszcze z poniesionych w ucieczce trudów. Postać jego zdjeta z wizerunków współczesnych, wyobraża go takim zupełnie, jakim przedstawiał się dostojnikom naszym, na tronie poważnych Jagiellonów. Białe, wygolo-

ny, z maleńką bródką hiszpańską, ma na sobie kaftan (pourpoint) z czarnego aksamitu, takiż fałdzisty płaszczyk, na głowie berecik z egretką brylantową, na szyi łańcuch z medalionem, w uszach brylantowe kolczyki.

Takiego-to króla powoływał niegdyś Jan z Czarnolasu na obronę przeciw tatarom, do takiego śpiewał z otuchą:

Zepnij rumaka srebrnemi ostrogi,
Przybądź hetmanic nad rycerstwem naszym!

Widok téj zniewieściatěj postaci nie odstraszył tatarzyna, jak w prostocie ducha wierzył Jan Kochanowski, ale myśl sama o tatarach odstraszyła króla i skłoniła do ucieczki.

Na prawém skrzydle tryptyku widać olbrzymie wschody i pyszne arkady z różowego marmuru, pokryte arabeskami. Doża, strojny w purpurę, z Henrykiem, ubranym czarno, schodzą otoczeni orszakiem patrycyuszów. Lewe skrzydło żywszą przedstawia scenę. Tuż przy pałacu, na moście *ponte dei carmini*, dwie wrogie sobie grupy gondolierów, *Castellani* i *Nicolleti*, staczają tradycyjną bójkę, zdala błękitnieją fale *Adryatyku*.

Obraz, jakkolwiek bije w oczy przepychem, nie sprawia dodatniego wrażenia. Osobistość ostatniego *Walezyusza* zarówno wstrętna dla francuzów jak dla polaków, artysta dzieli powszechną ku niemu niechęć, dowodem tego słowa z historii *Henri Martin*, zapisane w katalogu. „Nie można było nawet wytłómaczyć go chęcią rychłego powitania Francyi, obrał bowiem jak najdalszą drogę. Strwonił kilka tygodni czasu na zabawach w Wenecyi i innych miastach włoskich, i nie powrócił do kraju prędzej, jak w pół trzecia miesiąca po opuszczeniu Polski.

Żaden z obrazów historycznych na wystawie nie tchnie tą miłością i dumą, z jaką naród powinien wspominać chwile tryumfów swoich, chwile, które drgają tak wrzącem tentnem pod pędzlem naszego *Matejki*; a przecież nie brak w dziejach Francyi chwil godnych twórczego pędzla mistrzów. Tutejsi malarze historyczni wybierają chętnie przedmioty z obcych dziejów i to wyłącznie takie, w których rozwinąć mogą przepych wystawy i bogactwa kolorytu. W tego-to rodzaju obrazie *Clairin* pokazuje chwilę tryumfu *Maurów* nad *Hiszpanami*. W ogromnym dziedzińcu *Alhambry*, zebrani tłumnie wodzowie *maurytańscy* *Muezimy* i ministrowie, śniade ich twarze dziwnie odbijają od burnusów śnieżystej bieli. Na pierwszym planie z jednéj strony błyszczy stos powalonych w bezładzie złotych łupów, krzyżów i zbroi; z drugiejj strony grupa stoczonych *andaluzyanek* łamie ręce z rozpaczą. Przez rozwarte podwoje złocistejj bramy wjeżdża *kalif* na *karym* biegunie, odziany zielonym burnusem, zimny, sztywny, wzrokiem pogardy zatacza po ukorzonych tłumach.

Świetniéj jeszcze pod względem kolorytu, oddał *Benjamin Con-*

stant okropniejszą scenę pod tytułem *Sprawiedliwość Szeryfa*. W wielkiej sali haremowej, błyszczącej od złotych arabesków, na przepysznym kobiercu, leżą trupy świeżo pomordowanych niewiast. Maur z mieczem nieociekłym z krwi stoi ukryty w cieniu, patrzy wściekłym okiem na ofiary swój zemsty.

Ścisłej historyczny charakter ma obraz *Flamenga*, przedstawiający Maryą Antoninę na wózku, z rękoma związanymi, w chwili gdy ją z więzienia *Conciergerie* przewożono na plac egzekucyi. Po prawej ręce siedzi kapłan, z pochyloną na piersi głową, z okiem wlepionem w krucyfiks, który trzyma oburącz. Królowa w białej, zbyt wyświeżonej sukni, w wielkim czepku na siwych włosach, piękna jeszcze, wyprostowana, blada jak widmo, patrzy z największą pogardą na tłumy otaczające wózek. Ta pycha wyryta na obliczu królowej, tak wstrętna na obrazie, tłómaczy poniekąd wściekłość rozżartej tłuszczy.

Trudno zaliczyć do kategorii historycznych, wielki rozniarami i pomysłem obraz młodego malarza *Fretel*, pod tytułem „*Solum patriae*.“ Należy on do małej liczby tych utworów, z których połyska myśl poetyczna. Wyobraźmy sobie szerokie pole świeżo zorane w brudzy; pług pozostał utkwiony w ziemi, powyżej nad doliną, w zapadającym mroku nocnym widać cały legion zmarłych bohaterów, którzy krwią własną podsycaли tę ziemię w paśmie wieków i zasiali ją kośćmi. Jedni atletycznej postawy, odziani w prostą skórę, z czujnym kogutem na sztandarze, wyobrażają starych Galów, inni w hełmach i żelaznych zbroicach, to dzielne Bajardy i Tureniusze. Widzimy tu *Wercyngetoryksa* w kasku, *Joannę d'Arc* w bieli na śnieżnym biegunie. Obraz ten zyskał powszechny poklask; najsurowsi krytycy pomijają usterki techniczne w obec myśli, jaką wyraża i zapowiadają młodemu artyście najświetniejszą przyszłość.

Inny jeszcze obraz *Fourniera* „*Syn Galla*“ uderzył nas niepolitą myślą. Noc zapada, opodal czerwieni się łuny pożaru. Na pierwszym planie leży ubity zapaśnik galski. Niewiasta, pochylona nad ciałem, ogarnia go rozpaczliwie w ramiona. Tymczasem piętnastoletni chłopiec wydziera miecz z rąk poległemu ojcu. Pobojuwisko całe zastane trupami. Mężowie polegli, zostały tylko niewiasty i niedorośla dziatwa. Tych wystarczy, aby odrodzić kraj po klęsce.

Podobną myśl wyraża obraz *Thomasa*: „*Żony zwyciężonych*.“ Dzielne wdowy galskie tulą z miłością osieroconą dziatwę, one przechowują święty płomień w ich piersi.

Myśl *Henri Martin'a* poczyna widocznie kiełkować tak w malarstwie jak w rzeźbie. Wiadomo, że ten historyk-patryota, widział jedyne ocalenie Francyi w powrocie do tradycyi galskich!

W przedmiotach religijnych większe uderza ubóstwo: poznajemy je tylko po aureolach rozpostartych ponad głowami. Gdyby nie to promieniste koło, niktby nie wyróżnił z tłumu świętych wybrańców Bożych. Do wyjątków należą jednak dwa obrazy pędzla *Bouguereau*

przedstawiające hołdy pastuszków i trzech królów, przed dzieciątkiem w stajence betleemskiej. Oba wykonane po mistrzowsku dla kościoła św. Wincentego à Paulo, staną się prawdziwą jego ozdobą.

Do Panteonu, który jako pomnik sztuki religijnej XIX w., posiada już w obrębie swoim szeregi scen z życia św. Genowefy, Klodowusza i Ludwika świętego, Bonat odtworzył śmiałym pędzlem podanie o św. Dyonizym, pierwszym apostołe Francji. Przedmiot sam wymagał niesłychanej delikatności w układzie: aby sprostać trudnemu zadaniu, mistrzowski pędzel nie wystarcza; potrzeba tu religijnego natchnienia—a tego zabrakło malarzowi.

Scena odbywa się na kamiennych wschodach, wiodących do świątyni pogańskiej, na wzgórzu, panującym nad Lutecyą. Kat spełnił przed chwilą krwawe dzieło, rzucił na ziemię topór. Kadłuby dwóch męczenników leżą zbroczone we krwi, głowy ich potoczyły się daleko. W pośrodku św. Dyonizy z nagiemi ramionami, osłonięty poniżej ciemnym płaszczem pochylony ku ziemi, wyciągnął naprzód obie ręce, podnosi z ziemi głowę własną, z czarnym dziwnie błyszczącym okiem. Z szyi świętego, buchającej krwią wytryska snop promieni i rozsiewa blask na całą przestrzeń. Rzymianin w białej todze patrzy na cud z wyrazem przerażenia. Z góry tymczasem, spowity w splot chmury spuszcza się anioł, trzyma w ręku wielką gałąź palmową. Czoło jego zmarszczone wzrok gniewny, rzekłby kto, że gotów schłostać palmą zuchwałych artystów, którzy bez głębokiego namaszczenia, porywają się na przedmiot, zupełnie dla nich obcy.

Inne całkiem wrażenie sprawia prześliczny obrazek Oliwiera Merson. On jeden z malarzy francuskich umie podnieść się do idealnych wyżyn, do których inni dosięgnąć nie zdołają. Obrazek to mały, pełen prostoty; łatwo go pominąć w pośród innych, ale kto zwrócił nań oczy, nie łatwo je oderwie. Rzecz dzieje się w Betleem, w noc chłodną, gwiazdki migocą na ciemno szafirowym niebie. Po lewej ręce zamożny dom odróżnia się od innych, płomień jasno bije przez szyby. U progu stoi podróżny z kijem w ręku, kołaczce do drzwi, ale te szczelnie zawarte, nie otworzą się dla biednego. Strojna kobieta wygląda oknem; rysy jej ostre; zniecierpliwiona, wskazuje ręką na prawo. Tymczasem na pierwszym planie młoda podróżna upada od znużenia. Ci biedni wędrowcy, to Marya i Józef, odtrąceni przebogaczy, znaleźli przytułek w ubożuchnej stajence betleemskiej.

Nie podobna nam zatrzymywać się w dziale portretów i krajobrazów: wartość jednych i drugich powszechnie uznana. Wiadomo Niemniej jakiego znaczenia nabrały w ostatnich czasach obrazy rodzajowe; są one tém w malarstwie, czém powieść w literaturze, przedstawiają życie to z tragicznej, to znów ze śmiesznej strony; te zaprawne sarkazmem, tamte humorystyczną werwą, inne podnoszą zagadnienia leżące na czasie, wykrywają społeczne rany, inne nakoniec, a takich nażbyt wiele, rozgrzebują brzydoty społeczne; istne to kartki wycięte z romansów Zoli i całej jego szkoły.

Z pośród tysiąca rodzajowych obrazów błyszczą dwa drogocenne klejnoty. Mówimy tu o dwóch scenach wiejskich Juliana Bretona. W obu jak w przezrystej krynicy odbija życie pracowitych wieśniaków. Nie dopatrzeć tu cienia sielankowej przesady, szczęście tych prostaczków, to nie jakiś poetyczny wymysł, ale prawda niezaprzeczo- na: szczęśliwi, bo poprzestają na tém, co im życie dać może, bo zespoleni z przyrodą odczuwają całą jej piękność, bo wierzą głęboko, ufają szczerze, kochają całą siłą prostego serca.

Pierwszy obraz ukazuje nam młodziuchną dziewczkę z sierpem w ręku. Słońce wybiega ognistą kulą na widnokrąg. Opodal widać skupione chaty, opasane wieńcem drzew, a z poza nich wygląda dzwonnica wiejskiego kościołka. Dziewcze stąpa leciuchno bosą nogą po miękkich wrzosach, śpiewa do taktu ze skowronkiem, wznoszącym się w obłoki.

Na drugim obrazie słońce zapadło, rumieni tylko przestrzeń, odbłask wieczornój zorzy. Pod chatą na przyźbie siedzi stara babka, przedzie kądziel na kołowrotku. Przy niej siwy starzec grępluje garść konopi. Młoda dziewczka, ta zapewne, co wybiegła z domu o świcie, spi na murawie znużona całodzienną pracą. Od wrót podwórka wraca z pola starsza córka gospodarzy, mąż jej, krzepki młodzian, ciągnie za sobą naładowany wózek. Na widok ich zerwało się z ziemi dwuletnie dzieciątko; z wyciągniętymi rączkietki biegnie ku matce, dziadek i babka oglądają na nie z radością.

Córka Bretona, pani Daimont, z wielkim talentem oddała wnętrze normandzkiej chaty, a w niej za stołem trzech ogorzałych majtków przy kubkach cydru. Znać wrócili z dalekiej wyprawy; jeden trzyma w objęciu maleńką dziewczkę, — dwoje dzieci bawi się przy ognisku z rybą tylko co ułowioną.

Małe grono malarzy naszych wystąpiło w tym roku w salonie: trudno się temu dziwić: niegościnnosc francuzów słusznie ich odstręczyła. Matejko nie chciał zapewne narażać się na pociski i uszczypliwe żarty, jakimi obsypano Hołd pruski w roku zeszłym. Pan Chełmoński wystawił mały obrazek Przed burzą, ale ten zawieszono tak wysoko, że niepodobna widzieć, co wyobraża; wspomnimy o nim chyba później, gdy po zamknięciu salonu zobaczymy go w pracowni mistrza naszego. Nie lepiej zawieszony obraz p. Brandta: przedstawia on Czubanoń, zaskoczonych śnieżną zamiecią na stepie ukraińskim. W pośrodku widać wyprężony wóz, ostniony wołokiem od strony wichru; konie dopatrzeć ledwie można.

Dwa portrety pana Merwarta korzystniejsze znalazły miejsce. Jeden z nich maleńkich rozmiarów, przedstawia poetę Armanda Sylwestra. Portrecik ten po dwakroć już nagrodzony medalem, w Nicei i Lyonie, wykonany był dorywczo w chwili natchnienia. Raz, wszedłszy do pracowni pana Godebskiego zastał tam p. Merwart pozującego do biustu poetę. Nie wiele myśląc, chwytając pędzel i deszczutkę, w kilku rzutach odtwarza wiernie charakterystyczne rysy modelu.

Drugi obraz, zatytułowany w katalogu „Un gymnaste tireur,“ przedstawia prezydenta i założyciela towarzystw gimnastycznych we Francji. Postać to krzepka, pełna żaru i energii, w białej czapce, w kurtce granatowej, z karabinem na plecach. W rękę trzyma trąbkę, gotów wydzwonić hasło i zawołać *en avant!* Pan Merwart wziął sobie za cel oddać myśl odrodzenia narodu przez wychowanie higieniczne młodzieży. W głębi widać strzelnicę, namioty i baraki. Sprawozdawcy dzienników z wysokim uznaniem wyrazili się o tym pełnym zalet obrazie.

Odznacza się wśród wielu piękny portret młodej kobiety w czarnej sukni pędzla panny Anny Bilińskiej, wykonany śmiało, w jasnych tonach z niepospolitym talentem. Młoda artystka nasza ogromne czyni postępy. Uznali to jej mistrze Bouguereau i Robert Fleury, powołując ją na nauczycielkę do nowo urządzonej pracowni.

W różnych działach spotykamy imiona polskie; pp. Aksentowicz i Karbowski wystąpili z portretami, p. Zier z biblijną sceną; p. Przepiórski z obrazem kupca sprzedającego branki, p. Gąsowski z widokiem Arkaszonu; pp. Krabański i Lipiński z rodzajowymi obrazami.

W dziale pastelów spostrzegamy ładny portret młodej blondynki, wykonany przez pannę Kazimierę Dziekońską, wśród akwarelli dwa portrety na porcelanie pędzla panny Heleny Duchyńskiej; jeden przedstawia Lessepsa, drugi młodą kobietę. W oddziale rysunków znajdujemy prace pani Jabłonowskiej, panien Płużańskiej i Dulembi, panów Rejnacha i Ostrowskiego.

Wspomnijmy tu jeszcze o młodym a pełnym przyszłości rytowniku, panu Feliksie Jasińskim. Jego *aqua-forty* wystawione w salonie, wykonane z prawdziwym talentem, znalazły powszechne uznanie. Dwie z nich są śliczną reprodukcją dwóch obrazów Alfreda Stevensa, z muzeum brukselskiego, trzeci wyobraża kuchnię wojskową, według obrazu Maryusa Roy. Pan Jasiński pracuje stale dla wielkiej publikacji „L'Art.“ Znawcy napisali o nim, że stanął dziś w rzędzie pierwszych rytowników francuzkich.

Znijdźmy nakoniec do oszklonego ogrodu, pełnego posągów, marmurowych grup i popiersi. Rzeźba bogato przedstawiona, — słusznie Francya może się nią pochlubić. Naprzód wpadają tu w oczy wielkie pomniki na cześć mężów zasłużonych na rozmaitem polu. Uderzył nas przed innemi piedestał do pomnika generała Chanzy, przeznaczony do miasta Le Mans, dłuta Croizego. Posąg dzielnego wodza nie wykonany jeszcze. Podnóże pomnika otacza zbrojny oddział. W pośrodku oficer z lunetą w rękę daje hasło do bitwy, obok prosty szeregowiec nabija karabin, inny przykłada lont do dział — inny znów leży powalony na ziemię z koniem. W akcji pełno ruchu i życia.

Zwraca też uwagę model do pomnika Klaudyusza Jouffroy, wzniesionego w roku zeszłym w Besençon: na piedestale stoi wynalazca żeglugi parowej, — biegły rzeźbiarz Gautier w trzech płaskorzeźbach

pokazał go w trzech chwilach życia, naprzód małym chłopięciem—pracującego mozolnie nad mechaniką u wiejskiego kotlarza; potem w czasach tryumfu, kiedy parowiec jego przepływa Saonę w Lyonie, nakoniec na łożu śmierci w domu Inwalidów, konającego w nędzy i opuszczeniu.

Z nagrobków najpiękniejszy, przeznaczony do Dreux, dłuta słynnego Chapu, przedstawia księżnę Orleańską, matkę hrabiego Paryża. Postać księżnej wykuta z marmuru kararyjskiego, leży na sarkofagu z wyciągniętą w bok ręką. Układ tej ręki dziwny dla oka, ma przecież swoje znaczenie. Jako protestantka z domu meklemburskiego, księżna nie mogła zająć miejsca w katolickim kościele, zbudowano więc dla niej osobną kryptę dotykającą grobowych sklepień, przez mur przebitą, ręka księżnej połączy się z ręką małżonka.

Fremiet wykonał pełną szalonej werwy grupę z czasów przedhistorycznych. Dziarski gal wdarł się do gniazda młodych niedźwiadków; jedno już zdusił i przytroczył do rzemiennego pasa, ale niedźwiedzica strzeże pilnie pomiotu swego; rzuca się na zuchwalca, chwyta go wpół, wpija pazury w ciało. Napróżno gal utkwiał oszczep w jej serce; żadna siła nie wyrwie go z śmiertelnego uścisku matki!

Rzeźbiarze nasi wystąpili po większej części z portretami. Pan Godebski biegłym jak zwykle dłutem, wykonał popiersie D-ra Wr., p. Hegel dwa brązowe popiersia, p. Marcinkowski pełną wdzięku dziewczkę wiejską, ulaną z brązu i dziesięć medalionów, uderzających podobieństwem. Widzimy pomiędzy nimi naszego lirnika ukraińskiego Bohdana z siwą do pasa brodą, czcigodnego Domejkę, księcia Wł. Czartoryskiego, Edmunda Chojeckiego, i kilka innych mniej więcej znanych osobistości; p. Kosowski z Krakowa, wystawił muzę poświęconą Kraszewskiemu, pani Matylda i panna Certowicz wykonały udane popiersia.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki.

PRZEZ

Edmunda S. Naganowskiego.

Sens polityczny anglików. — Kanclerz niemiecki i John Bull. — „Surgunt Skierniewice!“ — Zwłoki Gordona. — „Drzewa Gordona.“ — Skarb i Sztuka. — Interpelacya w Izbie. — Co rząd robi dla sztuki? — Muzea narodowe. — Galerye i Wystawy obrazów w Londynie. — Muzea i Wystawy prowincjonalne. — W Szkocyi. — W Irlandyi. — „Szkoły Sztuk Pięknych“ w Królestwie. — Nauka rysunku, malarstwa i rzeźbiarstwa w szkołach publicznych. — Architektura w r. 1884. — Stowarzyszenia i kluby sztuk pięknych, oraz ich dobroczynność. — Dzieła malarzy w r. 1884: Orchardson, Leighton, Alma Tadema, Green, Millais, Amyot, Mackay, Rosa Bonheur, Nicol. — Dzieła rzeźbiarzy: Wood, Chaplin, Thornycroft, Lawson, Swinnerton, Simonds. — Piśmiennictwo artystyczne: *The Art Journal*; *The Art*; *English Illustrated Magazine*. — „Vox clamantis.“

Tak długo, dopóki w Anglii gabinet przeprowadza tradycyą narodową zwycięzko a przynajmniej spokojnie, to naród angielski odaje mu należyty hołd uznania, uwielbienia, jednoczy go z ideą brytanizmu i widzi w nim wynik i uosobienie téjże idei. Skoro tylko gabinet bruździ, szwankuje i popełnia mniej lub więcej fatalne błędy, naród odłącza go absolutnie od swéj idei i tradycyi, traktuje go oddzielnie, jak traktuje oddzielnie rozwój téjże idei w ciężkich i trudnych fazach. Ten to rys charakterystyczny najmniej jest znany przyjaciołom i nieprzyjaciołom Anglii — najmniej jest pojmowany, lub oceniany zarówno we Francyi, jak w Niemczech. A przecież w nim leży sekret politycznego sensu anglików!

Ktokolwiek śledził uważnie dzieje gabinetu teraźniejszego w Anglii od ostatnich dwunastu miesięcy, temu przedewszystkiém zdawno, że i dla czego, w obec zdaje się śmiertelnych grzechów jego, naród się go nie pozbył? Dotychczasowa administracya pana Gladstone'a, oszacowana w rezultatach swych jak najszczerzej bezstronnie, pozostawia brytańskiemu imperyum długi registr tych grzechów śmiertelnych, obok czynów prawdziwej lub względnej wartości bardzo nielicznych. Ze stanowiska ogólnej moralności powiemy, że ustawy ziemiańskie dla Irlandyi i ustawa reformy parlamentarnej, (jeszcze nie dopełniona) — są jedynie i wyłącznie godne wzmianki, jako akta w wysokim stopniu gruntownej i trwałej wartości. Lecz z punktu widzenia iście brytańskiego, ustawy irlandzkie były wynikiem agitacyi homerulerów, nie załatwiły „kwestyi irlandzkiej,“ napełniły goryczą warstwy arystokracji kolonialnej w Irlandyi, wzmocniły pierwiastki ciągłego na wyspie antagonizmu, ośmieliły homerulerów! Mniejsza o to, sprawiedliwość oddaje kredyt ministrowi... tém skorzej, iż więcej się dodatnich rezultatów dopatrzeć nie zdoła!

W sprawach bowiem wewnętrznych samej Anglii uderza nas okropne zaniedbanie — z winy męża, który aż po rok 1880 słynął właśnie z bacności na rozwój interesów monarchii wewnętrznych, wypisał na sztandarze swym „Hands off!“... chwyćmy się pługa i pióra, a zostawmy ambicje hegemonii uniwersalnej tym, którzy dla niej podatkują, militarzują i zaniedbują własne społeczości! Piekące prawdziwie sprawy, jak: uniwersytetów szkockich, walijskich i wszechnicy londyńskiej, kanalizacyi hrabstw południowo-zachodnich, reformy municypium stołecznego, reformy monetarnej, nie postąpiły wcale w parlamencie lub go nawet nie doszły, mimo corocznych uroczystych obietnic! Podatek dochodowy podniesiono do sumy bajecznej — pół szylinga z dwudziestu! Nie zniesiono podatków spirytusowych, a podwyższono cła od przywozów zagranicznych i od tytoniu. W skarbie, w którym lord Beaconsfeld pozostawił przeszło trzy miliony, dług dziś dochodzi piętnastu milionów; z długu narodowego nie spłacono ani pensa!

Tyle w najgłówniejszych zarysach o sprawach domowych, do którychby irlandczycy dodali: ustawy koercyjne, a parlament dodać powinien: prawo „klotury.“ Sprawy zagraniczne, o ile się grupują w koło Anglii, leżą otwarcie przed najmniej nawet uważnym czytelnikiem pism politycznych codziennych.

Zraziwszy sobie Austryą w r. 1880, p. Gladstone nigdy jój sobie nie zjednał, owszem zniszczył zupełnie jój do siebie zaufanie. Z Francyi, która go, że tak powiemy, przyprowadziła do władzy, uczynił sobie dziś nieprzyjaciółkę, pełną nieukrywaną dla siebie pogardy, jak o tém świadczy każdego rana i każdego wieczoru ton urzędowych i półurzędowych organów prasy, o innych nie wspominając. Wszedłszy lwem do Egiptu, bodajby gabinet zyczył sobie dziś wyjść z niego choćby myślą;... a administracya chedywatu, którą na własną pod-

jął był rękę, pozostaje dotychczas sub lite mocarstw, neutralizujących absolutnie tryumfy aleksandryjskie, pogrom pod Tel-el-Kebirem, olbrzymie ofiary w finansach, generałach i ludziach na odsiecz załogom sudańskim... z której to odsieczy, wyłonił się okropny realizm wojny w krainie nieznanéj, odległej, z klimatem zabójczym, z ludem, który Anglii nic złego nie zrobił, z pokoleniami niezliczonemi rozfanatyzowanych arabów, słuchających głosu swego „Mahdi,“ o którym nic zgoła się nie wie, który mimo to elektryzuje śpiący fanatyzm nad Gangesem!

Sprawy kolonii południowo-afrykańskich wracają do status quo o przed r. 1880. Wystąpił tam sir Charles Warren żąda pomocy armii i pieniędzy! Z dwóch stron tychże kolonii: na wschodzie, ś-tój Życyi; na północy-zachodzie, w zatoce i przy ujściu Angry Pequeny, gabinet p. Gladstone'a sprowadził jedynie opieszałością swą uparte Armer-Reisendertum niemieckich awanturników (Lüderitza i Einwalda), z którego ni ztąd, ni z owąd wykluczo się to samo Colonial-Kaiserthum, jakie się już zaczyna ocierać o kolonie brytańskie Australii! Zapędy te kolonizacyjne, będące chorobą końca naszego wieku, dały powód do blisko dwuletniej szermierki kanclerza niemieckiego z lordem Granville. A wynikiem szermierki... publiczne tegoż lorda upokorzenie się przed księciem w obec parlamentu angielskiego! Wszystko to w chwili, kiedy ostatni i najgorszy zawód czeka spektatorów i zarazem interesantów w rozwoju narodowej tradycyi brytańskiej; widmo wojny na granicach Indyi powstało i większą otoczyło się grozą pod auspicjami gabinetu, który na to wziął ster rządu, aby je oddalić i zniszczyć!

A przecież, a jednak, a mimo to wszystko John Bull pozostawia gabinet przy władzy! Dlaczego? Z trzech rozsądnych a bardzo obywatelskich racyi. Przedewszystkiem, ponieważ ten czynnik, którego tak trudno określić, tradycya narodowa, duch narodowy, żywotność odśrodkowa, jest nietylko w samej Anglii, lecz w całym brytańskim imperyum tak silny i jednolity, że on jeden tylko ostatecznie decydować musi o jakimkolwiek szwanku, grożącym W. Brytanii. Gabinet jest tu zawsze tylko wyrazem ogólnych tendencyi narodu, personifikacją rezultatu walki stronnictw parlamentarnych. Oddając mu przed sześciu laty władzę, John Bull zapowiedział, że chce w spokoju przuć węgiel i reformować Irlandyę. Nie pozwoliła wkrótce na to tradycya narodowa, nie pozwoliła odśrodkowa żywotność, potrzebująca dodatnich kanałów, którymiby się rozlewała. Jestże to winą gabinetu? Bynajmniej! Dowodem—bezradność opozycyi. Winą gabinetu nie jest fatalny pozornie obraz, powyżej naszkicowany. Ale gabinet jest bezradny! To i opozycya jest bezradną! Nie ma w całym obrazie trudności angielskich ani jednej opozycyi, do której nie przyszło jak najnaturalniej, konieczną konsekwencyą przyczyn, które ani w tym, ani w poprzednim nie zrodziły się gabinetu.

Powtórę po cóż ma John Bull wyrzucać ministrów z gabinetu

przed czasem, naznaczonym w konstytucyjnych obyczajach parlamentu—i to wobec całego świata, w chwili kiedy sam mechanizm dyplomatyczny, operacyjny, wymaga dobrego użytkowania pojedynczych chwil? Już ta jedna racya, że gabinet, który zaszedł, lub zapędzony został na bagna — sam najlepiej wie jak stoi... wystarczałoby (przy koniecznej i naturalnej apatii opozycyi), by go pozostawić własnemu dowcipowi—dopóki go w najkrytyczniejszej chwili nie wydobędzie siła żywotna W. Brytanii!

Potrzenie, jest po stronie Johna Bulla i ten jeszcze kapitalny powód, dla którego nie spieszy przed czasem do urny wyborczej, że właśnie tego życzy sobie ktoś inny. Ani śmierć Gordona, ani perspektywa długiej wojny w Sudanie nie wywołały tutaj oburzenia na gabinet. Wywołuje zaś je arogancya księcia kanclerza niemieckiego, chcącego dyktować Anglii kiedy i w jaki sposób miałyby zmienić gabinet. Jak śmie! How dares he! What next? Nie podoba się księciu pojedynek Anglii z Mahdim? Nie miły mu stosunek Anglii do Francyi? Korci go anglo-włoska „entente“? Zżyma się nad prospektem anglo-tureckiego przymierza? Kością mu w gardle obywanie się z téj strony bez jego interwencji w Afganistanie? Irytuje się „niebieską księgą“ lorda Granville'a? — Niechże się ograniczy do zakresu dyplomatycznego i żąda apologii lorda Granville'a za tegoż wszelkie faux pas... ale do spraw narodu wewnętrznych księciu wara! John Bull, proszę mi wierzyć, ani rozumie, ani chce zajmować się dyplomacją swego gabinetu zagraniczną. Osobistości wpływowe na prowincyi, wogóle mieszkańcy prowincyi zadawalniają się pewnością, że:

Imperyum brytańskie nie straciło ani piędzi ziemi w ostatnich sześciu latach. Straciło siła pieniędzy, ludzi i Gordona—bo powiadają w Westminsterze, że tak być musiało... a jeśli mówią inni, jakoby nie musiało, to nie wiemy dla czego? Duch narodowy ożywia całe imperyum daleko potężniej niż kiedykolwiek w dziejach naszych. Dowodzi tego samowolna, nieproszona gotowość Australii i Kanady do pomagania nam w Sudanie i w Afganistanie. W Irlandyi spokojnie. Pułki irlandzkie, pod dowództwem irlandzkich oficerów, z których najdzielniejszy sam Wolseley—biją się jak lwy, obok pułków bengalskich i szkockich. Powiadają, że może być wojna z Rosyą—no, to jak będzie, to zostawimy w domu ochotników i milicyą, pójdziemy i bić będziemy, póki każą. W domu u nas chleb tańszy, mięso tańsze, pogoda dobra—a wybory dopiero po żniwach. Co temu Bismarckowi—że się wścibia między nas? Niech sobie pilnuje swoich piechurów, pastorów i socyalistów! Rule Britannia, and God save the Queen!

Nie ulega wątpieniu, że Anglia znajduje się na przełomie swój dziejowej wielkości. Czyżby jednakże należało wnioskować ztąd, że niebawem ma dla niej nastąpić epoka rozkładu i upadku? Bynajmniej.

— There is also an anti-climax in our affairs— rzekł do mnie temi dniami jeden z postów — a jego cnota leży w tém, że nigdy w dziejach swych Anglia, jako potężne cesarstwo, nie przedstawiała takiój, jak obecnie łączności, zgody i jedności—spajających silnie wszystkie kolonialne posiadłości z matką ojczyzną!

Wybaczy mi łaskawy czytelnik, że tyle miejsca zajął kronikarz tém expo sé? Należałoby je rozszerzyć, lecz i tyle wystarczy, by wskazać, jak się odbijają wypadki polityczne na życiu społeczném w tym kraju.

O zwłoki Gordona rozpocznie starania niebawem gen. Wolseley. Tymczasem w kraju powstała idea zasadzenia po wszystkich parafiach drzew pamiątkowych, mających po wszystkie czasy przypominać anglikom wielkiego bochatéra. Będzie to naśladowaniem Niemców i ich Sedan-Bäume.

Zdawałoby się, że naród obsaczony tylu trudnościami, nie ma czasu, ni chęci, a z pewnością nie ma funduszków na folgowanie artystycznym ambycjom kraju! Tymczasem sam rząd tutejszy przedstawił w parlamencie projekt nabycia niektórych arcydzieł sztuki dla narodowych galerii. Parlament znalazł dość czasu na długą dyskusyę o wartości owych arcydzieł i ostatecznie zawotował potrzebne sumy, włącznie z budżetem ministra robót publicznych, pod którego zarządkiem pozostają także muzea i stałe wystawy sztuk pięknych.

Najważniejszém z owych arcydzieł jest „Madonna Ansidei“ Rafaela, za którą skarb wypłacił 70,000 funtów szt. (blizko 700,000 rs.) terażniejszemu księciu Marlborough, synowi zmarłego w zeszłym roku byłego namiestnika Irlandyi, w gabinecie lorda Beaconsfielda. Książę pozbył się już dwóch trzecich słynnych zbiorów pałacu Blenheim, znanych pod nazwą: „The Blenheim Collections“—pochodzących głównie z łupów i innych, niekoniecznie rycerskich nabytków, wielkiego wodza królowej Anny, zwycięzcy z pod Blenheim i Ramilies, pierwszego księcia Marlborough. „Madonna Ansidei“ stała się własnością narodu jedynie wskutek starań rządu—bo książę zamierzał wysłać ją za granicę, do Niemiec zdaje się, gdzie mu obiecywano podobno 120,000 funtów. Obraz umieszczony jest w galerii narodowej na skwerze Trafalgar. Niemile musiała dotknąć rozrzutnego księcia kwestya, postawiona w izbie przez p. Marriott'a: Czy nie wypadłoby, aby rząd pospieszył się z wykupieniem reszty nieocenionych zbiorów z rąk księcia, zanim je wywloką cudzoziemcy i pozostawią Anglii wstyd (disgrace), iż dla zatrzymania ich w kraju załowała grosza?!

Już to, musimy przyznać Anglii, że na wzbogacenie kraju wszechstronnym rozwojem sztuki nie szczędzi ani zachodów, ni kosztów. Warto zapewne zaznajomić czytelników „Biblioteki“ z tém, co rząd tutejszy robi dla sztuki. A ponieważ pierwszą mam sposobność traktowania tego przedmiotu, więc zapiszę tu, jakie wogóle mają stolica i prowincya instytucye, poświęcone sztukom pięknym.

I. LONDYN *).

1. Galerya Narodowa, na skwerze Trafalgar (zbudowana w latach 1831—1836), należy do najpierwszych tego rodzaju w świecie. Liczy dzisiaj 1148 obrazów, przeważnie szkoły włoskiej, dzieł pierwszorzędnych jedynie mistrzów. Wydatki na rok 1884—85 obliczono na 16,643 funty szt., licząc w to pensye, podróże, zakupno obrazów mniejszych, ubezpieczenie od ognia i reperacye. Subwencya rządowa wynosi 10,300 funtów na rok bieżący. Rząd, jak widzieliśmy, obdarzył nadto Galeryą „Madonną Ansidei.“ Kilka osób prywatnych zapisało, w ciągu ostatniego roku, swoje zbiory na własność narodu; z tych najważniejsze są: Zapis Clarke'a, obejmujący między innymi dwa arcydzieła Duccio di Buoninsegna „Portret chłopca” i „Zwiastowanie” — i Zapis Lewis'a, w którym najznakomitszym jest „Portret młodzieńca” Antonellogo da Messina. Zarząd Galeryi nabył w ostatnich miesiącach kilkanaście obrazów szkoły werońskiej z XV wieku, „Ukrzyżowanie” Andrzeja del Castagno (137 funtów), „Pochód na Kalwaryę” Ridolfa del Ghirlandajo (1200 f.) i „Samsona” Andrzeja Mantegna (2,362 f.). Galerya jest bezpłatnie otwartą publiczności i młodym artystom. W pewne dni tylko (czwartki i piątki) zwiedzający płacą za wstęp po szylingu. Z tego źródła miała galerya, przy końcu ubiegłego roku, dochodu przeszło 914 f. Osób zwiedzających było wogóle 849,604, czyli w przecięciu 4,104 dziennie. Nowych studentów zapisało się 329; członkowie Akademii Królewskiej przewodniczyli pojedynczym klasom i miewali publiczne odczyty.

2. Muzeum Brytańskie, o którym tu wspomnieć koniecznie wypada dla jego wspaniałych zbiorów, sztychów i rycin, ma subwencji rządowej 52,133 funt. szt., a wydaje przeciętnie po 100,000. Dochody znaczne pochodzą z legatów i własności nieruchomości. Muzeum jest otwarte zawsze i wszystkim. Jego galerye starożytności ściągają licznych artystów i młodzież uczącą się płci obojęj. Powiedziałbym, że do najszlachetniejszych myśli, jakie towarzyszyły pierwotnej fundacyi Muzeum i następnym, należy ta przedewszystkiém zasada, że olbrzymie zbiory w połowie tylko będą dobrodziejstwem dla społeczeństwa, jeżeli przy nich i z ich pomocą, nie będą stale utrzymywane kursa dydaktyczne. Ztąd to powstały, pod skromną nazwą Odczytów (British Museum-Lectures) w pojedynczych wydziałach, każdorazowe serye wykładów, podejmowanych przez kompetentnych uczonych. Też np. zimy, mieliśmy w czytelnicy prelekcye „O Shakespearze,“ pani Edwards; prof. Huxley wykladał biologią; prof. Sayce przydawał podczas prelekcji p. Green „O starożytnościach Assyryjskich” i t. p. Prelekcye te i wykłady są bezpłatne. Brytańskiemu Muzeum przybyło w ostatnim roku kilka galeryi,

1) Cyfry subwencji rządowych i rozchodów czerpię z dziełka specjalnego: „Art in 1884.“

bo wszystkie zbiory, odnoszące się do przyrodoznawstwa, zostały przeniesione do Muzeum w dzielnicy South - Kensington. W ten sposób opróżnione galerye, oddane zostały do dyspozycji kustoszowi Starożytności Wschodnich. (Nawiasowo dodam, że sułtan turecki nie odnowił przeszłego roku firmanu z r. 1873—na mocy którego prowadzono poszukiwania w Assyrii i Babilonii. Z tego powodu ustały tam prace w wykopaliskach; lecz konsulowie brytyjscy otrzymali zaręczenie, iż prace rozpoczęte w pobliżu miast Bagdadu i Mossulu — gdzie odkryto ślady starożytnej Sippary — pozostaną pod opieką i ochroną władz).

W wydziale sztychów i rysunków, w którym nie brak drzeworytów polskich z wieku XVI i XVII ¹⁾, dodano w zeszłym roku około 600 kartonów szkół: włoskiej, flamandzkiej, niemieckiej, francuskiej i narodowej. Między innymi, zakupiono Daniela Chodowieckiego dwaście kartonów, ilustrujących szekspirowskiego „Henryka IV.“

Pozwolę sobie w tém miejscu odwołać się do czytelników z prośbą, jaką mi wprost objawiono ze strony władz muzealnych. Muzeum zakupuje dużo; ale nie zawsze i nie wszędzie ma okazją wykupywania. Największa część zbiorów w wydziale druków i rycin pochodzi z darów. W ten sposób, zdołało Muzeum skompletować znaczne serye portretów zagranicznych. Możeby więc można uważać za poniekąd dobry i obywatelski uczynek, przesyłanie Brytańskiemu Muzeum takich, nie powiem duplikatów, lecz kopii portretów znakomitości naszych, jakie w kraju nie są wcale potrzebne. Co nasze z rzeczy rzadkich, to trzymajmy w rękach naszych uparcie; ale co u nas nie jest rzadkością, może tu przydać się bardzo do rozpoczętych seryi. Obawiam się, by kto niechętny, lub podejrzliwy nie oskarżył mnie o namawianie do wysyłania na cztery wiatry, jakich takich drogich pamiątek artystycznych. Nie o to tu chodzi — za grzechbym sobie uważał myśl podobną nasuwać. Pamiętajmy wprzód o zbiorach swoich w kraju i poza krajem — a dopiero resztkami bogacmy obcych, bo i z tego nam będzie okruszynka pożytku.

3. „South Kensington Museum,“ odbiera subwencji rządowej 9,300 funtów, a wydaje na utrzymanie około 60,000. Wielkie ma jednakże dochody z opłat za wstęp i z fundacji wieczystych. Zawiera ono zbiory, mające służyć ku ilustracyi dziejów, teoryi i praktyczne zastósowywania sztuki ornamentacyjnej—jako to dzieła ornamentyki, obrazy nowe, rzeźby, ryciny, ilustracye architektoniczne, materiały budownicze, modele marynarskie, przyrządy szkolne i książki.

Jako instytut edukacyjny, muzeum to jest najpoważniejszym w swoim zakresie zakładem krajowym. Powstało ono po pierwszej

¹⁾ Autor téj kroniki zajęty jest spisaniem wszystkich w B. M. znajdujących się polskich rzeczy, wyjąwszy dzieł od początku tego wieku—i ma nadzieję ogłosić spis taki w „Bibliotece.“

wystawie międzynarodowej, w r. 1852, z celem dodawania bodźca rozwojowi sztuk pięknych w Królestwie. Ku temu służyć mają zakładane po całym kraju Szkoły Sztuk Pięknych (Schools of Art), kształcenie zdolnych nauczycieli, publiczne egzamina, ciągła wystawa sztuk pięknych i peryodyczne wystawy nowych dzieł narodowych. Z Muzeum tém ściśle są połączone wszystkie rządowe szkoły sztuk pięknych w granicach W. Brytanii i Irlandyi. Zwiedzających miało Muzeum w roku ubiegłym przeszło 1,200,000; uczniów zaś obojęd płci było w Londynie 67,814; na prowincjach 245,000 z górą. W tymże samym roku, zbiory muzealne pomnożyły się i wzbogaciły zadziwiająco. Galerya obrazów nabyła kompletną „Kollekcyą Sheeps-hanks,” obrazów współczesnych malarzy angielskich. Zmarły w r. 1883 John Jones zapisał na własność instytutu cały swój wspaniały zbiór francuzkich mebli, porcelany sewrskiej, drezdeńskiej i angielskiej (Wedgewood), obrazów olejnych, emaljowanych miniatur, bronzów, i t. p. przedmiotów, służących teraz za wzory ornamentyki artystycznej. Biblioteka artystyczna w Muzeum, zawiera przeszło 50,000 tomów, 17,000 rysunków, 45,000 sztychów i 52,000 fotografów. Biblioteka „Wychowawcza i Naukowa” posiada blisko 60,000 tomów. Muzeum wypożycza szkołom prowincjonalnym książki, rzeźby i obrazy, jako téż wysyła zdolnych prelegentów i profesorów.

4. Galerya portretów narodowych otrzymuje subwencji 2,400 funtów, a wydaje do 2,600. Istnieje dopiero od lat dziewięciu, a jak wskazuje przybrana nazwa, obejmuje i w jedną grupuje całość portrety anglików, malowane przez anglików.

5. Muzeum praktycznej geologii, na ulicy Jermyn, w południowej dzielnicy metropolii, otrzymuje od rządu rocznie 4,400 funtów, potrzebuje około 5,500. Znajdujemy tam bardzo zajmujące przykłady zastosowania metali do potrzeb sztuki i przemysłu, tudzież wielki zbiór polerowanych marmurów, granitów i innych kamieni, używanych do dzieł ornamentacyjnych. Zwiedzających było w r. 1884 46,834.

6. Królewska akademia sztuk (the Royal Academy of Arts), założona przez Jerzego III w r. 1768, przeniesiona w r. 1869 ze skweru Trafalgar na ulicę Piccadilly, do wspaniałego pałacu, znanego pod nazwą „The Burlington House”—z natury zadania swego i organizacyi obywa się bez corocznej subwencji rządowej. Rząd oddał był Akademii nieruchomość na Piccadilly (1866), wartującą około 84,000 funtów, w dzierżawę na lat 999 za czynsz roczny czysto nominalny, którego wysokości oznaczyć nie mogę; sądzą jednak, że jest bardzo nieznaczny, gdyż często w parlamencie powstają skargi na niepotrzebną wcale rządu względem Akademii wspaniałomyślność czy rozrzutność. Do zarządu Akademii należy dziesięciu członków, zmieniających się rotacyjnie, gdyż corocznie pięciu z nich ustępuje miejsca innym. Wszelka zmiana artykułów w konstytucyi Akademii musi w pierw otrzymać sankcyą geuceralnego zgromadzenia „akademików“

i następnie być potwierdzoną przez królowę, która jest honorową prezydentką instytucji. Członkowie akademii dzielą się na dwie klasy: akademików i towarzyszków (Academicians and Associates). Specjalnej daty wyborów do akademii nie ma: każdy artysta-malarz, pragnący dostąpić zaszczytu najwyższego w królestwie, zapisuje swe podanie na rejestrze „ad hoc,” z którego zarząd wybiera towarzyszków. Towarzysze znów są balotowani na akademików, pod warunkiem „przedstawienia zarządowi w sześć miesięcy przed wyborem, t. zw. „dzieła dyplomowego“ (diploma work), poprzednio wystawionego w przeznaczonj w tymże celu galeryi (Diploma Gallery). Królowa sankcyjonuje wybory akademickie i podpisuje dyplomy. Podpis monarszy nadaje kreowanemu akademikowi rzeczywisty tytuł, najniższy szlachectwa osobistego—Esquire.

Akademia nie ogranicza się jednakże na wystawie dzieł swych członków; ponieważ — głównem jej staraniem jest kształcenie i doskonalenie adeptów sztuki. W tej myśli urządziła w swych galeryach szkoły (the Royal Academy Schools), do których mają wstęp bezpłatny osoby płci obojg, przynoszące z sobą tylko własne materyały rysunkowe. Szkoły te są podzielone na siedm wydziałów: a) Szkoła starożytności, otwarta codziennie dla studyów nad najlepszymi pozostałościami starożytnego rzeźbiarstwa. Dozoruje wykładow i praktycznej nauki kustosz z pomocą kuratora; b) Wyższa szkoła malarstwa, pod dyktandą osobnego kuratora i jednego z rzeczywistych akademików, otwarta codziennie dla tych tylko uczniów, którzy ukończyli kurs w c) Przygotowawczej szkole malarstwa, ograniczającej się do studyów szczegółów technicznych; d) Szkoła modelowania z życia, otwarta codziennie dla mężczyznu tylko, specjalnie studyujących sztukę rzeźbiarską pod kierownictwem jednego z akademików i kuratora; pierwszy obiera model za sankcją kustosa; e) Szkoła rysunku z życia, otwarta w takich samych warunkach, jak poprzednia; f) Szkoła architektoniczna, przystępna trzy razy tygodniowo, podzielona na niższą i wyższą; uczniowie muszą kształcić się w niższej przynajmniej przez lat trzy, zanim otrzymają promocją do wyższej; obiedwie pozostają pod kierownictwem akademików i najzdatniejszych profesorów; g) Szkoła perspektyw, otwarta dwa razy tygodniowo każdego półrocza zimowego (od paźd. do kwiet.) obejmująca corocznie trzy kursa o trzynastu lekcjach.

W połączeniu z szkołami otwarta jest dla uczniów biblioteka Akademii, zawierająca znaczny zbiór dzieł, specjalnie traktujących o dziełach sztuki. Profesorowie akademii miewają nadto regularne każdego roku odczyty; z tych sześć jest poświęconych malarstwu, sześć rzeźbiarstwu, tyleż architekturze, pięć chemii, dziewięć anatomii i dziewięć doświadczeniom anatomicznym. Obecność na tych wszystkich odczytach obowiązuje wszystkich uczniów pierwszych trzech lat. W końcu dodać należy, że Akademia rozdziela każdorocznie liczne nagrody zasłużonym uczniom. Nagrody te przyznają się

pracom konkursowym i pochodzą częścią z fundacyi, częścią z okolicznościowych przeznaczeń, a najwięcej z kapitałów zarządu; wysokość ich różna: najniższa wynosi 10 funtów najwyższa 200 funt.

Gremium akademickie składa się z byłych i terażniejszych członków honorowych, z honorowych członków zagranicznych i z członków rzeczywistych. Sześciu jest obecnie członków honorowych zagranicznych: Cousins (amerykanin), Gallait, Gerôme, Henriquel-Dupont, Meissonnier (francuzi) i Ludwik Knaus, niemiec. Rzeczywistych akademików jest tego roku czterdziestu dwóch; towarzyszy trzydzieści i jeden; pięciu członków honorowych, mających swoje w akademii obowiązki—są za nimi: arcybiskup yorkski, kapelan; pierwszy minister W. E. Gladstone, profesor historyi starożytnej; C. T. Newton, antykwarjusz; lord Houghton, sekretarz dla koresp. zagranicznej; dziekan oksfordzkiego kolegium Corpus Christi, profesor iliteratury starożytnej.

Akademia odbywa corocznie dwie wystawy: zimową i letnią. Ostatnia rozpoczyna się z dn. 1-go maja i należy do najprzedniejszych attractions sezonowych. (Nie mogę nie zwrócić na tém miejscu uwagi na poważną stronę sezonów londyńskich, jaka je przedewszystkiem cechuje. Kto chce poznać życie umysłowe i artystyczne w Anglii, najlepszą wybiere porę, zabawiając w stolicy angielskiej podczas sezonu. Tu wtedy znajduje na każdym kroku zastosowanie maksymy ufile dulci...)

Wypadałoby mi teraz powiedzieć słów kilka o najświeższych dziełach pierwszorzędnych malarzy tutejszych. Ale lepiej wprzód będzie zakończyć sprawozdanie z istniejących instytucyi.

7. Królewskie stowarzyszenie akwarelistów, założone w r. 1804, wystawia tylko dzieła swych członków, których jest obecnie czterdziestu i do nich należą nieruchomości Stowarzyszenia, zwanego również „Starém,” dla odróżnienia go od:

8. Król. Instytutu akwarelistów, założonego w 1831 r., liczącego nierównie więcej członków płci obojęd. Księżniczka Beatrix należy do najpracowitszych.

9. Instytut malarzy olejnych, założony w r. 1883, liczy członków 105. O dziełach, obecnie przez zarząd wystawionych, pomówimy poniżej.

10. Galeria Grosvenor (New Bond Street), została ufundowaną w r. 1877 „w tym celu, by dać artystom nieznanym, lub nie należycie cenionym, możność przypomnienia i przedstawienia się publiczności.” Tak omawia sam akt założenia. W téj więc galerji spotykamy najczęściej płótna nieprzyjęte w Akademii, lub takie, które się gdzieindziej nie doczekały nabywców. Ztąd też coroczne wystawy nie miałyby tu wielkiego powodzenia, gdyby zarząd nie zwabiał publiczności przez towarzyszącą im zwykle wystawę zbiorów prywatnych, wypożyczanych. Przeszłego roku widzieliśmy tam wspaniały zbiór obrazów sir

Jozuy Reynoldsa, obecnie zaś obiecują nam wystawę dzieł Tomasza Gainsborough, pejzażysty i portrecisty (1727—1788).

Z innych instytucji wymienić tylko mogą Towarzystwo artystów brytańskich, Galeryą Dudleya, Stowarzyszenie artystek, Stowarzyszenie „City of London,” Stowarzyszenie rytowników, malarzy, Muzeum sir Johna Soane, Galeryą Dulwich, Król. muzeum architektoniczne, Galeryą Flaxmana, Muzeum starożytności miejscowych w Guldhalb, Muzeum król. Kolegium chirurgów, które wszystkie miewają po dwie corocznie wystawy. Poza niemi zaś istnieje jeszcze w samym Londynie trzydzieści sześć wystaw nieustających w galeryach, będących własnością osób lub spółek spekulacyjnych. Z tych wspomnę tylko o t. zw. „Galeryi Doré” i Galeryi francuskiej, w obu bowiem znajdują się ciągle wystawy dzieł zagranicznych. W pierwszej figurowała przeszłego roku „Nana” Suchodolskiego, ogłaszana po ulicach, jako „dzieło sławnego artysty Polaka!”

II. PROWINCYE.

Widzieliśmy już rozgałęzioną po całym królestwie instytucją edukacyjną centralnego muzeum w South Kensington. Oprócz więc zależnych od niej „Szkół sztuk pięknych,” widzimy jeszcze w Anglii:

Królewskie Stowarzyszenie artystów w Birmingham, złożone z 26 członków. Dochody Stowarzyszenia służą do wspierania sztuki w Birmingham. Instytut utrzymuje swoich profesorów anatomii, architektury, literatury i rzeźbiarstwa, wykładających w porze zimowej; ograniczona liczba uczniów korzysta z prelekcji bezpłatnie. Dwa razy do roku odbywają się wystawy obrazów, dzieł członków Stowarzyszenia i obcych. Zupełnie analogiczne z tém Stowarzyszeniem są w organizacyi swój i celach wszystkie inne instytucje, znane pod różnemi nazwami: akademii, galeryi, wystaw i t. p., a rozsiane gęsto po wszystkich hrabstwach, istniejące i pracujące po mieścinach, których bodaj nie na każdej mapie znaleźć można! Większe miasta mają ich po kilka i kilkadziesiąt, by wymienić taki Liverpool, Manchester, Newcastle, Nottingham, Rugby, Sheffield i Bristol. Wszechnica oxfordzka posiada wspaniałe galerye, obejmujące dzieła najdawniejszych mistrzów szkoły florenckiej i dzieła stariej szkoły angielskiej: Reynoldsa, Hogartha i Tomasza Gainsborough; dalej, obrazy późniejszej szkoły flamandzkiej i nowszej włoskiej. Najśluszniej zaś chlubi się wszechnica pierwszym w świecie zbiorem oryginalnych rysunków Rafaela (razem 162 kartony), i Michała Anioła (79 kartonów). Zbiór ten nabyła wszechnica przez składki publiczne; potrzeba było 7,000 funtów, a sam hr. Eldon złożył 4,100 funtów.

Taż sama wszechnica posiada w jednym z kolegiów słynne muzeum: „The Ashmolean Museum,” zawierające przedmioty sztuki starożytnej, począwszy od egipskiej; około połowy sławnych „marmurów

arundelskich,“ napisów (nie rzeźb) greckich i łacińskich na marmurowych tablicach — przepyszny, choć nie wielki zbiór greckich i etruskich naczyń i bronzów; jedyną w Anglii seryą rzymskich pieczęci kamiennych; zabytki średnowieczne, jak np. miecz, darowany przez Leona X Henrykowi VIII ¹⁾, wreszcie ceną kolekcją modeli architektonicznych, uklasyfikowanych przez Towarzystwo architektoniczno-historyczne stosownie do epok i stylów.

III. SZKOCYA.

Szkocya, kraj bodaj najuboższy w Europie, bynajmniej nie pozostaje w tyle za Anglią w pracy około rozwoju sztuk pięknych. Ludność znaną oszczędności, lecz niemniej znać ambicyi, bynajmniej nie skarzy się i nie narzeka na wysokie i uciążliwe podatki, których część wielka przypada na korzyść instytucyi i przybytków narodowej sztuki. Edy mburg, jako stolica kraju, chlubi się najlepiej uorganizowanymi. Z tych zaś najcelniejsze są:

1. Galeria narodowa, otrzymująca 1,170 funtów zapomogi rządowej, wzbogaćana jedynie darami obywateli, pracuje podobnie jak londyńska Akademia około kształcenia przyszłych artystów.

2. Szkocka Galeria narodowych portretów, powstała dopiero przed dwoma laty w okolicznościach następujących: obywatel pewien, który nazwiska swego ogłosić zabronił, przeznaczył 10,000 fnt. na założenie narodowej galerii portretów, pod warunkiem, iż rząd doda drugie tyle. Parlament zawotował natychmiast żadaną sumę. Wtedy obywatele ofiarowali 20,000 fnt. na budowę gmachów, nie tylko dla pomieszczenia wymienionej galerii, lecz i dla Muzeum Towarzystwa antykwaryuszów szkockich... pod warunkiem, że kto inny daruje grunta. Darował je rząd szkocki, nabywszy je od municypium stołecznego. Plany przyszłych gmachów są już gotowe; tymczasowo zaś Galeria portretów mieści się w najetych kamienicach. W październiku ostatnim zarząd odbył pierwszą wystawę portretów, częścią należących do Galeryi, częścią pożyczonych. Zbiór cały obejmował przeszło 700 dzieł i dostatecznie zaciekaWił publiczność i zachęcił do wspierania przedsięwzięcia.

3. Król. Szkocka Akademia Malarstwa, Rzeźbiarstwa i Architektury łączy w sobie organizacją Akademii londyńskiej z zadaniami Muzeum w South Kensington. Składa się z 30 akademików i z 20 towarzyszków. Ostatnia wystawa Akademii w roku ubiegłym zawierała 1,089 obrazów olejnych i akwareli, obok 35 rzeźb;

¹⁾ Rękojeść miecza jest z kryształu, oprawionego w połączane srebro. Słyszałem, lecz dotąd nie mogłem sprawdzić, że w Ashmolean Museum znajduje się „kompletne uzbrojenie polskiego rycerza z wieku XIV“. Nieby w tém dziwnego nie było, boć rycerze angielscy walczyli przeciwko wojskom naszym pod krzyżackimi komturami.

zarząd odrzucił przeszło 1,200 dzieł. Tegoroczna wystawa ma obrazów 2,117, a rzeźb 42. O niektórych z tych dzieł, jakie nadesłano do Londynu, pomówię niżej.

4. Muzeum Sztuki i Nauki odbiera rocznej subwencji około 18,000 funtów. Założone w r. 1855, ma tém być dla Szkocyi, czém jest dla Anglii Muzeum brytańskie.

5. Komisya Rękodzielnicza, z subwencyą 2,100 funtów, jest instytucją najwyższego znaczenia dla przemysłu narodowego. Posiada muzeum cantralne, bogate w okazy sztuki rękodzielniczej współczesnej i najdawniejszej. Komisya ma swoje szkoły w samej stolicy szkockiej i na prowincyi.

Oprócz wymienionych, posiada Edyburg: Galeryą posągów, z 239 okazami rzeźbiarstwa, poczynawszy od epoki Peryklesa (r. 400 przed Chr.) aż do dni naszych; Muzeum starożytności narodowych, założone przez antykwarzy szkockich w r. 1851; wreszcie Muzeum uniwersyteckie, którego główném jednakże bogactwem są zbiory narzędzi chirurgicznych i zbiory anatomiczne. (Wiadomo, że wszechnica edymburska, słynna z fakultetu medycznego, jest tém na wyspach brytańskich, czém było Montpellier we Francyi).

Nie będę nużył czytelnika nomenklaturą szkockich instytucyi prowincjonalnych! Wystarczy powiedzieć, że w Glasgow, w Dundee, w Aberdeen, w Kirkcaldy, w Dumferline, w Stirling i w Inverness znajduje się po kilka Stowarzyszeń, mających na celu rozwój sztuk pięknych; mniejsze miasta nie są bez swych galeryi i muzeów. Ogólna suma subwencji rządowej (z skarbu szkockiego) wynosi dla wszystkich zakładów krajowych 37,100 funtów.

IV. IRLANDYA.

Bezrząd W. Brytanii na wyspie nie przyczynił się oczywiście do rozwoju sztuk pięknych w odpowiednim stosunku do rozwoju w Anglii i Szkocyi. Do niedawnych lat artyści irlandzcy szukali odznaczenia i nagród w Londynie; dzisiaj ruch artystyczny znalazł silną pomoc w ogólnym ruchu narodowym: powstały stołeczne i prowincjonalne szkoły sztuk pięknych, muzea i galerye—wspierane hojną ręką irlandczyka rozrzutnego, gdy idzie o zdobycie sławy narodowej w jakim-bądź kierunku. Te jednakże instytucye, czysto narodowe, mają charakter więcej prywatny, są własnością stowarzyszeń, polegają całkowicie na ogólnej gorliwości i poczuciu obowiązku, jakie tu i owdzie przychodzi wyrabiać. Wymienię tu trzy instytucye stołeczne, subwencyonowane przez skarb irlandzki;—ale dodać winienem, że intryga zamkowa umie zagarnąć najlepsze z nich korzyści dla koteryi antynarodowych.

1. Narodowa (?) galerya irlandzka zawiera ciągłą wystawę dzieł mistrzów włoskich i dawnych irlandzkich. Z ostatnich

najznakomitsi są: Danby, Maclise, Shee, O'Connor, Murphy, Cregan i Brennan. Zeszłego roku zarząd nabył pejzaż „Pasterze śpiący w nocy“ Rembrandta, za 840 funtów.

2. Królewsko-hiperniańska Akademia sztuk, założona na wzór londyńskiej, liczy obecnie dwudziestu czterech akademików i dziesięciu towarzyszków. Członkiem Akademii jest między innymi p. Lewis Wingfield, który rysował wszystkie kostyminy dla wystawy ubiorów od r. 1000 do 1800, umieszczonej w zeszłorocznej wystawie higienicznej w Londynie. W liczbie członków jest tylko trzech katolików!...

3. Dublińskie Muzeum sztuki i nauki jest poniekąd filią muzeum w S. Kensington i ma podobny program naukowy.

Czysto narodową instytucją jest natomiast Irlandzkie stowarzyszenie sztuk pięknych w Lismore (hrabstwie Waterford), liczące dotąd 250 członków i urządzające wystawy tak w samym Dublinie jak w miastach prowincjonalnych. Wystawy te obejmują obrazy olejne, akwarele, sztychy, rysunki sępią i ołówkiem, tudzież malowidła na porcelanie, terakocie i t. p. Miss Currey jest jedną z najzdolniejszych w stowarzyszeniu artystek. Stowarzyszenie nie zdołało dotychczas nabyć odpowiedniego gmachu na pomieszczenie dzieł swych członków; ztąd pochodzi, że brak mu rozgłosu.

Uformowało się również w Dublinie Stowarzyszenie amatorów i artystów, rekrutujące się przeważnie z osób, którym odmówiły wstępu instytucje przez rząd subwencyonowane. Członkowie wnoszą wpłatę roczną wysokości około 5 rubli. Działalność nowego Stowarzyszenia słaba dotychczas, ale duch w nim panuje gorący, wytrwały i pocziwy.

Oto dość szczegółowe sprawozdanie z istniejących w obrębie Trzech Królestw instytucji sztuk pięknych, utrzymywanych groszem publicznym i wspianiałomyślnością lub dobroczynnością prywatną.

Rozpatrzmy się teraz w dziełach, jakie tyle tak zasobnego starania wytworzyło dla narodowej chłuby. Dzieła te dzielimy na trzy grupy, mianowicie: Architektury, Malarstwa i Rzeźbiarstwa.

(d. c. n.),

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ad. Ant. Kryński—Gwara Zakopańska. Studium dyalektologiczne. W Krakowie, 1883.

Dr. Władysław Kosiński — Przyczynek do gwary zakopiańskiej zestawili.. W Krakowie, 1883.

Badania dyalektologiczne tak ważne dla językoznawstwa są owocem młodszej szkoły filologów polskich. Studium prof. L. Malinowskiego „O gwarze opolskiej,” (1873) możemy uważać za pierwszą wskazówkę badań na tej drodze. Pod wpływem też p. M. z jednej, a opieką Akademi umiejętności z drugiej strony, pojawiło się w ostatniem pięcioleciu kilka prac dyalektologicznych. (VIII i IX tom Rozpraw wydz. filog. Akademi umiejętności).

Dwie monografie, których tytuły powyżej przytoczyliśmy, odmiennemi idą drogami: Dr. Kosiński idzie drogą, wskazaną przez Mal. prof. Kryński występuje więcej samodzielnie; obie prace spotkały się na jednym obszarze wsi Zakopanego, leżącej u stóp Tatrów od strony północnej a licznie w letnich miesiącach przez polską inteligencją zamieszkałej. P. Kryński przysłuchiwał się przez kilka letnich tygodni 1878 roku codziennie mowie ludu tak w samej wsi, jak i w górach, a w czasie wycieczek zapisywał z ust jego wyrażenia, zwroty, pojedyncze wyrazy i formy, w których dostrzedz się dały jakiegolwiek znamiona charakterystyczne tej mowy — i to stanowi materiał jego studyum. Materiał to zapewne niedokładny i niezupełny „pod pierwszém wrażeniem gromadzony,” ale prof. Kr., nie mógł czekać na jego sprawdzenie i pomnożenie. Rolę tę przyjął nieświadomie Dr. Wł. Kosiński prof. gimn. III. w Krakowie, który za pośrednictwem uczniów swoich w latach pobytu w Wadowicach, nauczywszy ich zbierać podania i pieśni i sam wymowę potem w ich ustach kontrolując—nagroma-

dził spory materiał w rozmowach, opowiadaniach, piosnkach i nazwach, materiał przeważnie leksykalny i ujawszy go w pewne ogólne, na wzór podobnych prac sproszenia, złożył pod skromnym tytułem „Przyczynku“ Akad. umiejętności.

Mimo wspólności przedmiotu przedstawiają obiedwie prace wielkie różnice w wykonaniu, pomijając obfitość materiału d-ra Kosińskiego zawartego w słowniczku (str. 45—85), i to materiału zupełnie prawie różnego od wyrazów w słowniku prof. Kryńskiego (str. 45—57), zauważyliśmy w pracy ostatniego wybitniejszy charakter naukowy, szerszy pogląd porównawczy i głębsze wnikanie w przyczyny zjawisk językowych—obok niedokładności obserwacji, nieuniknionej przy zbieraniu materiału w tak krótkim czasie. Prof. Kr. po krótkim słowie wstępnym, mówi najpierw o „właściwościach fonetycznych w zakresie samogłosek i spółgłosek, potem o „właściwościach morfologicznych“ tj. w deklinacji i konjugacji, następnie o urabianiu tematów, o stopniowaniu przymiotników i przysłówków, o tematach liczebników, o tematach słów, o przysłówkach, spójnikach, przyimkach, nakoniec zestawia główniejsze zauważone właściwości składni i akcentu, a kończy charakterystyką gwary, dodając jeszcze „Słownik wyrazów.“ Godząc się na taką metodę, nadmieniamy tylko, że do działu „urabiania tematów“ należą równie tematy rzeczownikowe, przymiotnikowe, tematy liczebników i słów, a nie ma najmniejszego powodu czynienia działów z dwu ostatnich równorzędnych z ogólnym działem „urabiania tematów;“ „stopniowanie przymiotników i przysłówków“ należy także do tego samego działu jako poddział,—a nie jako dział równorzędny, chyba że prof. Kryński przez „urabianie tematów“ nie „etymologią“ rozumiał. W ten sam sposób dałyby się ująć działy o przysłówkach, przyimkach i spójnikach w jeden dział ogólny partykuł.

Dr. Kosiński starał się swą pracę uczynić więcej przejrzystą, jest ona wprawdzie uboższą przez brak rozdziałów o akcencie i składni; ale zastępuje je w części wykład o „zwrotach mowy na uwagę zasługujących“ i o „wzorach języka“ w prozie i poezji Zakopian, a nawet nazwach rodowych, nazw miejsc i bydła. Dostrzegamy w tém pewnej niekonsekwencji. Nazwy pojedynczych części gramatyki również jak i wszystkie terminy gramatyczne albo przyjmujemy obce tj. grecko-łacińskie, albo je spolszczamy, jak tego up. prof. Kr. pedantycznie przestrzega. A więc albo: 1. Fonologia lub Fonetyka, 2. Morfologia a) Etymologia b) fleksya; 3. Semazyologia, 4. Syntaxis—albo téż 1. Głosownia 2. Nauka o formach: a) Słoworód lub pierwoskładnia b) Odmiana, 3. Nauka o znaczeniu wyrazów, 4. Składnia. Tymczasem dr. Kos. pisze I. Głosownia ale dalej zmienia naukę o formach na Morfologią, a co gorsze, każe jój być tylko Etymologią bo III dział równorzędny z poprzednimi stanowi „Fleksya.“ Qui bene distinguit, bene docet...

Jakiż jest ogólny charakter gwary zakopańskiej, przedstawionéj w tych dwu monografiach? Na to znajdujemy odpowiedź w studyum prof. Kryńskiego w ostatnim ustępie, — z pracy d-ra Kosińskiego, trzeba sobie ten charakter dopięro formować.

„Gwara zakopańska jest mazurska“—mówi dr. Kosiński w § 15 (str. 13), to znaczy, że spółgłoski przyciskowe *č, š i ž* zastępuje twarzymi *c, s, z* — jak znowu objaśnia prof. Kryński. Mamy więc: *cas* (czas), *scyt* (szczyt) *zyd* (żyd) i t. p., podobnie jak w innych gwarach, przynajmniej dotychczas znanych, jak np. w opolskiej (Śląsk); lasowskiej, (okolica Tarnobrzega); brzezińskiej (Ropczyckie); zebrzydowskiej (Wadowickie). Prof. Kryński dostyszał nawet „mazurzenie“ *ř* czyli *rz* na *z* lub *s* i jako przykłady przytacza zwroty: *dobze sie ta ksyká*—tścięgo roku—*kuć tseba* lub *tša konia*, *bobe se zdar nogi po kolana*; *psy* (przy) *psydzie*, *psyšli peshodzi* (przychodzi) *pšepašci*, *o b o k* przepašci, *pšedawać* i t. p. tłumacząc to zatraceuiem „poczucia różnic yetymologicznej między *řaž* oraz *řiš* w grupach *kř=kš, př=pš, tř=tš*“—poczęm występują *ks, ps, ts*. P. Kr. uległ tu illuzyi, jakiej podlegają autorowie utworów ludowych scenicznych a za nimi aktorowie, którzy kiedy przyjdzie „mazurzyć“ to nie darują i „krzyżowi“ wymawiając „ksyz“ i piszą i wymawiają *á* (*a* ścieśnione) przez *o*. Sam bowiem prof. Kryński popada w sprzeczność, pisząc te same prawie przykłady na str. 33 przez *rz*: np. *przesed, przyseł, trzeba...*

W żadnej z gwar wymienionych nie znajdujemy analogicznego faktu mazurzenia głoski *ř* (*rz*); owszem z całą konsekwencyą wyróżniają one *ž* od *ř* (*rz*) i są raczej skłonne do dysymilacyi *ř* na *r* (Por. L. Malinowski — Ueb. d. opp. mundart § 76. J. Biela Gw. zebrzydowska § 18, J. Leciejewski. Gw. Miejskiej Górki § 80). Ja sam posiadam materyały rękopiśmienne z okolic Limanowy a nawet i bliższej Zakopanego, bo z Maniów (w stronie wschodniej Nowego Targu), w których nigdzie nie znajduję podobnej skłonności; wszędzie stychać: *křyz*, *dopiř* (dopiero) *spořy* (sporzyć) *dřevo*, *třy*, *jeřyny*, *pře-torová*, *přy-ryktová*, *přy-seem* (przyszedłem) *přydž*, *přyvozy*—nigdzie: *dobze*, *ksyká*, *tša*, *psydzie*, *pšehodzi*, *pšedawać*, *uząd*, *gozotecka*, *moze* (morze) i t. p. Prof. Kr. twierdzi wprawdzie w końcowych uwagach, że to mazurowanie „szczególniej co do *ř* nie jest u górali cechą ogólną i stałą“ i przytacza odmienne przykłady: *zedržeły*, *przysełem*, *przewodnik*, ale my nie znaleźliśmy ani jednego w pracy dr. Kosińskiego i jego „wzorach języka.“ Czytamy tam takie wyrazy jak: *přysuło* (str. 30) *při*, *přišli* (str. 31), *přišęzny* (str. 32), *přištała* (str. 33), *přiholdzi* (str. 33) i w. i. na dalszych stronicach i w słowniczku. W § 15 str. 15, mamy téż osobne miejsce, w którym zestawia dr. Koš. kilka przykładów przejścia og. pol. *ř* na *r* np. *věrh* (wiérzh), *věrba* (wiérzba), *zora* (zorza) słowo *b'ęř* z compositami. Co więcj, nawet mamy wprost przeciwne zjawisko, gdzie og. pol. *r* przechodzi na *ř* w Zakop.: na str. 14 *šmeřć*, do *šmeřci*, i w słowniczku na str. 48 *břoda* og. pol. *broda*. Wobec tych fak-

tów, ośmielamy się podać w wątpliwość twierdzenie prof. Kryńskiego, który zresztą w krótkim przeciągu czasu, jaki poświęcił obserwacji, mógł wiele niedosłyszeć lub jak to mówią „przesłyszeć się.“

Drugim znamieniem gwar mazurskich, jest ścieśnianie (lub pochylanie) samogłoski a na *á*—głos pośredni między a—o. Od téj téż samogłoski, jako jednéj z istotnych właściwości gwar wogóle, zakopańskiéj w szczególe, rozpoczyna prof. pogląd na fonetykę, pomijając wykaz form, w których *a* czyste i w téj gwarze występuje. I tutaj mamy do zanotowania liczniejsze jeszcze błędy obserwacji prof. Kryńskiego. W samym ustępie o *a* (str. 4 i 5) nie możemy się zgodzić na ścieśnienie *a* w rzeczow. *káwa*, i czasown. *krájác* (w obydwu razach), particip. *odgrzáła*, *odebrała*, *sukała* (str. 4), dalej *siadać*, i *pána* (str. 25). Takiemu wymawianiu tych wyrazów sprzeciwia się dr. Koś., podając w ustępie obszernym, poświęconym téj kwestyi, dokładne rozklasyfikowanie zjawiska głosowego *á*, gdzie nie znajdujemy żadnego z wymienionych wyrazów, które swym niezwykłym dźwiękiem powinnyby były zwrócić na siebie uwagę; w tekstach zaś napotykami wszędzie fem. part. praet. act. II z głosem czystym a: *opov'adała*, *przystała*; *ńim'ata*, *prýs'pévywała*, *vedzáła*, *dovédzáła*, *volála*, *prétrąsała*, *vidzáła*, *kapała* (przykłady z jednéj str. 33), które nas przekonują, że i powyższe participia prof. Kryńskiego będą mieć *a* czyste: *odebrała*, *sukała*, osobliwie ostatnie, gdzie *á* nie ma najmniejszój racyi bytu. Particip. *odgrzáła* ma w środku tematu *á* bo inf. jest *grzáć*. Tak jest we wszystkich gwarach i dlatego podobne wyrazy jak *káwa*, *pána* (nom. *pán*), *krájác*, *siadać* możemy chyba za omyłki drukarskie uważać, równie jak *báca*, *bácówka* (str. 45) u dr. Kosińskiego *baca* *bacovac* (str. 45).—Z drugiéj strony występuje *á* w tych samych particip. masc. czy to *á* jest na końcu czy téż znikło, a więc, *wyznáł*, *zaznáł*, *miáł* (jak sam prof. Kr. pisze na str. 39); a nie: *wyznał*, (*zaznał*) (str. 4); dalej: *jád*, *zjád* (str. 33); ale nie *jad* (str. 11); *naláz*, *znaláz*—a nie *nalaz* (str. 33); *znalaz* (str. 39), *śedzáł*, *wiedziáł*—a nie *śedzał*, *wiedziál* (str. 48). Tylko bowiem „*trzas*“ i „*ozezar*“ (*sé*) mają, jak dr. Kosiński podaje (str. 7 II, b.), a—czyste zamiast ścieśnionego. Sprzeczność zauważyliśmy u prof. Kryńskiego w oznaczaniu wymowy adiect. „*cárny*“, które w ten sposób wymawiane, we wszystkich gwarach oznacza prof. Kryński na str. 44, 5; daje go za przykład zachowania się *á* u Kaszubów (czárny str. 5) tymczasem na str. 11 pisze: „*do carnego stawu...*“. Toż samo zauważyliśmy i przy verbum. *zbácyć* (przypomnieć), oznaczone tak na str. 56 a zaś *zbacyć* na str. 35 i przy adverb. *zaraz*, *zakop. zará* (str. 28) a *zara* (str. 56). Takiej niekonsekwencji nie zauważyliśmy przynajmniej co do *á* w żadnej gwarze:—tu jest ona chyba tylko skutkiem niedokładnej obserwacji, zwłaszcza, że u dr. Kosińskiego czytamy na str. 84: „*zbácić se*“—a więc mamy najlepszy dowód, że gwara zakopańska nie chwieje się w tym względzie a tém mniej odstępuje od praw, którym wszystkie gwary podlegają.

Z tego téż względu nie możemy się zgodzić na wymawianie

a, czystego w wyrazach: trawa (str. 5 i 53); ale jak u dr. Kosińskiego str. 6, 4 tráva: nie cerpak (str. 46), serdak (str. 35), zebrak (str. 44), ale jak u dr. Kos. serdák (str. 76), podobnie jak i inne z suff. ák np. svák, parobcák, cudák, valcák i t. p.; nie kurzac (str. 50) ale kurzác, jak u dr. Kos. str. 6 plugác, soháce; nie moskal (str. 50) ale moskál (Kos. str. 6); nie hawiarz (str. 48), suharz (str. 54), ale havář (Kos. 6 i 57) i suhář tak, jak kacmář, marusář i inne; nie koszar (str. 49) ale kosár (Kos. str. 15 i 62); nie psiarka (str. 5 i 53) ale psárka (Kos. 74), jak járka, sańarka; nie kawałek (str. 34) ale kavátek (Kos. str. 7, II, c); nie skłanka (str. 12, 19, 21) ale skłánka (str. 7 i Kos. 77); nie palenka (str. 51) ale pálenka (Kos. 8, 70), nie hala (str. 47) ale hálá (Kos. 56); nie skale (str. 53); ale skále (Kos. 77); nie równia (str. 33), gwałtem (str. 35), hálny (str. 47), można (str. 44),—ale równá, gwałtem, hálny, możná.

W tej kontroli posługiwaliśmy się materiałem d-ra Kosińskiego, który lubo starał się być wiernym uchu, przeoczył jednak takie wyrazy jak: pozjadał (str. 6), gařć (str. 17), vędzał (str. 34), w których pozuwamy á; a więc pozjadał, gařć, vędzał, i nie ustrzegł się niekonsekwencyi w wyrazach: ográtác śe (str. 19), a ográtác śe (str. 68); cárnuha (str. 21) a carnuha (str. 42), vítájće, pockájće, zagrájće (str. 7) a dájće (str. 31), obok dejcie (str. 32). Co do wyrazów kłag, kłagać (Kos. 61), u prof. Kryńskiego klog (str. 49); nie wiemy, czy tu nie ma również á pochylonego, znamy bowiem w gw. brzez. wyraz kłágác—mieszać, który ma wyraźne á.

Dalszą cechą wokalizmu gwary zakopańskiej jest é pochylone, które atoli nie zajęło żadnego z badaczów tyle, ile poprzedzająca kwestya, a to zapewne dlatego, że jest ono właściwe i językowi ogólnemu polskiemu. Tylko gdzie w og. pol. wymowa jego się zaciera i skłania do e czystego, tam w gw. zak. skłania się ono raczej do i lub y np. w wyrazach biéda, kobiéta, cystéj, prędzéj (Kryń. str. 5), a dr. Kosiński twierdzi nawet (str. 8, § 8), że w wyrazach: dyscyk, tyz, scyry, řyka, pastyrecka, słyhać tylko zastępcze y. W niektórych wyrazach jak cérwony, césárz, jéno, každému, po swojemu, słyszemy w og. pol. e czyste, w zakop. é (Kryń. str. 5).

Drogą é pochylonego podług analogii takich, jak powyżej wymienione wyrazy (dyscyk, tyz i t. d.) przechodzi og. pol. e na y w zamkach: tyn, tygo, tymu, samygo, cymu; w wyrazach: cyrwony, szybto,zybny, styry, scyře, ozyńń śe, zyńacka, vařyha (dr. Kosiń. § 3 e). Zdawałoby się potem, że w gw. zakop. jest dążenie do samogłoski y; tymczasem są przykłady przejścia y na e, jakby dla ironii. To przeczucie się w skrajności é pochylonego (bo od niego, sądzimy, zjawisko to poszło), jest w każdym razie charakterystyczném i ciekawém, który głos w tej walce zwycięży. Jeżeli prof. Kryńskiego badania są późniejsze, świadczyłoby to o zwycięztwie prawdopodobném samogłoski e, która i w og. pol. szeroko swój wpływ rozpościera. Podług prof. Kryńskiego bowiem (str. 6) zastępstwo ogól. pol. i lub y przez

e czyste (lub otwarte) sięga nietylko do pierwiastków, ale i do fleksyi, czyli końcówek deklinacyjnych i konjugacyjnych, bo występuje w wyrazach: *bedło, reba, pletko (płytko), ślećnie, gospodeni, dem, be, me, we (by, my, wy), w tele (w tyle), słasał, meśli, a nawet małe (zam. mały), przeniesłe (y), ostre (ostry), siedzime, psydzieme, i w przyimku wy, występującym w złożeniach np. weptukać, webawić, werosnąć, weciecka i t. p.* Dr. Kosiński zna tylko zamianę *i* na *e* w wyrazach: *lelijá, kupet* (§ 2, b) i *telo (tyle), teli, teloćby, heba (chyba),* (§ 6, b); a na zapytanie ustne nie mógł wprawdzie stanowczo zaprzeczyć podobnej fonetycznej metamorfozie, ale niedowierzająco wzruszył ramionami osobiwie na zaimki *my, wy* i partykułę *by*, w formie *be, me, we.*

Właściwość tę Gw. zak. mieni prof. Kryński wspólną z gwarami kaszubskimi; podpisany zna gwary około Tarnowa w kierunku ku Tarnobrzegowi, w których *y* przechodzi na *e*; w Zbiorze wiad. do antrop. kraj. IV, 3, notuje W. Siarkowski w Kieleckim (str. 118) formy: *beł, beła, bele (byle),* a podpisany mniema, że lasowskie *ã* lub *a°* powstałe z *a*, dalej *ê* w part. praet. act. II, *nośeł, dźeléł, cyńeł, wygodźeł* i t. p. w zaimkach *ńém. tэм, úemy, lémy, ńéx, tэм,* a nawet *ë*, jako zastępstwo ryzizmu w *e*, są tylko przejściowymi stanami w gwarach, dążących ku wszechwładnemu panowaniu samogłoski *e*. (Por. Sz. Matusiaka Gw. las. §§ 2, 6, 10, 46).

Sposób tracenia rynezmu i drugorzędnego jego pojawiania się w gwarach jest nader zajmującym, a Gw. zakop. w tym kierunku kilka ciekawych przedstawia nam zjawisk. I tak co do pierwszego, występuje on najpierw jako rozszczepienie się samogłoski nosowej na czystą i spółgł. nosową, a więc $e = em, a$ (raczej q) = om . Zjawisko to występuje co do $e = em$ podług prof. Kr. (str. 9) i d-ra Kos. (§ 11), tylko w 1 sg. praes. w takich formach jak *śpiem, widzem, hodzem, kcem, zedrem, pudem, musem* (Kr. *muśem*), prawdopodobnie przez analogią do form *wiem, jestem, jem* i form słowackich zwykłych: *nesem, budem, berem* (Kr. 9 i 25); dr. Kosiński tłumaczy to w sposób niejasny, mówiąc, że „samogłosce nosowej *e* odpowiada (!?) *e*, po którym to *e* następuje mniej lub więcej wyraźnie wymówione wargowe *m*. Drugie zjawisko ($a = om$), również jak zupełne zatracenie rynezmu ($e = e, a = o$) jest wspólne wielu, jeśli nie wszystkim gwarom polskim; formy przeto takie jak: *rzykom, małom, jom (jã) hãlom, medzom, majom, gãdajom; dalej: góre, ulice, ée, še, zrobie, bede, bedzie, bedemy,* nie są wyłączną właściwością Gwary zakopańskiej. (Por. Gw. opol. § 53, 59, 2; Gw. lasow. § 55; Gw. brzez. §§ 14, b. 16; Gw. zebrz. § 10 n. Luc. Malinowski—Głoski nosowe we wsi Kasinie I, d, γ c.c.). Tylko pochylanie tego *o* w kompleksie *om (óm)* np. *sóm, kupióm, łapióm* (Kr. 9), byłoby właściwością Gw. zakop. Tak prof. Kr., jak dr. Kos., zauważyli atoli obok tego rozszczepiania się i nosowe *e, a*, pierwszy z pogłosem *m* (a^m), co wszystko świadczy, że samogłoski nosowe w Gw. zakop. znajdują się w pewnym stadium przejściowym, zdaje się na korzyść samogłosek czystych.

Ciekawem ze wszech miar jest w obec powyższego faktu powstawanie samogł. nosowych, pochodnych najpierw w instr. masc. i neutr. temat. *na-a, i, ja*: panę (=panem), obuchę, zęgarę, ślakę, krokę (Kr. str. 19); w zaimkach *tę* (ten), *tamtę* (tamten), (Kr. str. 23); nakoniec w czasownikach: powię (powiem), zatrzymię (zatrzymam), przez upodobnienie do: mówię, wezmę, wyjmę (Kr. 25), a może „wię“ (Kr. 43) i „umię“ bardzo pospolite zam. umiem. (Por. Gw. opol. § 64). U d-ra Kosińskiego przykładów tego zjawiska nie mamy; wątpi on w jego możliwość.

W zakresie wokalizmu mamy do zanotowania jeszcze niektóre właściwości, jak np. nosowe *i, y* (*i, i y*), które obaj badacze podają; dr. Kosiński oznacza je przez *in, yn*, prof. Kryński, jak to powyżej zaznaczone. I tu znown spotykamy równie, jak w innych punktach różnice: dr. Kos. podaje: *żyńk* (dźwięk), *ryńkáv* (rękaw), *cynsto*, *gymba*, *pryndko*, czego u prof. Kryńskiego nie znajdujemy, ale mamy natomiast *i, y* w instr. sg. przym. dekl., złożonej np. pod *nielgi*, *kościcelę*, *psy* (raczej *přy*) *carny*, *stawię*, na *długi*, *bicesku*, *sósty*, jak w opolskiem (Gw. opol. § 67). Og. pol. wejść brzmi w zakup. węć (Kr. 9) i powstało podług prof. Kryń. z *węń-jic* (*jić* właściwy inf. praes. od *idę* stśł. ити) przez zwokalizowanie się *ъn* na *en* potem *e* i opuszczenie *i*. W Gw. Łąckiej (Łąka w okolicy Pszczyny) na Szlązku istnieje forma *veńś* (L. Malinowski, Studya szląskie, str. 72), do której prof. Malinowski, jako źródła powstania domyśla się formy *veńś* (=venjiść), która rzeczywiście istnieje w Gw. brzezińskiej (por. § 21); podpisany atoli pojmował to zjawisko przed laty czterema jako przejście *j* na *ń* (og. pol. wejść, brz. veńś), dziś widzi właściwe jego powstanie. Do tej kwestyi przeto Gw. zak. bardzo cennego dostarcza przyczynku; za jej bowiem pomocą możemy zestawić stopniową skalę od pierwotnego **węń-jic* przez stpol. *vńić* i zakup. *vęć*, do og. pol. form. *vńiść* i *vejść*, powstałych podług prof. Malinowskiego pod wpływem analogii słów *neść*, *veść*, *jeść*; a następnie przez formę *brzez. veńś* do formy Łąckiej *vęć*.

Przez upodobnienie do formy *vęć* powstały w zakup. dalsze formy *pręc* (*przejść*), „*rozeć* sie (*rozejść* się), *obeć*, *nadeć* i t. p. w taki sam sposób, w jaki wiślańskie *pońś(ć)*=*pon-ji-ść* (L. Malin. Stud. szl str. 95), do *veńś*, a og. pol. *zań* (*za-n-i*), *poń* (*po-n-i*), *przezeń* (*przeze-n-i*), *nań* (*na-n-i*), *oń* (*o-n-i*) i niewłaściwe *dlań* (*dla-n-i*), *doń* (*do-n-i*), *zeń* (*ze-n-i*), podług analogii jednego *węń* (*węń-i* stśł. БѢНН), w którym jedynie to *n* względnie *en* jest pierwotne,

Pod wpływem narzecza słowackiego zamienia się og. pol. *q* w zakup. *n-u*, w wyrazie *dać* zakup. *duć* (Kr. str. 11).

W wyrazie *piękny* niknie w zakup. *rynezm* zdaje się drogą *e* ścieśnionego (*piékny*), wskutek czego wyraz ten brzmi: *pikny*, *pikniejszy*, *piknie*, podobnie jak w St. Sączu i okolicy. Prof. Kryński twierdzi, że form *piekny*, *pieknie* właściwych innym gwarom nie słyszał w Zakopanem, tymczasem u d-ra Kos. spotykamy obok *pykńe*

(str. 11), także peknie (str 10, 30, 2 r.). Dr. Kosiński zanotował także jako nosową pochodną *e* w og. pol. agrest, zakop. agrest.

Zniknięcie *e* zauważa dr. Kos. w wyrazach: pińżki, ni (nie) i pudżis (pójdziesz). Co do pierwszych dwu wyrazów, tobyśmy byli skłonni raczej przypuścić, że to *e* równie jak w Gw. brzez. ścieśniło się; co do trzeciego: pudżis, trzebaby poszukać analogii. Prof. Kryński zaznacza *é* ścieśnione w wyrazie jédzenie (str. 5), czego ani u dr. Kos., ani w innych gwarach nie znajdujemy. Również wątpliwe wydaje nam się ścieśnione *ó* w rzecz. imiõna (Kr. str. 6), vólá (Kos. 4).

Na str. 3 mówi dr. Kosiński, że „samogłosce *i* odpowiada w gw. zakopiańskiej *ó* w particip. praet. act. II, przed suff. *ł, ła, ło* np. prośól, złaźól, poroból i t. d.“ i toż samo powtarza przy konjugacji na str. 25, dodając, że *i* *e* natomiast występuje, ale częścięj koło Pieniężkowic. Taką samą zamianę *i*—ale na *u* z poprzed. miękką (a więc właściwie *ju*) spotykamy w Gw. zebrzydowskiej, gdzie czytamy np. we wzorach prozy str. 194: robuwa, str. 195, robuw, str. 196 zrobuw, pýtrefuw, skrwańuw; str. 197 fsadźuw, ”óżyńuw, zabuwa, rybuwo i t. p., toż samo w Gw. opol. (§ 3) i brzez. (§ 4). To *u* albo jak *je* dr. Kos. pisze *ó* jest tylko asymilacją do następującego dźwięku wargowego, w (*ł*) właściwego wielu gwarom; jeżeli zaś, jak dr. Kos. zauważa (str. 14), w zakop. *ł* wymawia się jak w og. pol. jezykowo - podniebiennie, wtedy trudno sobie tej asymilacji w naturalny sposób wytłómaczyć. W obec twierdzenia prof. Kryńskiego (na str. 15), że „w miejsce spółgłoski *ł* niekiedy góral zakopański wymawia samogłoskę *ü* krótkie np. g^uos, g^uoño, g^uownia, m^uodzian, w^uasne,“ albo że nawet wcale się nie wymawia (np. pchā = pchła), gotowi jesteśmy przypuścić, że w Gw. zakop. chyba równie jak i w innych, *ł* brzmiało wargowo (*w*) i właściwy sobie na poprzedzające *i* w pomienionych particip. wpływ wywierało, że atoli wskutek coraz częstszego spotykania się górali tamtejszych z ukształconymi, młodsze pokolenie poczyna *ł* wymawiać tak jak w og. pol., zachowując jeszcze ślady dawnego wymawiania. Tak sobie tłómaczymy tę niejaką sprzeczność w studyum d-ra Kosińskiego a prof. Kryńskiego. Dr. Kosiński notuje jeszcze (na str. 8 i 9) niektóre formy, które w jezyku og. pol. *ó* w zakop. *o* czyste, zachowują np. coz, ftor (któz), kogoż, góral, ockorek (odskórek), rozne, drok, počće (pójdźcie). Ten sam autor zaznacza istnienie w Gw. zakop. *i* twardego (str. 5) t. j. *i*, które poprzedzającej spółgłoski nie miękczy np. yilci, chłopci, v noci, oci, cim, a odpowiada w większej części og. pol. *y*.

Z właściwości spółgłoskowych poruszyliśmy już niektóre powyżej w związku z innymi; nawiązując do powyżej wymienionej właściwości zamiany *ł* na *ü* krótkie (wargowe), podnieść tu najpierw musimy właściwość, wspólną wszystkim zresztą gwarom mazurskim, dodawania przed początkowém *o* i *u* półsamogłoskowego dźwięku wargowego *ü* np. ”oóec, ”okrył (Kos. 4). Prof. Kryński nie notuje wcale tego zjawiska, a dr. Kosiński tylko w powyżej wymienionych dwu wyra-

zach, dodając tylko, że „równie często słycać czyste *o* np. oto, opo-
 ądać; obota, olca, obercońówka i t. d.“ Tymczasem nam się ta „rów-
 ność“ nie wydaje taką, zwłaszcza jeśli na 79 wyrazów w słowniczku
 od *o* się zaczynających naliczyliśmy 24 tylko z czystem *o*, a resztę 55
 z wymienionem *ü* (*uo*). Sądźmy przeto, że powszechném jest doda-
 wanie *ü* przed *o*, a tylko tu i owdzie doznaje ono wyjątków, które ze-
 stawiać, a jeśli można i w pewne kategorye ująć, uważamy również za
 zadanie dyalektologa.

Że to *uo* jest powszechne, dowodzi tego inna właściwość Gwary
 zakop., wspólna również wielu innym gwarom; to zamiana (jeśli tak
 wolno powiedzieć) spółgł. *r* z przedrostku *roz* na *u* np. „ozvijajom,
 „ozlecały mi še koźlęta, a nie „przejście *r* w *o*“, lub zniknięcie, jak je
 dr. Kosiński nazywa (str. 14 i 17), boby w takim razie musiało być
 „ooz lub oz. Ponieważ tu dr. Kos. uległ niekonsekwencji, podając
 na str. 15 i 17 „ozpajedzouy,“ a w słowniczku (str. 69) „ozpajedzić
 še,“ przeto uważamy za stosowne i inne dwa wyrazy słowniczka: „oze-
 zryć še i „ozvora „pisać z *uo* i w ten sposób jeszcze liczbę powyższą
 z 24 zredukować na 21 wyjątków. Prof. Kryński słycał nawet tak-
 kie skrócenie tego *ü*, że było ono raczej „przedłużeniem następującej
 samogłoski *o* czasami bardzo nieznaczniém (*ô* lub *õ*) np. nie ôzetnies,
 ôzwilżą, ôpryskują, ôścieli (str. 15 i 44).

Szczególną a charakterystyczną właściwością Gw. zakop. jest
 brak dźwięku *ch*. Zastępuje go podług prof. Kryńskiego albo: 1)
 przydech *h* np. o^hłodzić, do pie^hoty, prze^hodzili (Kr. 13), połączony
 „z przedłużeniem poprzedzającej lub następującej samogłoski; albo
 2) zwykłe og. pol. *h* osobliwie na początku wyrazów np. hléb, hłodek,
 hłop, hycić, (Kr. 14), albo nakoniec 3) dźwięk *k* na początku, ale oso-
 bliwie na końcu wyrazów np. dak (dach), duk (duch), przy stawak
 (stawach), (Kr. 14). Tęj subtelnej różnicy nie dojrzał dr. Kosiński,
 który (na str. 11) tylko og. pol. *ch* porównuje z zakop. *h* i zazuacza
 przejścia og. pol. *ch* (*x*) na *k* w zakop. i to na początku, w środku *s*
 na końcu wyrazów np. kéeć, kfiła, kfast, ryktyk (richtig), usknąć;
 gen. plur. mądryk, dvok, třek, takik i t. p. W związku z tém stoi
 następuje zjawisko. Pod wpływem form aor. od słowa być: „bych,
 bychmy“ przedewszystkiém zaś pod wpływem pierwszej, która w za-
 kop. przybrała formę *byk*, powstały formy z imiesłowu na *ł* takie jak
 włożefech, widziałech, istniejące np. w Gw. zebrydowskiej (str. 30),
 zajonech (zajonex), pożyczefech (p^użycywx), które następnie tak jak
 duk (duch), dak (dach), stawak (stawach) zmieniły *ch* na *k*. W ten
 sposób stało się, że wszystkie zakończenia *m*, *em*, 1 os. sg. masc. part.
 praet. act. na *ł*, przeszły na *k*, *ek*, które to *ek* podobnie jak *bych*, *by*,
 może i do innych wyrazów jako enklityka się łączyć np.: nicek nie ro-
 biuł, sefek se pod Zawrát. Gw. zebryd. przy czasownikach zacho-
 wuje jeszcze przejściowe -ch, -ech, ale w numeraliach adject. i subst.
 ma już *k* np. třek panóf (str. 26), ze styrek kątóf (str. 39), „öfsanyk

pléf (str. 31), fšystkik ptáskóf (41), duk (46), ale plur. duxy (duchy) (str. 45).

Wobec takiego procesu nietylko nieściste, ale niewystarczające jest takie zanotowanie d-ra Kos.: „*k* odpowiada ogól. pol. *m*,“ do czego przytacza przykłady np. jábyk še zverbovał, alek jesce mały; kek mała bywała, konickik pásała i t. p.

Dziwném się potem wyda zapewne właściwość zamiany odwrotnej *k* przed *t* na *ch* np. chto, chtóry, nicht (Kryń. str. 14 i 15). Dr. Kos. zauważył nawet, że to „*k* przechodzi w *f* np. fto, ftoz, ftory (kto któz, który),“ a więc tworzy formy, jakie podpisany słyszał, jako jedynie używane około Nowego Sącza. Ciekawe to przejście i skala dźwięków, przez jakie te wyrazy od *k* do *f* doszły. Otóż rzecz ta przedstawia się nam w następujący sposób: że gdy *kto* przeszło na *chto* utworzyło grupę spółgłoskową *cht* twardą, którą czy w *tój*, czy w odwrotnej formie *tch*, zmienia się w niektórych gwarach na miększą *tv* lub *vt*, resp. *tf* lub *ft*. Tak w Gw. zakop. i brzez. ogól. pol. *tchórz* brzmi *tfór*, tak też *kto*, *chto*, *vto* na podstawie praw głosowych przeszło na *fto*, a za niem inne: *ftoz*, *ftory*...

Nieco podobny proces zachodzi w wyrazach chwila, chwast, chwała, chwalić, które zmieniwszy grupę *chw* na *kw* resp. *kf*, nawet to *k* tracą w czasow. *pofálić zam.* i obok *pokfálić* (Kos. 12). Zniknięcie to *k* jest analogiczne z imionami złożonemi Falibóg obok Chwalibóg, Falimirz, Bogufał obok Boguchwał.

Inne drobniejsze właściwości, wspólne przynajmniej wielu gwarom, jak np. przejście *k* w *g* np. *velgi*, *grejcár*, zniknięcie spółgl. *l*, *r*, *v*, *d*, *j*—w wyrazach *abo*, *šrybny*, *syéko*, *lá* (dla), *pódz* — i inne pomijamy jako mniej charakterystyczne. Nie potwierdzone przez Dra Koś. zmiękczenie *w'* i *b'* w wyrazach: *šwiebodnie*, i *wybiornie* (Kr. 18), byłoby między nimi jeszcze najciekawsze. Dodać tu tylko winniśmy, że w zjawiskach spółgłoskowych nie ma u Dra Koś. należytego rozklasyfikowania, a często dodane fałszywe objaśnienie. I tak widzieliśmy już powyżej, co sądzić o „*k* odpowiadającym og. pol. *m*,“ toż samo da się powiedzieć o „wytrąceniu środkowego *d* w *barzo*“ skoro wiadomo, że forma to stara, obok której dopiero w XVI w. zjawia się *bardzo* (Kryń. str. 15) i o innych drobniejszych faktach. Rzecz o „*k* odpowiadającym og. pol. *j* w *dzisiák*“ (str. 11) należy do etymologii, podobnie zniknięcie z początkowego z particip. *nalazła* (str. 17), a część § 15, od *śé* zamiast *zé* aż do „*śú* zam. *čú*“—(str. 13, 14), do rzędu asymilacji spółgłoskowej a więc do § 18.

Z etymologii uderzają liczne odmiany przyrostków do tworzenia rzeczowników zdrobniałych, w których się Zakopianin lubuje. A więc: kapelusek, kucek, ząglówecek, dżadecek, goráliczek, konicek, tańcicek, ogniczek, pésuś, kotuś, bartuś, kubásek, sobcásek, kosulcę, krowę, itp. (Kr. str. 29, 30; Koś., str. 20, 21). Tworzenie słów częstotliwych od tematów, które tego w jęz. og. pol. nie mają, jest również charaktery-

styczniem, np. zapisować, obiecować, uważować, kazować, słychować, i t. p. (Kr. str. 32 i 33, 44; Koś. str. 5, 19, 25).

I właściwości morfologiczne musieliśmy tu i owdzie powyżej przedstawić; tu dodać tylko musimy, że spostrzeżenia profesora Kryń. są w téj mierze obfitsze. Na wyszczególnienie zasługują formy genet. sg, ogroda, lasa, śniega (Kr. 19), dźała (Koś. str. 37), mehu (nom. meh. Koś. 22)—dativ. ku wieczoru, ku obiadu, (Kr. 19), chłopcovi (Koś. 22); acc. o ziem, na zem (na ziemię), dukát, talár, (Koś. 22, Kr. 21); locát. przy żenie (Kr. 22); w domie, przy synie (Kr. 19) doma, v doma (Koś. 23); Nom. plur. orzły (Kr. 20), sługoŕfe, roki (Koś. 23), Gen. plur. muhów, myszów (Kr. 22), bratów, roków, rocków, (Kr. 20 Koś. 23); acc. plur. pse gorálskie (Kr. 20). W konjugacyi formy dualu z zakończ. ma,—wa,—ta: napijma, pódziewa, przydzíta, mają znaczenie pluralis, (Kr. 26); w formach praeteriti z part. na — ł, nikną zakończenia osobowe m (ch, k), ś, śmy, (chmy) np. ty przysęł, my sie wracili i t. p. (Kr. 28), zdaje się wskutek częstego przyczepiania tego—ek, lub—k do innych wyrazów, a potem wskutek dążenia do usunięcia dwuznaczności w zwrotach np. já *byk* był miał i t. p.

Bardzo szczegółowo opracowane znajdujemy u prof. Kryń. przysłówki, przymyki i spójniki (str. 34 — 40), których część znaczną d-r. Koś. w słowniczku pomieścił, zwłaszcza nieznanne w og. pol., np. pokil, pokela (dopóki aż) kan, kany (gdzie) i t. p. Sposób d-a Koś. praktyczniejszy, ale postąpienie prof. Kr. jest więcej zgodne z metodą umiejętną.

Na składnię zwrócił téż prof. Kr. bacniejszą uwagę; d-r Koś. zaznacza tylko „zwroty mowy na uwagę zasługujące.” Wybieramy z nich dla charakterystyki gwary najciekawsze, jak użycie sg, orzeczenia przy plural. podmiotu: jes tam lepsi chłopcy, tu je shody; przeciwnie zaś przy rzeczow. pań, pani, ksiądz: mają pań apetyt, ksiądz tu przechodzą (Kr. 40)—co jest tylko potężnym wpływem języka wojskowego (t. zw. Regimentssprache), który tworzą szczególnież oficerowie austriacy pochodzenia niemieckiego, przydzieleni do pułków galicyjskich i zobowiązani do nauczenia się o tyle języka polskiego, aby się „z ludźmi“ („Mannschaft“ w przeciwstawieniu do „Offiziere“), porozumieć. Oni to nauczywszy się wyrazów, a nie znając ducha języka, tworzą takie dziwolągi jak: „Panie kaprál, pozwólá mi oni...“ (Herr Korporal, erlauben Sie mir...) które się stają formułką „meldunku“ tradycyjną. Do tego samego wpływu odnieść wypada składnię „przy wojsku“ zam. „we wojsku.“ Fakta powyżej przytoczone, sądzimy, dostatecznie ilustrują apercepcyjne usposobienie górali zakopańskich, którzy nawet wpływowi urlopników ulegają, a tém więcej ukształconym.

Wyrażenia: choćby já grejcara nie stała (nie była warta); já se vás nie brydzo; jazek se im śmála; já kóhám tobie; tobie zúl nadeseł — należą do charakterystycznych. Przymimek *za* z acc. (og. pol. przez): za te dni, za pięć latek; *o* z acc. (og. pol. *za*): o śty-

ry tyżnie (za cztery tygodnie) (Kr. 41); *ku* z dat. (og. pol. *do*) ku frejerce, ku tobie, ku temu zdanie; skrós tobie (z powodu ciebie), na karcmie siedziałę (dzierzawiła karczme) (Kos. 28). Spójnik *z* a ś kładzie się nawet na miejscu trzecim i obok innych przeciwstawnych spójników, np. droga była przykrá, ale zaś tutaj mamy dobrze (Kr. 42) i t. p. Coby ma znaczenie: aby: pedział mu, coby tego konia nie bráł (Kos. 28). Jednego casu (raz), z piérwocasu (z początku), do dżałecką (zupełnie), kapke (trochę), na znova (znowu), należą podobnie do charakterystycznych.

Dr. Kos. notuje między zasługującymi na uwagę zwroty pleonastyczne, jak: ani śladu, znaku śnego nie zostańe, cośi strasne řeći robili, dobre nie bařo, na pośród albo v pośrodku—które w rzeczy samej cechują gadatliwość i poczucie niedokładności obrazu myśli w słowach, wskutek czego szukają dosadnych i wielu wyrażeń.

Prof. Kryński zwraca nakoniec uwagę na akcent w Gwarze zakop. (str. 42), czego u d-ra Koś. nie spotykamy. Prof. Kryński twierdzi, że „w zdaniach pytających, wyraz, na którym głównie spoczywa pytanie, położony na końcu zdania, wymawia góral zakopański z akcentem na zgłosce ostatniej; np. panowie kan idą? do Morskiego Oká? macie mlékó? a syra jescie nie robicie? i t. p. Nam się wydaje, że tu o akcencie mowy być nie może, tylko o prostém przedłużeniu zgłoski. Nie możemy się wprawdzie oprzeć na innych gwarach, oprócz gwary Miejskiej Górki (§ 53), w której p. Leciejewski notuje wyraz „widziś“ z akcentem (?) na ostatniej, ale znając dokładnie i mówiąc gwarą brzezińską, (Brzeziny w linii powietrznej leżą od Zakopanego najmniej w oddaleniu 100 kilom.), w której podobne znajduje się zjawisko, czuję, że to nie jest akcentem a pochodzi tylko z przyzwyczajenia, aby na wolnym powietrzu mówić głośno i wyraźnie, a osobliwie, by ostatnie zgłoski dochodziły do uszu słuchającego.—„Byliście kumo na jarmakú?” — woła np. od chałupy kuma na kumę, która idzie drogą, leżącą w dolinie lub na drugim pagórku.—„Maciek pódz do zúrú!”—woła również gospodyni na parobka, ale zawsze woła i przedłużenie to ostatniej zgłoski, które, prof. Kryński „akcentem“ nazywa, jest tylko właściwe wołaniu. Czyż zresztą w Krakowie lub w Warszawie pani, wołająca na służącą „Marysiu“ lub „Maryś“, nie przedłuża ostatniej zgłoski? Inna rzecz z akcentem na trzeciej (proparoxytonon), o którym prof. Kryński następnie mówi; ma on występować wtedy, gdy na wyrazie spoczywa myśl główna zdania twierdzącego, np. bez Mágorę lepi iść; póckajcie-no (na 4 od końca!) lub „póswojemu“, siédzieli pod smrekę? — Nie umiemy potwierdzić, a zaprzeczyć nie mamy prawa, ale wolno wyrazić powątpiewanie. Trzebaby rzecz na miejscu zbadać, a kto wie, czy jak wiele innych zjawisk tak i to nie było tylko iluzją słuchu prof. Kryńskiego.

W części leksykalnej (słowniczek) jest dr. Kosiński nietylko ob-

fitszym, ale więcej zwraca uwagę na pochodzenie wyrazu; wiele bowiem niezrozumiałych, zresztą tłómaczy sąsiednia słowaccyzna, pod której mimowolnym wpływem sąsiedni zostają zakopianie; prof. Kryński tylko na str. 25 formy: śpiem, hodzem, objaśnia słowac. nesem, budem, bezem.

Obydwie prace wzajemnie się uzupełniają: dr. Kos. ma obfity materiał, prof. Kryński szeroki pogląd osobliwie na staropolszczyznę i umiejętną metodę; dr. Kos. szczegółowo opracowuje fonologią, prof. Kryński więcej zastanawia się nad fleksją, etymologią i składnią. Obydwaj zebrali słowniczki, ale dr. Kos. więcej niż dwakroć przewyższa prof. Kryńskiego materiałem i wzorami języka bardzo ciekawymi.

W oddawaniu dźwięków gwary używa dr. Kos. przyjętej przez dyalektologów pisowni organicznej; prof. Kryński zaś, którego znamy jako gramatyka postępowego, pisowni tej nie przyjął, i dokładności w oznaczaniu dźwięków nie przestrzega. Dr. Kos. nazywa swą pracę „Przyczynkiem do gwary zakopiańskiej“ wychodząc z tej zasady, że to gwara zakopian (mieszkańców), a nie miejsca Zakopanego. Może jest racya, ale exemplo trahimur. Mamy gwara opolską (nie opolańską), zebrzydowską (nie zebrzydowiańską), brzezińską (nie brzezijańską), lasowską wreszcie (nie lasowiacką) od lasów i borów nadwiślańskich, w których ci „Lasowiacy“ mieszkają, czemuż i tej nie nazwać „zakopańską“ jak to czyni prof. Kryński?

Aby być dyalektologiem potrzeba umiejętnej podstawy gramatycznej z szerokim poglądem na najnowsze zdobycze lingwistyki porównawczej, a oprócz tego posiadać bystry dar obserwacyjny, jeżeli już nie władać gwara, jako swym rodzinnym językiem. Pomienionym pracom brak jednego lub drugiego, dlatego po ich przeczytaniu nie ma się wyraźnego obrazu gwary, i dopiero ktoś trzeci, zbadawszy gruntownie na miejscu mowę zakopian, zdoła wykonać pracę wszechstronną i dobrą, przy pomocy studyów prof. Kr. i Kos., jako cennego materiału i drogowskazu.

Roman Zawiliński.

„Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz-Małachowskiego,“ posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, generała wojsk polskich, senatora kasztelana Królestwa Polskiego i t. d., objaśnił i z manuskryptu wydał Wincenty hr. Łoś. W Poznaniu, nakładem księgarni I. K. Żupańskiego, roku 1885, str. 190, w większej 8-ce.

Rodzina Małachowskich zajmowała w XVIII wieku pierwszorzędne stanowisko, które zawdzięczała Janowi Małachowskiemu, kan-

clerzowi koronnemu i faworytowi Augusta III, który podniósł dom rodzinny przez bogate małżeństwo i przez urzędy. Z usposobienia egoista, chciwy znaczenia i majątku, wojował „Jacek“ z Mniszchem i z Brühlem, zadzierał z Czartoryskimi, ale równocześnie szerzył dobrobyt i cywilizacją w kraju, gdy zakładał pierwsze fabryki żelaza, irygował i upiększył Końskie, gniazdo rodziny, a gospodarował wzorowo.

Jan Małachowski zostawił kolosalną fortunę swemu licznie rozrodzonemu potomstwu, które liczyło głów 23. Z synów Jacka odegrał wielką rolę tylko Stanisław Małachowski, słynny marszałek sejmku czteroletniego, będący stryjem Stanisława, którego pamiętnik obecnie wydano. Ojciec naszego Stanisława nie był w niczem podobny do kanclerza ani do marszałka. Był to człowiek spokojny, poważny, na starość trochę zgryźliwy i nudny, oddawna stroniący od życia publicznego, pod koniec zupełnie apatyczny. To spokojne, czy biernie usposobienie odziedziczył po ojcu nasz Stanisław, na którym największy wpływ wywarł dom staropolski Małachowskich, noszący cechę prawdziwie szlacheckiego dworu, gdzie się nie uwijała jeszcze służba w liberyi francuzkiej i gdzie stroniono od zwyczajów i obyczajów francuzkich jak od zarazy. Życie w tym dworku było skromne, bogobojne i odbijało mocno od hulaszczego i rozpustnego życia w stolicy, gdzie przy nowym blasku pozornej oświaty, pozbywano się wiary i starych obyczajów; w domu Małachowskich przechowywano jeszcze tradycją ojców, a religia była węgielnym kamieniem ich bytu moralnego.

Codzień, tak opowiada Stanisław w swym pamiętniku, codzień rano o 9 godzinie zbierała się rodzina i domownicy za usłyszeniem dzwonka w kaplicy domowej, gdzie odprawiał mszę kapelan domowy Bernardyn z Przerowa, ojciec Guido. W niedzielę i święta chodziliśmy piechotą do kościoła, o dwie wiorsty oddalonego. Co rok w lecie jeździła moja matka ze mną do Częstochowy. Pomieszkankie nasze było wygodne, była to oficyna murowana, składająca się z ośmiu pokoi. W jednym gabinecie wisały na ścianach ryciny ze starego testamentu. Meble były skromne, stołki płóciennym pokryte, a tylko jedno krzesło mojego ojca karmazynową trypą obite. Na dziedzińcu była sadzawka, a w niej karpie tak łaskawe, że gdy matka zbliżywszy się, zadzwoniła, one wychodziły na brzeg i z rąk jej brały pożywienie. Żniwa na wsi odbywaliśmy, rodzice zawsze ze mną do stodół chodzili, na snopkach siadali, a ja tymczasem trawę z łąk koniom nosiłem. Rzadko kiedy bywali u nas goście, bo moi rodzice, żyjąc w samotności, wizyt nie oddawali. Gościnnych pokoi nie było, więc, gdy krewni na noc zostawali, przynoszono siano, wybierano z tłómków pościel i ścielono na ziemi.

W takiej atmosferze wyrósł nasz Stanisław na cnotliwego, szlachetnego i pracowitego człowieka. Oddalony od złego towarzystwa i pozbawiony wszelkiej sposobności do złego, zostający pod ciągłym dozorem na wsi i nawiąły do prostego i skromnego życia rodzinnego,

tak zahartował ciało i duszę, że nigdy nie zboczył z téj prawej drogi, po której szedł od dzieciństwa.

Wychowaniem Stanisława zajmowała się matka, kobiéta wielkich cnót i łagodności, która wprawiała syna do zamiłowania religii i prawdy, przy pomocy ojca Jezuitę Rykaczewskiego, człowieka zacnego, ale ograniczonego, który zaszczerpił w nim gruntowne zasady moralności. Na dworze babki, kanclerzyny, pani ogromnych włości, kształcił się Stanisław po światowemu. Tu przypatruje się hucznemu, życiu dworskiemu, balom, polowaniu i fetom. Bawi potem na nowomodnym dworze kasztelana Męcińskiego, wreszcie wstępuje jako publiczny uczeń do szkoły św. Anny w Krakowie. Po ukończeniu szkoły wezwany przez stryja, marszałka rozpoczętego sejmu czteroletniego, kończy ośmnasto-letni młodzieniec swe wykształcenie, przysłuchując się obradom sejmowym i pomagając już stryjowi w wypracowaniu zagajeń sejmowych. Uczęszczając regularnie na obrady (stał zwykle za krzesłem marszałka), a resztę czasu poświęcając naukom i rozrywkom nabywał doświadczenia i ogłady światowej, lecz ostro trzymany przez surowego stryja, otoczony nadto pancerzem cnót domowych, nie przejął się wielkoświatowém a rozwiązałém życiem stolicy.

Zawód publiczny rozpoczął Stanisław r. 1789, biorąc udział w bezskuteczném poselstwie Piotra Potockiego do Konstantynopola; uczestniczył potem w dziełach wojennych r. 1794 i w wyprawie Napoleońskiej r. 1812 jako pułkownik własnym kosztem wystawionego pułku kirasyerów. Walczy mężnie pod Romanowem, Smoleńskiem, Możajskiem i nad Berezyną. Wzięty do niewoli przez kozaków, zostaje dwa lata (1812—14) w Rosyi. Wróciwszy do kraju podaje się do dymisyi, którą otrzymał ze stopniem generała. Z utworzeniem Królestwa Polskiego r. 1815 mianowany senatorem kasztelanem, zasiada na sejmie 1818 (w wydziale administracyi), gdzie przemawia w sprawie ulżenia biednym ciężarów, potem należy do sądu sejmowego r. 1827. Rok 1830 zastaje go w 60 roku życia słabego i zgnęanego, tu wyręczają go już trzej synowie. Na starość usunął się Małachowski od życia publicznego w zacisze wiejskie, gdzie umarł 1859 jako dziewięćdziesięcio-letni starzec.

Był to charakter czysty i piękny, ale bez wyższego polotu, bez większych zdolności. Z natury spokojny, łagodny, skromny i przeznaczony do życia familijnego, musi porzucać dom i młodą, kochaną żonę, aby służyć ojczyźnie, ale czyni to niechętnie, z bólem serca. „Niechaj się kto inny chełpi — wyznaje sam w pamiętniku — nazywa tęgością duszy obojętność na wszystkie związki społeczeństwa (rodziny i towarzystwa). Ja moje słabość wyznaję i nie wstydę się publicznie oświadczyć, że najszcześliwszy w pożyciu domowém, musiałem gwałt sobie zadać odzywającej się natury, aby to wszystko poświęcić dla miłości ojczyzny.“

Czułego, wrażliwego usposobienia, nie był przeznaczony do stanu wojskowego; z przerażeniem i niewymownym bólem musi pa-

trzcę, jak na wojnie popełniają „z zimną krwią“ najokropniejsze zbrodnie, jak rabują i niszczą domy i pola, ze smutkiem i żalem patrzy na wsie i miasta w popiołach, na drogi zawalone z głodu padającymi ludźmi i zwierzętami... „Nie oświecony w tém rzemiośle—powiada— a odbierając przeciwne wrażenia swym zasadom, z doświadczenia wyznam, że wyrzec się trzeba czułości i litości, trzeba mieć zatwardziałe serce lub zimny temperament, aby być wielbicielem tego stanu.“ Z takim usposobieniem nie mógł zdobyć Małachowski wawrzynów wojennych, chociaż był walecznym żołnierzem; nie mając widoków ambicyi, chciał co prędzej porzucić „błyskoty honoru,“ aby spocząć wygodnie na łonie drogiej rodziny. Życie familijne wypełnia całą jego duszę. Gdy stryj, marszałek sejmu czteroletniego, chce go ożenić z córką swęj drugiey żony, panną milionową, szlachetny młodzieniec nie daje się skusić ani posagiem świetnym, ani mitrą książęcą, lecz zawiera śluby małżeńskie z tą, którą pokochał i której dotrzymał wierność do śmierci; a było to w czasie, kiedy miłość i wierność małżeńska były nader rzadkie w wyższych sferach, na porządku zaś dziennym małżeństwa dla majątku lub znaczenia, a potem rozwody. Choć był generałem, a potem kasztelanem, nie był stworzony do życia publicznego. Szczęście znajdował tylko w domu, w towarzystwie kochającej żony, dzieci i przyjaciół, zatrudnienie najmilsze w gospodarstwie. Opisując swoją podróż, dziwi się, że we Włoszech tak pełno drzew cytrynowych i pomarańczowych, jak u nas gruszek i jabłek (Pam. str. 85). Z jego poglądów, nie wychodzących ponad zwykły poziom, zasługują na wyszczególnienie wolnomysłne wyobrażenia religijne. Przejęty rozpowszechnionemi u nas zasadami Woltera i Russa, krytykuje duchowiaństwo, wysmiewa się z obrzędów kościelnych (str. 61).

Wychowany na wzorach francuzkich, przejął się także wyobrażeniami estetycznemi klasyków francuzkich; ztąd gardzi wszelką muzyką, która porzuca prostotę i do serca mówiącą melodyą.

Wielbiciel Russa nie lubi wyższego towarzystwa, chociaż jest sam arystokratą z rodu i z urzędu. „Jestem już tém towarzystwem przesycony — powiada w liście do żony — i szczęśliwym prawie się czuję, że moje stanowisko oddała mnie od niego i że się już nie znajduję na arenie tego wielkiego świata, w którym znajdziesz tylko czczość i próżność.“ Tu i owdzie przebijają nieznacznie zasady socyalistyczne Russa (str. 154).

Ale dość jest o człowieku, który nie zajął wyższego miejsca ani w historii ani w literaturze. Przypatrzmy się raczej jego pamiętnikowi, któremu zawdzięcza dzisiaj swoje znaczenie. Pamiętniki Stanisława hr. Małachowskiego, obejmujące przeciąg czasu od r. 1770 aż do r. 1831, podzielił wydawca na pięć części: 1) Pamiętnik 18-cie lat młodości autora do 1788, spisany 1848. 2) Dalsze wspomnienia jego aż do r. 1812, spisane także w późnej starości. 3) Opis wzięcia go w niewolę rosyjską 1812 r., pamiętnik spisany współcześnie w Twe-

rze. 4) Listy do żony, pisane również na wygnaniu z Tambowa w latach 1812 — 1814. 5) Koniec wspomnień, obejmujących lata 1815—1830, spisane w kilkadziesiąt lat po tych wypadkach. Większa część tych pamiętników (aż do wzięcia w niewolę Małachowskiego, r. 1812) „wyszła jeszcze r. 1876 w „Tygodniu,” czasopiśmie lwowskiem, redagowanem przez Rogosza, a potem osobno w odbitce, p. t.: „Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz-Małachowskiego“ i t. d., objaśnił z manuskryptu francuzkiego przełożył i wydał Wincenty hr. Łoś. (Lwów, 1876, nakładem i drukiem Rogosza, str. 60, w 8-ce), ale wydanie to niezupełne i mało znane, zalega na pułkach księgarskich. Obecnie uzupełnił je wydawca, zaopatrzył obszernym wstępem i objaśnieniami i wydał nanowo w osobnej książce. Czy zasługiwały rzeczywiście Pamiętniki Małachowskiego na ponowne całkowite wydanie? Na to pytanie odpowie każdy twierdząco, kto z uwagą przeczytał całą książkę. Wartość Pamiętników Małachowskiego nie polega na bogactwie faktów i dat zewnętrznych— marsze i bitwy wyprawy Napoleońskiej, w której brał autor Pamiętnika czynny udział w roli generała, zasługują jedynie na uwzględnienie; nie ma też w nich wypadków wielkiej doniosłości historycznej, ani zawiłych dziejów dyplomacyi europejskiej, z wyjątkiem chyba kilku drobnych szczegółów, dotyczących poselstwa tureckiego z r. 1791 (Pam. str. 89 i n.), nie ma tu ani głębszych poglądów autora na świat i ludzi, ani zakulisowych tajemnic dworskiego życia stolicy, ale jest wiele cennych, bo prawdziwych rysów naszego życia domowego i szlacheckiego z drugiej połowy XVIII wieku, jest trafna charakterystyka obyczajów i zwyczajów społeczeństwa rosyjskiego, zwłaszcza z okolic Tweru i Tambowa, a jaknajbogatszego materiału dostarczają nam te Pamiętniki do charakterystyki samego autora, zwłaszcza jego listy do żony i mowa, miana 25 kwietnia 1818 na sesyi senatu, tudzież mowa pochwalna na pogrzebie ks. generała Zajączka (zmarłego 27 sierpnia 1826 r.) wszystko to poraz pierwszy teraz wydane przez hr. Łosia

Największą historyczną wartość mają część 3 i 4 Pamiętnika, opisujące prawie współcześnie wypadki, z r. 1812, a przedewszystkiem listy do żony z tego czasu, opisujące szczegółowo i dokładnie kraj, klimat, lud rosyjski, jego prawa, obyczaje i sposób życia na początku XIX wieku. Małachowski nudzi się w niewoli rosyjskiej, wcale przyjemnej zresztą, rad więc, że może swoje wrażenia przelać na papier, podczas gdy w późnej starości, otoczonemu wygodami, gdy pisał swoje „wspomnienia,” nie chciało się, czy już trudno było opisywać z pamięci każdy najdrobniejszy szczegół dokładnie. W charakterystyce rosyjan, ich cywilizacyi i zwyczajów, malują nam Pamiętniki Małachowskiego, wiernie bez przesady i narzekania, bez żadnej zawiści i uprzedzenia autora dwuletnie tułactwo obchodzenie się Rosyi z jeńcami, ujętymi w kampanii 1812 r. i podają zajmujące i nieznanne nam szczegóły z życia towarzyskiego ówczesnej Rosyi. Szkoda tylko, że dziennik autora, opisujący współcześnie wyprawę Napolcońską, za-

ginał i że go zastąpiono drugim pamiętnikiem, pisanym już później z pamięci.

Pierwsza część pamiętnika mówi o sejmie czteroletnim, ale tylko z zewnętrznej strony, natomiast opisuje szczegółowo życie na dworze Małachowskich. W dalszej części opisuje autor swą podróż do Turcji, zwyczaje i obyczaje Stambułu, potrąca nawet o politykę turecko-rosyjską, potwierdzając śmierć Potemkina przez otrucie, z obawy jego dalekonośnych planów do korony polskiej. Z wyprawy moskiewskiej zasługują na wyszczególnienie działalność korpusu generała Latour-Maubourg, pod którego rozkazami walczył Małachowski, opisy bitew pod Romanowem, Smoleńskiem, Możajskiem i Berezyną, wkońcu i wzięcie autora w niewolę i pobyt w Twerze i Tambowie.

Ostatnia część pamiętnika jest zbyt krótka i lakoniczna, a chociaż obejmuje lata 1815 do 1830, to przecież mówi tylko pobieżnie i niedokładnie o sędzie sejmowym i o wybuchu powstania listopadowego. W ogóle jest cały pamiętnik dość ubogi w treść a pod względem formy trochę suchy i nudny, autor pamiętnika okazuje też nieraz grubą nieznamość rzeczy albo krótką pamięć i popełnia mnóstwo błędów chronologicznych, co zresztą spotykamy zwykle w pamiętnikach, pisanych w późnym wieku z pamięci. Patrz „Pamiętniki,“ str. 71, 72, 169 bis i t. d.).

Jeszcze kilka słów o wydaniu „Pamiętnika“ przez W. hr. Łosia. Wyróżnia się ono chlubnie z pomiędzy tego rodzaju wydawnictw, zazwyczaj lichych tylko przedruków. Przedmowa wydawcy daje nam na źródłach oparty życiorys pamiętnikarza, skreślony wprawą ręką artysty-badacza. W cennych objaśnieniach i przypiskach do pamiętnika, złożył hr. Łoś dowody sumiennosci i erudycji. Ale obok tych niepoślednich zalet nie ustrzegł się wydawca niektórych błędów. W przedstawieniu dziejów rodu Małachowskich jest zbyt pobłażliwym. Codo wiarygodności opisu wypadków 1812 roku w tej formie, jak ją wypowiedziano na str. 36, trudnoby nam się zgodzić. Wydaje nam się także zbyt przecenioną wartość pamiętników jako źródła do dziejów, oraz znaczenie „oryginalnych“ osobistości XVIII wieku (str. 7 i 8). Żałujemy bardzo że wydano listy tylko w wyjątkach, że opuszczono umyślnie wiersze i powieści autora, że zmodernizowano niektóre formy językowe, że zapomniano o spisie osób i rzeczy, a tylko zapowiedziano genealogią rodu Małachowskich.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Maj 1885 r.—D. 4 maja odbyło się doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie, które zagał hr. Alfred Potocki następującą przemową: W imieniu Najdostojniejszego Protektora, Jego Cesarzkiej Wysokości Arcyksięcia Karola Ludwika mam zaszczyt powitać Was Panowie.--Rok w życiu instytucji nie zawsze bywa okresem zamkniętym w sobie, a im bardziej instytucja ta, jak to właśnie śmiało powiedzieć można o tej naszej dostojnej Akademii, jest ogniskiem statecznych, a wysoce poważnych usiłowań w tak licznych kierunkach wiedzy i badań naukowych, tem mniej da się rok jeden ująć miarą gotowych już rezultatów, bo rok przeszły pracował na obecny, rok obecny pracuje na przyszły; cichy trud wczorajszy staje się dzisiaj świetnym świadectwem żywotności, usiłowania podjęte dzisiaj, wydadzą piękny owoc jutro. Ale w takiej właśnie, że tak powiem, płynności usiłowań, podjętych i dokonanych przebija się organiczność pracy, przebija się świadomość programu, a to, Panowie, jest cechą i warunkiem prawdziwego postępu. Takiego postępu dowody dała Akademia nasza i w tym roku. Zakres jej prac, miara jej dążeń, horyzont jej wpływu w świecie nauki polskiej, wzmógł się w tym roku znakomicie, jak się ciągle wzmagał przedtem, jak się wzmagać będzie, da Bóg, zawsze coraz silniej, coraz trwałej i coraz zbawienniej.

Usłyszynmy tu sprawozdanie, które datami i faktami wykaże dokładnie, jak znakomitą była miara rezultatów pracy tej dostojnej instytucji naszej w ubiegłym roku. Ja tylko pozwoliłem sobie wyprzedzić je kilku słowy w moim zagajeniu, aby wyrazić radość z powodu ciągłego rozwoju Akademii, radość, którą podziela żywo całe społeczeństwo nasze i aby stwierdzić ponownie głęboką otuchę, że ta najwyższa nasza instytucja naukowa, powołana do życia łaską miłościwie nam panującego Monarchy, jak dotąd, tak i zawsze odpowie jego intencjom i serdecznym życzeniom kraju.

Na tę przemowę odpowiedział prezes Akademii dr. Majer w następujący sposób:

Odpowiedź moja na życzliwe wyrazy, które Eksc. wypowiedzieć raczyłeś, nie może być inną, jak wyrażeniem wdzięczności za tę opiekę, jaką w myśl Jego Ces. Wysokości Najdostojniejszego Protektora, w Je-

go imieniu i w jego zastępstwie, rozciągasz nad tą instytucją, z miłością, opartą na świadomości celu i na wierzę w skutek jęj działania. Słuszna to zaprawdę uwaga, że owoce pracy jednorocznej dalekie są od tego, co w przyszłości widnieje, jako ostateczny cel naszych usiłowań; mogą wszelako i powinny one być wskazówką, czy droga, którą idziemy skutecznie prowadzi do celu? Że tak jest, mamy prawo wnosić i z tego, co Eksc., najbliższy świadek spraw Akademii, wyrzec w tęg mierze raczyłeś, i z cennych oznak życzliwości kraju, i z dowodów uznania, dochodzących nas od obcych, z tęg wreszcie skwapliwości, z jaką najcelniejsze instytucje zagraniczne zawiązują z nami naukowe stosunki.

Jest to zapewne jedną, ale nie jedyną, aniteż główną podniętą, zagrożającą nas do pracy. My, dzieci tęg ziemi, synowie narodu, który w kolei wieków wiele doświadczywszy, wiele przecierpiawszy, dziś, w brew istnej epidemii szału, podlegań do zagłady imienia polskiego, skrzepiony na duchu, dobija się prawa zajęcia w dziejach świata poczesnego stanowiska;—my spadkobiercy jego cierpień i otuchy poczuwamy się do obowiązku współdziałania w tym celu, w sposób jaki nam wskazuje samo zadanie Akademii.

Zadanie to zatem odnosić się musi do pracy na polu nauki ściśtej w całej obszerności, na którym niegdyś przodując, w kolei wieków, innym daliśmy się wyprzedzić. Dążyć dziś do zrównania z nimi, —pięknę to, lecz trudne zadanie. Żeby uwydatnić skutek, siły skupić się powinny, a przeznaczeniem Akademii właśnie ich zogniskowanie. W tęg zespoleniu mogą one coś zaważyć w ruchu naukowym świata; rozproszone marnieją, mało zwracając na siebie uwagi. Dobrze o tęg pemiętaćby winien, komu na sercu uwydatnienie pracy naukowej polskiej leży. Poezya i malarstwo stanęły już na tęg wysokości, z której oko w oko wolno im spoglądać postronnym; pojedyncze talenta, w różnych kierunkach dziedziny sztuk pięknych, zyskują po świecie zasłużone wieńce, nauka z większym trudem dobijać się musi uznania. Geniusz zapewne, jak błyszczący meteor, naraz dokazałby tego, jeśli jednak geniusze w ogóle rzadkiem są zjawiskiem, to tęg rzadszém są one w nauce, gdzie nie wystarcza polot fantazyi i chwilowe natchnienie, lecz gdzie długa, w skutkach zazwyczaj niepokaźna praca poprzedników, drogę im do chwały toruje.

Na tęg to drodze jesteśmy i na nięj wytrwamy. Wiem dobrze, że ona sama jedna nie wypełni warunków pomyślności kraju, ale to pewna, że dla nięj pomyślność ta nie byłaby zupełną, że przedewszystkiem wyrzechy się należało tego stanowiska, do którego dążymy wpośród oświeconych społeczeństw, a więc jednego z dzielnych warunków okazania, że w pośród nich jesteście potrzebni. „Niech zatem każdy robi, co każe duch Boży. A całość sama się złoży.“

Do tych wyrazów poety, chętnie dodałbyś komentarz: niech będzie wiernym sługą swego powołania, praca niech będzie wytrwałą, spełnianą z wiarą i miłością, z poświęceniem wolnym od ubocznych względów, płynącym z przekonania, że jest ona obowiązkiem sumienia,

bo długiem w obec własnego narodu jeśli już nie całej ludzkości, który sumienie spleści nakazuje.

Żaska monarsza szerokie do tego otwarła nam pole; kraj uznając to z wdzięcznością, znajdując możność a w niej podniecie działania, wyteża siły ku poparciu moralnego i materyalnego postępu. Oby budzący się w ten sposób zmysł pracy, poczucie się w sobie, opromieniony światłem doświadczenia i rozumu duch zgody i miłości, wyrozumiały dla drugich a surowy sąd dla siebie samego, oby ład i harmonia, będące cechą prawdziwej umiejętności a warunkiem jędrzej żywotności społeczeństw, rozszeżyły się po całej téj naszej krainie, przeniknęły wszystkie stany od pałaców do chatek, a zapewni się ta błoga przyszłość, której każdy prawego serca życzyć musi krajowi.

Jeśli idąc tą drogą, Akademia, przy skrzętnój pracy do tego przyczynić się zdoła, będzie to spełnieniem myśli jój wspaniałomyślnego założyciela, a razem jedyną, lecz sowitą nagrodą jój trudu.

Trud ten chętnie ona ponosiła i ponosić będzie; żeby jednak nie był on daremny, Akademia musi mieć środki do działania niezbędne: materyalne, dla możności podjęcia pracy, jój przeprowadzenia i oddania na użytek publiczny; moralne, dla nabycia błogiego przekonania, że działanie jój nie jest wołaniem na puszczy, ginącym marnie bez wszelkiego oddźwięku, chroniącego od zwątpienia i upadku energii, bez której trudno pomyśleć o skutecznym czynie.

Pierwszą z tych pomocy zawdzięcza ona głównie uposażeniu ze skarbu państwa i funduszków krajowych, w części ofiarności prywatnej; drugiej, gdyby ta właśnie ofiarność jawnym nie była dowodem, widzielibym ją jeszcze i w tém zgromadzeniu, w którym obecnością swoją wielce szan. Panie i Panowie, dajecie świadectwo waszego dla spraw naszych współczucia. W uznaniu tego współczucia zechciejcie widzieć też nawzajem podziękę, jaka za wasz udział od nas się należy, czego też z miłym uczuciem wobec Was dopełniam.

Następnie zabrał głos sekretarz Akademii, profesor Tarnowski i odczytał obszernie sprawozdanie za rok ubiegły, z którego najważniejsze szczegóły podajemy: Na posiedzeniu z dnia 15 listopada r. z. zamianowała Akademia członkami czynnymi w wydziale pierwszym prof. Maryana Sokołowskiego, w wydziale drugim prof. Zakrzewskiego i Smolkę. Na zagranicznego członka wydziału trzeciego powołano prof. Nenckiego. Członkami korespondentami zamianowano dla wydziału pierwszego dr. Kalinę, dla wydziału drugiego prof. Pawlickiego i dr. Kubalę. Obszerne wspomnienie poświęcił sekretarz Akademii zmarłym w ubiegłym roku członkom czynnym, prof. Gustawowi Piotrowskiemu i Stanisławowi Koźmianowi. Z rzędu członków korespondentów zabrała śmierć w tym czasie Aleksego Uwarowa w Moskwie, z członków nadzwyczajnych: radcę Borońskiege, ks. Bratranka, senatora Hoszowskiego i hr. Henryka Wodzickiego.

Między stypendyami, które Akademia rozdała w tym roku, pierwsze miejsce zajmują stypendya z fundacyi imienia Gałęzowskiego. Z funduszków tych udzielono dwa stypendya po 2000 fr., które przy-

znano prof. Ziembie i dr. Hanuszowi, i dwa po 5000 fr., które otrzymali dr. Lachowicz, docent chemii w uniwersytecie lwowskim i dr. Olearski, docent fizyki w uniwersytecie Jagiellońskim. W końcu wymienił sekretarz Akademii dary, które wpłynęły w roku ubiegłym, dzięki prywatnej ofiarności. Wyróżniają się między nimi dar mistrza Matejki, portret Jana Kochanowskiego; dar pani Marszałkiewiczów, obejmujący bibliotekę, złożoną z 6000 tomów; zbiór dzieł botanicznych, będący puszczoną po profesorze wileńskim, po ś. p. Jundzille; wreszcie liczne rękopisy po ś. p. Kotłubaju, przesłane Akademii przez wdowę po autorze. Również wspominał prof. Tarnowski o zapisie zmarłego we Wiedniu ś. p. Barczewskiego, wynoszącym 50,000 zł., w którego posiadanie Akademia dotychczas nie weszła.

Z kolei zabrał głos prof. Morawski, i odczytem p. t. „Słowo i natchnienie w rzymskiej poezji,“ pełnym głębokich poglądów, a co do formy wykwintnym, żywo zajął uwagę słuchaczy.

Odczyt p. M. poraz pierwszy na takiem zebraniu doroczném, przeniósł słuchaczy z pola kwestyi rodzinnych na niwę odleglejszą: w świat starożytny, mianowicie rzymski, biorący spadek poezji, sztuki i cywilizacji greckiej. Trudno w ciasniejszych ramach odczytu, który trwał godzinę, zamknąć pełniejszy obraz rozległego przedmiotu. Była to misterna tkanina barwnych nici, przedstawiająca związek poetów Romy z poetami Hellady—a w drugiej części, rzucająca pomost i stawiająca porównania między światem klasycznej starożytności a poezją nowożytną. Ustępy, w których prelegent porównywał sposób patrzenia na naturę lub pojmowania miłości w poezji rzymskiej a nowożytnej, odznaczały się świeżością poglądów i głębokiem wniknięciem w ducha dwóch tych światów. Brakło atoli w szeregu tych spostrzeżeń trafnych, wykwintnych, zręcznych i nowych (uważa sprawozdawca) „Gazety Lwowskiej,“ jakiegoś słowa konkluzyi, jakiegoś zreasumowania, co by podawało klucz otwierający tajemnicę tych różnic—a brak ten powstał głównie stąd, że autor ani razu nie zmienił nazwy „poezja starożytna“ i „poezja nowożytna“ na nazwę „poezja pogańska“—i „poezja chrześcijańska.“ Choć czynnik religijny w poezji pośrednią tylko gra rolę—to jednak, według słów poety najbardziej nowożytnego—i o mistycyzm wcale nie podejrzanego, według słów Musseta—wszystko się w ludzkości i w sztuce zmieniło „odkąd przez ten świat przepłynęła ta wielka nadzieja.“

Słuchając z najwyższém zajęciem odczytu prof. Morawskiego, czekali obecni potrącenia o tę nutę—a gdy się nie odezwała—rzecz piękna wydała się nieco urwaną, jakby niedopowiedzianą.

Następnie ogłosił prezes akademii nazwisko autora pracy, uwieńczonej na konkursie Lindego. Praca ta nosi tytuł; „O języku polskim ziemi krakowskiej w XIV, XV i XVI wieku, na podstawie ksiąg sądowych.“ Po otwarciu koperty, zawierającej nazwisko autora, okazało się, że jest nim docent uniwersytetu, dr. Jan Hanusz.

Na konkurs z fundacji ś. p. ks. Jakubowskiego ogłoszono zadanie: „Historja Kościoła powszechnego w życiorysach,“

Posiedzenie zakończył sekretarz Akademii odczytaniem listy kandydatów na członków Akademii. Na członka czynnego I wydziału proponowanym jest dotychczasowy korespondent dr. Wład. Nehring, prof. filologii słowiańskiej w uniwersytecie wrocławskim; na członków korespondentów tegoż wydziału: dr. Zym. Samolewicz, dyrektor gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie, i dr. Ludwik Œwikliński, prof. filologii klasycznej w uniwersytecie lwowskim; na członków czynnych III wydziału: dr. Edward Janczewski, prof. anatomii i fizyologii roślin w uniwersytecie Jagiellońskim; oraz dr. Jan Franke, profesor mechaniki w szkole politechnicznej we Lwowie, obaj dotychczasowi korespondenci; na członka czynnego zakrajowego dr. Franciszek Mertens, niegdyś prof. uniwersytetu Jagiellońskiego a obecnie szkoły politechnicznej w Gracu.

— Sprawa następstwa w kuratorji fundacyi ś. p. Stanisława hr. Skarbka po śmierci ks. Jabłonowskiego została prędzej niż się tego spodziewano, rozstrzygnięta. Władze autonomiczne zarówno jak i rządowe objawiły zgodne zapatrywanie, że według jasnej i niewątpliwiej woli ś. p. fundatora, na kuratora fundacyi powołanym być może obecnie tylko Józef hr. Skarbek, a ponieważ ten praw swoich się zrzekł, obowiązkiem więc było wydziału krajowego mianować zastępcę. Zastępcą tym mianował wydział Władysława hr. Badeniego, a rząd potwierdził tę nominacyę. Co się zaś tycze Henryka hr. Skarbka, to prawa jego do kuratorji rozpocząć się mogą dopiero z dniem wygaśnięcia linii starszej. Ponieważ hr. Józef Skarbek przenieść chciał swe prawa na brata młodszego Henryka, który po śmierci jego bez najmniejszej kwestyi w myśl listu fundacyjnego kuratorem mianowany będzie, okazało się więc oddanie faktycznego zarządu fundacyi dziś już przyszłemu kuratorowi pożądanem. To jednak mogło tylko nastąpić przez mianowanie go zastępcą kuratora, urząd ten atoli powierzony już został hr. Badeniemu. W kolizyi téj uratował sytuacyę hr. Badeni, który zrezygnował z powierzonej sobie godności. Krokiem tym lojalnym umożliwił hr. Badeni wydziałowi krajowemu mianowanie hr. Henryka Skarbka zastępcą kuratora, co téż natychmiast nastąpiło a wobec tego, że hr. Henryk Skarbek w wymaganiu władz rządowych zadość czyniąc, porobił kroki o uzyskanie obywatelstwa austriackiego, nominacya ta otrzymała potwierdzenie namiestnictwa. Po nabożeństwie żałobnym w kościele archikatedralnym za duszę ś. p. fundatora, nowomianowany zastępcą kuratora objął urzędowanie. Stosunek prawny hr. Józefa Skarbka do fundacyi później dopiero zostanie unormowany. Hr. Henryk Skarbek, jako zastępcą pobierać będzie tylko połowę płacy kuratorskiej, to jest 4,200 zlr., fundacya zyskuje więc rocznie, drugą połowę, co dla bilansu, którego wyrównanie nieraz napotykało trudności, nie małym będzie ułatwieniem.

— Skarb numizmatyczny. Na Szlaku pruskim we wsi Smolicach 1½ mili od Nisy, włościanin wyorał skarb średnio-wieczny monet polskich. Szczęśliwem zdarzeniem całkowite wykopalisko, zawierające wagi srebra około dwóch funtów, a sztuk razem

1,903, dostało się do rąk numizmatyka, hr. St. Walewskiego, który rozpatrzywszy umiejętnie skarb znaleziony, nadesłał do Krakowa szczegółowy jego opis do pomieszczenia w zapiskach numizmatycznych. Nim opis ten wyczerpujący ukaże się w powołaném piśmie, zawiadomiamy interesujących się nauką, że wykopalisko zawiera przeważnie denary Władysława II (1139 — 1148), razem sztuk 1,485; Bolesława Krzywoustego (od 1102—1139), sztuk 922; jedną monetkę Władysława Hermana, bitą w Krakowie; 18 sztuk denarów tak zwanych wendyjskich. Dla nauki skarb ten nie przynosi wprawdzie typu nowego, nieznanego; natomiast odmian stemplowych nieznanych dotąd jest bardzo wiele.

— Katalogi biblioteki watykańskiej, będącej najbogatszym w świecie zbiorem rękopisów starożytnych i średniowiecznych, pozostawały dotąd w rękopisie. Dopiero papież Leon XIII-ty powziął przed pięciu laty myśl ogłoszenia ich drukiem, którą z radością powitali uczeni całego świata. Złożona w tym celu komisya, której przewodniczy kardynał-bibliotekarz Pitra, z największą gorliwością pracuje nad wykonaniem tego olbrzymiego zadania. Jeden z głównych członków téj komisji, znakomity uczony Jan Baptysta Rossi, ogłosił właśnie pracę, w której kreśli program tego wydawnictwa, oraz historią biblioteki watykańskiej i archiwów papieżkich. Pożądane nadzwyczaj uzupełnienie zapowiedzianego katalogu stanowi już dzisiaj dzieło, wydane w Rzymie p. t. „Ad Vaticani archivi Romanorum pontificum regesta manu ductio. Curante Gregorio Palmieri. Roma, 1884, XXVIII, str. 175. „Przewodnik“ ten wskazuje nagłówki dokumentów oraz korespondencji papieżkich z całym światem katolickim, znajdujących się w przeszło 2019-u tomach regestów papieżkich. Zob. nadto „Bibl. Warsz.“ Kwiecień 1885, str. 163.

— W jednym z zeszytów „Ruskiego Archiwa“ zamieszczono pamiętniki Antonowskiego, w których jest mowa o uporządkowaniu publicznej biblioteki w Petersburgu, po jej przywiezieniu z Warszawy. Autor pamiętników, uczestniczący sam w téj pracy w charakterze bibliotekarza, powiada: „Będąc mianowany bibliotekarzem byłej publicznej warszawskiej a potem cesarskiej biblioteki petersburskiej, znalazłem w niej daleko więcej książek niż wykazał historyograf Büsching. A mianowicie: W języku polskim okazało się 4,051, w rosyjskim 5, w słowiańskim 15, w serbskim 2, w czeskim 15, w węgierskim 16, w litewskim 16, w szwedzkim 15, w duńskim 10, w angielskim 4,368, w holenderskim 2,583, w niemieckim 37,160, w łacińskim 80,716, we włoskim 11,823, we francuzkim 58,938, w hiszpańskim 1,092, w portugalskim 58, w greckim 6,290, w syryjskim 5, w chaldejskim 2, w żydowskim 40, w arabskim 20, w perskim 2, w indyjskim 3, w malabarskim 2, w armeńskim 10, w chińskim 2, i uszkodzonych podczas przewozu jesienią z Warszawy 1,802. Rzadkich rękopisów w rozmaitych językach 10,425, bibliograficznych i bibliognostycznych notat, drukowanych w rozmaitych językach 6,905, drobnych broszur prawie we

wszystkich językach, nader ważnych, rzadkich i starożytnych w poszytach 168,538; herbarzy i zielników z rysunkami i przylepionemi roślinami 16. Razem tedy numerów 389,961, równie drukowanych jak i rękopiśmiennych. Rysunków oraz sztychów rzadkich, oprawionych w księgi 24,574, a zebranych w 75 fascykułach 16,044, razem sztychów sztuk 40,618.“

— Muzeum książąt Czartoryskich. W dziennikach pojawiła się wiadomość, jakoby Muzeum książąt Czartoryskich miało być przeniesione z Krakowa, gdyż rada miejska odmówiła ks. Czartoryskiemu odstąpienia na własność realności, w której Muzeum się mieści. W odpowiedzi na tę wiadomość oświadcza dziennik krakowski: „Nie wdając się na dzisiaj bynajmniej w rozbiór tej skomplikowanej sprawy, zaznaczyć tylko musimy, że przed niejakim czasem pełnomocnik księcia, p. Jaskłowski, wniósł do rady pismo, w którym żąda odstąpienia na bezwzględną własność realności miejskiej, w której się obecnie Muzeum mieści, i kawałka plantacji, dotyczącego realności, a to z powodu, że książę Czartoryski zamierzał ufundować majerat, w którym nie może znajdować się żadna ograniczona własność. Sprawa żadanego ustąpienia realności przez gminę, ważna i doniosła musiała być szczegółowo rozpatrywana przez organa właściwe, dotąd wszakże na pełne posiedzenie rady nie przyszła, wszelkie więc twierdzenia o powziętej jakoby decyzji rady są błędne i przedwczesne, a zatem przedwczesne i wnioski z tej rzekomej decyzji wyciągane.“

— Komisya historyczna w Akademii Umiejętności w Krakowie, odbyła, w mies. kwietniu dwa posiedzenia. Na pierwszym p. Piekosiński złożył plan wydawnictwa uchwalonego już 2-go tomu Kodeksu Dyplomatycznego małopolskiego, p. Lewicki zaś zawiadomił o wiadomości udzielonej przez prof. Caro, że we Wrocławiu znaleziono świeżo nader ciekawe księgi formularzy z XV, a poczęści nawet z XIV wieku, z których należałoby skorzystać w przygotowanym wydaniu 2-go tomu Kodeksu listów z XV wieku. Uchwalono, żeby p. Lewicki pojechał do Wrocławia i wszedł w porozumienie z prof. Caro. Uchwalono również, że należy ogłosić spis wszystkich wydanych dotąd aktów politycznych i listów z XV wieku, o ile nie mieszczą się w publikacjach komisji historycznej. Na drugim posiedzeniu hr. Hubert Krasiński udzielił do użytku komisji ważnych aktów i listów z XVI i XVII wieku, które się znajdują w jego zbiorach. Jedne z nich uchwalono ogłosić zaraz w drukującym się tomie Archiwum komisji (mianowicie nader ciekawe hramoty rosyjskie z czasów Dymitra Samozwańca i listy z czasów Zygmunta III); o innych zaś polecono pojedynczym członkom komisji złożyć referaty (o zbiorze oryginalnych listów Zygmunta Augusta, Bony, Hozyusza i t. p. do Ludwika Montego i o zbiorze listów z czasów Michała i Jana III). Następnie uchwalono przygotować wydanie szeregu dyaryuszów sejmowych z czasów Zygmunta III, którem mają się zająć pp. Seredyński i August Sokołowski.

— Na ostatnich dwóch posiedzeniach wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Um. w Krakowie, prof. dr. Kasperek czytał rozprawę p. t.: Rada stanu i jej znaczenie w monarchii konstytucyjnej. Autor zaznacza we wstępie, że grono doradcze panującego, z którym monarcha roztrząsa najważniejsze sprawy publiczne przed powzięciem postanowienia, istnieje u różnych narodów i w różnych okresach dziejowych. Instytucya, o której mowa, staje się organiczną i stałą od czasu, kiedy zakres działalności państwa wzrastać poczyna i państwo potrzebuje urzędów stałych do przeprowadzenia zadań publicznych, a zatem od końca wieków średnich. Wtedy powstają wszędzie, a względnie zyskują wpływ stanowczy Rady stanu pod najrozmaitszemi nazwami, jak „Privy council“ w Anglii, „Parloir au roi,“ później „Conseil du Roi“ albo „Conseil d’Etat“ we Francyi, „Geheimrath, Hofrath, Staatsrath“ w krajach niemieckich, i w miarę gasnącego wpływu reprezentacyi stanowych, stają się w ciągu XVII i XVIII wieku, za czasów t. z. absolutyzmu oświeconego, pierwszorzędnym czynnikiem w rozwoju życia publicznego. Po zaprowadzeniu rządów konstytucyjnych zmniejszyło się znaczenie tej instytucyi, istnieje ona jednak dotąd w Bawaryi, w Alzacyi i Lotaryngii, we Francyi, w Holandyi i Luxemburgu, w Prusiech, w Saksonii, w Szwecyi, Norwegii, Portugalii, Danii, Serbii, Brazylii i Wirtembergii. Tylko w Austrii ustawą z d. 12 czerwca 1868 i w Hessyi ustawą z r. 1875 istniejące Rady stanu zniesiono. Gdy obecnie skutkiem rozporządzenia z d. 11 czerwca 1884 r. w Prusiech na nowo Radę stanu pod przewodnictwem następcy tronu powołano do życia i wzmocniono ją przybraniem 71 nowych członków, pragnie autor rozwiązać pytanie, czy ta okoliczność jest objawem reakcyi, czy też jednym ze środków właściwych, aby usunąć wady rządów misteryalnych i parlamentarnych. Aby dojść do rozwiązania tego pytania, kreśli autor przedewszystkiém historią Rady stanu w monarchiach absolutnych, mianowicie we Francyi, w Anglii, Prusiech, Austrii, Królestwie Polskiem i Rosyi, przedstawia mianowicie z dzieła Hocka o austryackiej Radzie stanu ciekawe szczegóły o obradach Rady stanu w sprawach galicyjskich, i dochodzi do rezultatu, że Rada stanu jest w państwach absolutnych instytucją zbawienną, zastępuje bowiem reprezentacye ludowe. Wreszcie przytacza, że panujący usposobień autokratycznych, jak Ludwik XIV i Napoleon I, bardzo wysoko cenili współdziałanie Rady stanu, szczególnie w układaniu ustaw. W dyskusyi nad tym przedmiotem zabierali głos dr. Ferdynand Wilkosz, dr. Rosenblat, dr. Louis i dr. Zoll. Na posiedzeniu administracyjnym wybrany został ponownie i jednogłośnie prof. dr. Heyzmann dyrektorem wydziału.

— W dniu 30 kwietnia b. r. odbyło się posiedzenie komisyi prawniczej Akademii umiejętności, na którym czytał prof. Kasperek rozprawę: „O stosunku państwa do praw nabytych, a w szczególności do własności prywatnej.“ W sprawie tej wyświecił autor, że prawa nabyte równie publiczne, jako też prywatne, jakkolwiek winny być przez

państwo ile możności szanowane, mogą być w drodze ustawodawczej usunięte, jeżeli istnienie tych praw stanowi przeszkodę dla rozwoju społecznego lub politycznego. Jeżeli te prawa mają wartość ekonomiczną, jak dawniejsza robocizna, natenczas powinno państwo uprawnionym przyznać odpowiednie wynagrodzenie. Nawet w drodze administracyjnej mogą być prawa nabyte częstokroć uchylone, mianowicie w stanach konieczności, np. z powodu pożaru, powodzi lub wojny, tudzież przez wywłaszczenie z przyczyn publicznych za wynagrodzeniem. Co do własności prywatnej wykazuje autor, że własność we wszystkich okresach dziejowych i u wszystkich narodów tworzyła się pod przeważającym wpływem państwa, że państwo nie tylko chroni własność, ale ustanawiając jej porządek prawny, reguluje ją w interesie publicznym co do przedmiotu, treści, objętości i sposobu nabycia, że wreszcie przywiązuje do własności, mianowicie nieruchomości, uprawnienie polityczne. Nad tą rozprawą wywiązała się ciekawa dyskusya, mianowicie co do podniesionego przez autora charakteru t. z. dóbr publicznych, jak rzek, ulic, placów, dróg, w której oprócz autora wzięli udział pp. Bobrzyński, Fierich i Zoll. Kwestya dóbr cywilnych, w kodeksie cywilnym austriackim w §§ 286—288 omówiona, dotychczas była zaniedbaną w literaturze, a w austriackiej szczególnie; dopiero znakomite dzieło Randy „Das Eigenthumsrecht nach österreichischem Rechte“ I, 1884 roku strona 34 i następne, wyjaśnia rzecz wszechstronnie i trafnie.—W ciągu dyskusyi objawiono także zdanie, że dobra publiczne gminne, o których mówi § 288 k. cyw., winny być wpisane do ksiąg hipotecznych, ponieważ tylko dobra publiczne państwa z § 287 k. cyw., według ustawy hypotecznej galicyjskiej, nie stanowią przedmiotu ksiąg publicznych. Następnie na wniosek dr. Kasparka wybrano komisją, która ma zbadać cały ostatni projekt rządowy co do procedury cywilnej, pod względem jego wartości naukowej i praktycznej i przedstawić wnioski, jakie zmiany byłyby w nim pożądane. W skład tej komisji weszli: dr. Fierich Maurycy, Jakubowski Faustyn, Louis, Machalski i Rosenblatt, którzy mogą przybrać do swego grona innych prawników.

— Na posiedzeniu komisji antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie, odbytym dnia 12-go maja r. b., przewodniczący zawiadomił o postępie druku tomu IX, tudzież wskazał ostateczne rezultaty z badania typów ludności galicyjskiej na zasadzie barwy skóry, oczu i włosów. P. Ossowski zdał sprawę z badań zeszlatorocznych w jaskini Wierzchowskiej koło Ojcowa, przy czém okazał i objaśnił wydobyte tamże kości zwierząt kopalnych i wyroby ręki ludzkiej. Z darów nadesłanych przedstawili: przewodniczący siekiere krzemienią pięknie szlifowaną z daru ks. Przybysia, znalezioną na gruntach wsi Chalic; piękny grot krzemienny z pod Wilanowa, oraz ułamek młota dyorytowego z Rembielina gub. plockiej, z daru prof. Mierzyńskiego; sekretarz przedstawił nowy przyczynek do wiadomości etnograficznych z różnych miejsc powiatu zwiahelskiego, nadesłany przez p. Z.

Rokossowską, opis obrzędów i pieśni weselnych ludu białoruskiego w gub. Mińskiéj, przesłany przez d-ra Dybowskiego, tudzież bogate materiały do etnografii Ropczyc od p. Udzieli, kierownika szkoły w Lipniku. Najciekawszym atoli szczegółem tego posiedzenia, było sprawozdanie d-ra Altha, złożone z czynności komitetu, wyznaczzonego dla badania autentyczności wykopalisk mnikowskich. Dr. Alth przedstawił całą czynność komitetu i złożył wszystkie akta téj sprawy dotyczące. Z aktów tych odczytano w całej obszerności orzeczenie zbiorowe komitetu, stwierdzające niezaprzeczoną autentyczność wykopalisk jaskiniowych mnikowskich. Wszystkie te akta, obejmujące prócz nadmienionego orzeczenia o autentyczności, obszerną dyskusją nad prawdopodobnym wiekiem tychże wykopalisk, ogłoszone zostaną w całości w pismach Akademii. Dodać w końcu należy, iż dr. Kopernicki z powodu nadwężonego zdrowia, uczuł się spowodowanym złożyć godność sekretarza komisji. Komisja z żalem przyjęła tą rezygnacyą, wyrażając ustępującemu sekretarzowi wdzięczność i uznanie ze jego długoletnią, gorliwą i skuteczną pracą, wybór zaś jego następcy odłożyła do następnego posiedzenia.

— Schiemanna Dzieje Polski. W wielkim i z niezwykłym przepychem wydawanym zbiorze Onckena „Allgemeine Geschichte in Einzelndarstellungen,“ w poszycie najnowszym, 92-im z rzędu, ukazała się część dziejów Polski, sięgająca do śmierci Bolesława Krzywoustego, przez d-ra Teodora Schiemanna, archiwaryusza miejskiego w Rewlu. Historia Polski stanowi w wydawnictwie Onckena część tomu zatytułowanego: „Rosya, Inflanty i Polska do XVII-go wieku,“ opracowana jest samodzielnie i jak dotychczas bezstronnie. Autor opiera się przeważnie na źródłach; nie zna jednak zupełnie badań nowszej naszej historyografii, chociaż język polski zdaje mu się nie być obcym. Ztąd téż, przedzierając się przez materiał źródłowy, głębiej weń wnikać nie może. Przyjmuje tedy zarzuconą hipotezę Bielowskiego o przyjsciu panującej w Polsce dynastji z południowej Chrobacyi, łączy ją jednak z normanami Szajnochy, bo z pomocą wojska najemnego normańskiego każe jęj zdobywać państwo! Z Mieczysława gwałtem robi Mścisława, ale w końcu sam go zowie „Miesko“ i t. p. Szlachtę (nobiles) wyprowadza z wielkiej posiadłości (Grossgrundbesitz). Natomiast widać z historii Rosyi, że literaturę jęj zna o wiele lepiej; zwraca téż w dziejach polskich uwagę na „bardzo dobrą“ rozprawę Linniczeńki o stosunkach Rusi i Polski do XIV-go wieku w Izwiestjach kijowskiego uniwersytetu w r. 1883 ogłoszoną. W ogóle historia Schiemanna zaleca się poważnym rzeczy ujęciem i przedstawieniem, a tu i owdzie można napotkać uwagę bardzo trafną. Sprawozdawca w „Gaz lwowskiéj,“ uważa np. charakterystykę Bolesława Chrobrego i jego panowania za trafną; podobnie zarzut, zrobiony polityce polskiej na Pomorzu, za słuszny. Rycin, dotyczących Polski, dotąd nie ma. Ciekawe jest odbicie mapy Wschodu Europy z Kosmografii Sebastjana Münstera z roku 1550.

— Kasa imienia Mianowskiego. Ogłoszone zostało drukiem „Sprawozdanie z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia d-ra Mianowskiego.“ Według tego sprawozdania z końcem r. z. kasa liczyła członków założycieli 70, członków honorowych 80 i członków rzeczywistych 1,002, z których jednak 330 nie wniosło składki. Przychody wynosiły rs. 20,381 kop. 76, wydatki zaś rs. 17,223 kop. 95, z czego jednak znaczna część przypada na pożyczki i zapomogi zwrotne. Bilans wykazuje kapitału zasobowego rs. 5,250, obrotowego rs. 31,602 kop. 77 i funduszu wieczystego z zapisu ś. p. J. N. Jaśkowskiego rs. 15,064 kop. 61, czyli razem rs. 51,917 kop. 38. Katalog dzieł wydanych przy pomocy zapomóg, udzielanych przez kasę pomocy, obejmuje 9 tomów „Biblioteki matematyczno-fizycznej“ i 17 tomów innych publikacji. Trzecie to sprawozdanie z czynności komitetu, zarządzającego kasą, zawiera obok faktów, krzepiących ducha i umysł pracowników naszych na polu naukowym, świadectwo upakarzające dla naszego ogółu, który mimo tylu doświadczeń, mimo jak najpoważniejszych zadań społecznych i obywatelskich, nie potrafi zdobyć się na potrzebną w takich warunkach wytrwałość w dziełach, rozpoczętych z jaknajwiększym zapałem i dobrze zrozumianem uznaniem. W roku ubiegłym zalegało już w opłacie składek na 100 członków 71. Jeśli tak dalej pójdzie, to „Kasa“ znajdzie się niebawem na łasce rachunku u stowarzyszonych i o pomocy naukowej, w granicach zamierzonych, mowy być nie może! Zwichnięcie przez to zadania téj instytucji, byłoby niepowetowaną szkodą dla społeczeństwa naszego, bo ukazujące się coraz nowe owoce „Kasy“ na polu naukowym świadczą o jój korzystnej działalności. W ostatnim czasie ukazały się przy pomocy „Kasy“ dwie publikacje, zasługujące na bliższą uwagę społeczeństwa polskiego, mianowicie:

1) Prace filologiczne. Wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego, t. I, zes. 1, Warsz. 1885, str. 268. W wydawnictwie tém witamy organ poważny studyów lingwistycznych, opierających się na badaniach ściśle metodologicznych na polu językoznawstwa ogólnego, dziejów języków słowiańskich a języka polskiego w szczególności, tudzież rozprawy z piśmiennictwa staropolskiego, materiały do historii języka i piśmiennictwa polskiego, oraz wiadomości bibliograficzne i sprawozdania z prac lingwistycznych. Już z samój treści artykułów Zeszytu 1-0, trzymanyh w formie akademickiej dyskusji, może czytelnik powziąć niejaki wyobrażenie o znaczeniu tego przedsięwzięcia. Czytamy tu między innymi: „O wyrazach z wątlą samogłoską obok *l*, *r* pomiędzy spółgłoskami“ (Nehring); „Z patologii i embryologii języka“ (Baudouin); „Powieść o papieżu Urbanie z r. 1514“ (A. Kryński); „Przyczynki do hist. pierwotnych samogłosek długich“ (Kruszewski); „Projekt terminologii językoznawczej“ (J. Karłowicz); „Studia nad etymologią ludową“ (L. Malinowski); „Vistula, Wisła, Weichsel“ (J. Hanusz);

„Urywek kazań z głosami polskimi z w. XV-go“ (J. Przyborowski); „Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich“ (Windakiewicz). Autor nie uwzględnił dokumentów, jakie w tejże sprawie drukowała „Bibl. Warsz.“ z 1884 r. zesz. maj. Następują dalej rozbiory i krytyki nowszych dzieł na polu lingwistyki powszechniej i gramatyki polskiej (między innymi krytyka „Zarysu wykład umowy polskiej.“ Ant. G. Bema).

2) Kartezyusz. Rozmyślania nad zasadami filozofii, dowodzące istnienia Boga i różnicy pomiędzy duszą ludzką i ciałem. Przełożył z łacińskiego Ign. Kar. Dworzaczek. Pod redakcją H. Struvego, Warsz. 1885, str. VIII, 110. Jest to pierwszy tomik zamierzonego już od dosyć dawna wydawnictwa p. t. „Biblioteki filozoficznej.“ Na kwestyą: czy społeczeństwo nasze zrozumie doniosłość i znaczenie naukowe tego przedsięwzięcia, i czy zechce je z przekonania o jego pożytku popierać wytrwale, odpowiada przecząco doświadczenie rozpoczętego w r. 1878, podobnego wydawnictwa we Lwowie p. t. „Biblioteka filozoficzna. Zbiorek dzieł najznakomitszych myślicieli,“ które po wydaniu rozprawy Kartezjusza „O Metodzie“ przełożonej p. W. Dobrzyckiego—zamilkło. Należałoby się zastanowić nad tem, w czym może leżeć przyczyna niepowodzenia tych usiłowań ożywienia w literaturze naszej studyów filozoficznych, które były i są zawsze jedynym światłym regulatorem samodzielnych badań we wszystkich kierunkach na niwie naukowej. Równie stan nauki filozofii w uniwersytetach polskich, jak i trudne nadzwyczaj warunki szkoły, kazałyby się spodziewać, że część myśląca społeczeństwa polskiego oraz młodzież kształcąca i przygotowująca się do samodzielnych badań naukowych, powinna w takiej „Bibl. filozof.“ szukać dla siebie szkoły pomocniczej. Zapewne;—lecz tu spotykamy się z tym faktem, że w tém wydawnictwie, mającém zawierać same tylko tłumaczenia, potrzebnej tej pomocy nie znajdzie, a dla studyów głębszych potrzeba koniecznie posiadać dokładną znajomość języka oryginału. Nie możemy przy tej krótkiej wzmiance zastanawiać się nad dokładnością samego tłumaczenia, nad poprawnością stylu i języka; ale żałujemy bardzo, że wydawnictwo to nie zawiera przy tłumaczeniu obszernego komentarza krytycznego, któryby dla młodzieży uniwersyteckiej mógł być przewodnikiem przy jej badaniach, któryby obznajmiał ją przy każdej kwestyi z całym aparatem materiału bibliograficznego i krytycznego. Wstęp tłumacza powinien dokładnie zaznaczyć stanowisko autora w historii filozofii, czego w biograficznej wzmiance p. Dw. nie widzimy. Mniemamy tedy, że obrócenie znacznego funduszu na to wydawnictwo nakazuje nadać mu wskazany powyżej kierunek, jeżeli ma przynieść spodziewane korzyści. Pracy atoli takiej mogą sprostać tylko wytrawni już uczeni: student, uczący się jeszcze, nie jest w stanie określić dokładnie stanowiska naukowego danego filozofa w historii filozofii, nie zdoła opatrzyć treści tłumaczonej komentarzem, o jakim powyżej mowa, a jeśli tłumaczenie nie odpowie jeszcze pod względem stylu i języka wymaganiom formainym, to przedsięwzięcie jak najpiękniejsze upaść musi.

— Zeszyt VII-my t. III-go „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku i zawiera następujące artykuły: „Elementarz“ przez F. Nowakowskiego i L. (dokończenie); „Elyot“ p. L.; „Elżbieta“ p. Piotra Chmielewskiego; „Emerytura nauczycielska“ p. S. P.; „Encyklopedye wychowawcze“ p. S. P.; „Energija“ p. J. O.; „Epinay“ p. L.; „Erazm Rotterdamski“ p. K. K.; „Estetyka i wykształcenie estetyczne“ p. H. Struvego (początek).

— „Przegląd pedagogiczny“ przeszedł z dniem 1-ym kwietnia pod nową redakcją, w której skład wchodzi pp. Wł. Dawid, S. Dickstein, Wojciech Górski, Fl. Łagowski, W. Nowicki, R. Puciata, A. Ślósarski i Henryk Wernic. Z artykułów, zawartych w ostatnich poszytach, zasługują na szczególną uwagę: „Kształcenie uczuć moralnych w szkole“ p. H. Wernica, „Metoda uczenia geografii“ przez tegoż, „Słówko o marnotrawstwie“ p. E. Siwińskiego, „O wyobraźni u dzieci“ p. J. W. Dawida, a wreszcie rzecz bardzo ciekawa p. n. „Kościszko i Pestalozzi“ p. S. W. Widoczny zwrot na drogę praktyczną bez uganiania się za teoryami doktrynerskimi.

— Ukazały się dwa tomy „Noweli i szkiców literackich“ za-wcześniej zmarłej Stefanii Chłędowskiej.

— Znany z poważnych prac naukowych ks. Ignacy Polkowski w Krakowie, pragnie dokładnie opracować studjum bibliograficzne o różnych wydaniach polskich książeczki Tomasza à Kempis „O naśladowaniu Chrystusa Pana.“ Wydań polskich téj książeczki było aż 89, a niektóre z nich są taką rzadkością bibliograficzną, że dotychczas w ręce ks. Polkowskiego nie wpadły, a nawet w żadnym z licznych listów, otrzymanych wskutek poprzedniego wezwania w pismach, nie było o nich wzmianki. Z tego powodu ks. Polkowski uprasza ponownie zamożne biblioteki, oraz klasztorne i prywatne księgozbiory o zawiadomienie go, czy gdzie nie znajdują się wydania polskie książki Tomasza à Kempis z XVI-go wieku, a mianowicie z lat 1545, 1551 i 1570-go, oraz edycja z niewiadomego roku, dedykowana Annie Jagiellonce.

— W wydawnictwie dzieł Józefa Szujskiego, wskutek rozmaitych przyczyn, nastąpiła pewna zwłoka. Obecnie drukują się jednocześnie trzy tomy, jeden z działu historycznego, jeden z literackiego i jeden z politycznego. W dziale literackim, pod redakcją Stanisława hr. Tarnowskiego, wydane będą drobne poezye w porządku chronologicznym. Redakcją działu historycznego objął prof. Stanisław Smolka, a działu politycznego prof. Michał Bobrzyński. Trzy drukujące się obecnie tomy opuszczają prasę najdalej za dwa miesiące.

— Ukazały się w Krakowie „Monumenta epigraphica cracoviensia medii aevi,“ opracowane przez Leszkowskiego. Prasa angielska, pomieszczając o tém wydawnictwie zaszczytne wzmianki, uprzedziła tym razem naszych sprawozdawców.

— W Lipsku u F. A. Brockhousa wyszło z druku głośne studjum feldmarszałka pruskiego hr. Moltke'go „O Polsce.“ 1885,

str. 103. Przekładu z upoważnienia autora dokonał p. Gustaw Karpeles. Rzecz sama zawiera obok wielu trafnych spostrzeżeń, dużo błędnych poglądów i opinii historycznych, będących echem ogólnie powtarzanych niedokładnych relacji publicystyki europejskiej. Rozbiór gruntowny tego studyum w języku niemieckim mógłby przynieść niezaprzeczoną korzyść dla jaśniejszych poglądów mężów wpływowych na interes historyczne, jakie Polska reprezentowała.

— Dr. Ludwik Grossé, wychowaniec wszechnicy krakowskiej, ogłosił drukiem dysertacją doktorską p. t. „Stosunki polski z soborem bazylejskim.“ Warsz. r. 1885 str. 192. Jest to pierwsza obszerniejsza praca młodego autora, którego krytyka naukowa powinna wziąć w swoją opiekę dla sprostowania niektórych apodyktycznych jego sądów o instytucjach, które mierzy niesłusznie miarą zbyt powszednich ułomności i namiętności ludzkich, nie rachując się sumiennie z ich znaczeniem uniwersalno-historycznym!

— Włodzim. dr. Demetrykiewicz napisał książeczkę p. t. Opieka prawna w Austrii dla zabytków sztuki i pomników historycznych. Ze szczególném uwzględnieniem stosunków galicyjskich. Krak. 1885. str. 29. O ile dla informacji pożądane są wiadomości w książce zawarte, o tyle język i styl, w jakim osnowa jej się przedstawia, może służyć za wzór odstrasający dla każdego polaka, że pisać po polsku w ten sposób nie można bez narażenia się na jak najostrzejszą nagane. Dokąd zajdziemy, jeśli dziś już coś podobnego można drukować?

— „Gazeta rzemieślnicza“ otworzyła bardzo użyteczną rubrykę poświęconą polskiej terminologii technicznej. Wiadomo, że dotąd wyrazy techniczne, po warsztatach używane, są u nas przeważnie z języka niemieckiego, które redakcyja Gaz. Rz. pragnie spolszczyć i do warsztatów wprowadzić.

— Konkurs. Wydział krajowy galicyjski rozpiisał konkurs na dwa dzieła, mające służyć jako podręcznik do nauki rolnictwa i chowu zwierząt domowych, w krajowej średniej szkole rolniczej w Czernihowie. Podręcznik do nauki rolnictwa powinien zawierać: naukę o glebie, o nawozach, o uprawie roli, ogólne zasady hodowli roślin, szczegółowe wskazówki, dotyczące produkcji roślin gospodarskich; o zakładaniu, poprawie i pielęgnowaniu łąk i pastwisk. Podręcznik do nauki chowu zwierząt domowych winien zawierać: ogólne zasady i metody hodowli ze względu na cel i miejscowe stosunki, ogólne zasady żywienia i wychowu zwierząt domowych; szczegółowe wskazówki dotyczące hodowli, żywienia i użytkowania zwierząt domowych; pogląd na hodowlę zwierząt domowych w Galicyi i ościennych krajach. Prace powinny mieć po 25—30 arkuszy druku i należy je nadsyłać przed dniem 1-ym stycznia roku 1886-go. Autorowie prac uznanych za najlepsze otrzymają nagrody po 500 guldenów, przyczem dzieła pozostają ich własnością.

— W Paryżu w d. 16-ym b. m. na cmentarzu Pére Lachaise, w obec nader licznie zebranej publiczności, równie francuzkiej jak i polskiej, odkryto pomnik na grobie zasłużonego optyka i znanego z prac swoich na polu astronomji, Adama Prażmowskiego. Nad grobem przemawiał prof. Artwiński. Pomnik wykonany z białego marmuru wraz z medalionowem popiersiem, jest dziełem utalentowanego młodego rzeźbiarza, Wład. Marcinkowskiego.

— Dnia 22 maja r. b. umarł w Paryżu Wiktor Hugo w 83-im roku życia swego. Nie tylko Francya; ale cała Europa Zachodnia bieże wielki współdział w żałobie z powodu zgonu tego najpotężniejszego tytana poezji nowożytnej. Pogrzeb odbył się kosztem Rzeczypospolitej. Żałować trzeba, że ze zgonem wielkiego poety i obywatela połączono gorszące zsekularyzowanie kościoła ś-tój Genowefy, zamieniając go, po usunięciu wszelkich cech religijnych na „Panteon“ dla spoczynku zwłok wielkich obywateli, oraz że naród francuzki nie mógł i w obec trumny swego wielkiego współobywatela zapomnieć o stronnicych, namiętnych, wzajemnie się pożerających pokuszeniach. Wpływ W. H. był i na naszą literaturę bardzo wielki, dla tego należy mu się osobne szersze studjum.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 26 kwietnia r. b. umarł w Warszawie *Ludwik Wolski*, b. sumienny urzędnik i zamiłowany pracownik na polu statystyki. Ś. p. Ludwik urodził się w r. 1819 w Radomiu, po ukończeniu nauk w szkole wojewódzkiej w Radomiu, wstąpił w r. 1839 do służby w komisji rządowej spraw wewnętrznych i uczęszczał na kursa dodatkowe urządzone dla prawników. Przeznaczony następnie do wydziału statystycznego komisji, oddał się całą duszą nauce statystyki, którą téż przez lat kilka wykładał w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, aż do zamknięcia tego zakładu w r. 1862. Liczne prace statystyczne Wolskiego rozproszone są w wielkiej „Encyklopedyi Powszechnej“ Orgelbranda, w „Ekonomiście“, w „Bibliotece Warszawskiej“, (r. 1849, t. II, t. III „Rys hydrografii Królestwa Polskiego, z wiadomością o sflawach.“ R. 1850, t. II, „Materyały do statystyki Królestwa Polskiego.“ R. 1851, t. I, „Jeziora w Królestwie Polskiem), w „Gazecie Warszawskiej“ i innych dziennikach, oraz w rozmaitych kalendarzach. W ostatnich latach brał nader czynny udział w rozwoju Schronienia Paralityków i w ogóle oddawał się gorliwie dziełom miłosierdzia. Niech odpoczywa w pokoju!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

Z R. 1885.

stron.

Prawo kościelne.

- Dwa rękopisy średniowiecznego zbioru praw kościelnych, gnieźnieński i krakowski. Opisał i ocenił Romuald Hube. 1

Nauki społeczne.

- Liberalizm węgierski i reforma izby magnatów. Przez Władysława Gołemberskiego. 10
- O ruchu państwowo-socyalistycznym w Niemczech. Przez Ludwika Żychlińskiego. 31
- Schaeffle contra Schaeffle. Przez Bron. dr. Łozińskiego. 204

Literatura i krytyka.

- O nieznanym dotąd poezyach Zbigniewa Morsztyna. Napisał Jan dr. Rzepecki. (Dok.). 40
- O powieści H. Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem.“ Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Dok.). 60
- Hessy O'Grady. Powieść oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza, (C. d.). 92, 253, 381

Sztuki piękne.

- Przegląd wystawy Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Przez Karola Matuszewskiego. (Dok.). 75
- Konkurs na projekt pomnika Mickiewicza w Krakowie. Przez Karola Matuszewskiego. 119

Teatr.

Teatr warszawski za dyrekcji L. Osińskiego. (1814—1820). 173

Historya.

Odsiecz Wiednia w bitwie walnej 12-go września 1683-go r.
Opowiedziana na podstawie źródeł współczesnych (z mapą). Przez
Leona Chrzanowskiego. (C. d.). 224, 345
Anglia, Rosya i Afganistan. Przez Edm. S. Naganowskiego. 289
Moje wspomnienia. Ustęp z niewydanych Pamiętników Leo-
na Dembowskiego. (C. d.). 369

Ekonomia polityczna.

Z ekonomiki III. — Zamierzona reforma Banku Polskiego. —
Świetny okres epoki ks. Lubckiego i hr. Lubieńskiego. — Upadek
składu osobistego Banku, a ztąd i zastój w operacjach. — Odjęcie pra-
wa emisji biletów pod względem prawnopolitycznym i ekonomicznym.
— Brak ufnosci w zasoby kraju i zbytne żądanie interwencji państwa.
— Miecz obosieczny dyskusji publicznej. — Życzenia Towarzystwa
popierania przemysłu i handlu i „Kraju.“ — Jednostronność zapatry-
wania się na zlikwidowanie operacji Banku. — Niestosowna chwila za-
mierzonej reformy. — Czego położenie kraju wymaga: reformy Ban-
ku, czy też powiększenia kapitałów obrotowych? — Desiderata w spra-
wie Banku polskiego. — Budżet państwa na rok 1885. — Dwa nowe
podatki. — Niesłuszne lamenta na gwałtowny niby rozwój ekonomiczny
Królestwa. — Program ministerium skarbu. — Elewatory i składy zbo-
żowe. — Co powoduje taniość przy tranzakcyach zbożowych w Sta-
nach Zjednoczonych? — Elewatory w Mannheimie, Ingolstadzie, Ham-
burgu i Berlinie. — Bodenspeicher i Silospeicher. — Porównanie wy-
datków magazynowych w Mannheimie, Kolonii i Berlinie. — Potrzeba
magazynów zbożowych w Warszawie oraz Demblinie, Sandomierzu
i Włocławku. — Bibliografia ekonomiki. 272

Z ekonomiki I. — Potrzeba organu poświęconego ekonomice. —
Dlaczego dotychczasowe usiłowania nie wydały owoców. — Program
nowego ekonomisty i przypuszczalny budżet wydawnictwa. — Kwestya
chlebna w Paryżu. — Przeciętne koszta wypieku. — Piekarnia w Rou-
baix i Angoulême. — Nowe reformy finansowe w Rosyi. — Income-tax
w Anglii. — Badania R. Giffena o dochodach anglików. — Pokrywanie
wydatków wojennych w Anglii budżetem. — System francuzki opodatko-
wania przemysłu i handlu. — Podatek przemysłowy we Włoszech, Prusach
i Austro-Węgrzech. — Opłaty przemysłowo-handlowe w Rosyi. — Po-

datek przemysłowy w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi. — Porównanie przemysłu i handlu w Królestwie i w gubernii moskiewskiej. — Podatek dochodowy w Rosyi. — Dwie jego gałęzie: o d s e t n e oraz s k ł a d k a przemysłowo handlowa. — Nowe urzędy podatkowe. — Przymuszenie do udziału przedstawicieli ludności miejscowej. — Sieć kolei żelaznych na kuli ziemskiej. — Rozwój dróg żelaznych w Ameryce i konkurencyja zbożowa.	399
---	-----

Filozofia.

Nauka filozofii oraz rozkład systematyczny jej gałęzi pojedynczych. Przez Aleksandra d-ra Raciborskiego.	333
--	-----

Kronika z kraju i z zagranicy.

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korespondencya Ad. Mickiewicza t. IV. — Nowy profesor języków i literatur słowiańskich, Ludwik Leger. — Dzieło prof. Fustel de Coulanges: O własności u starożytnych germanów. — Edmund About i prof. Caro. — Pamiętniki Flottowa. — Dwóchsetletni jubileusz Holberga w międzynarodowym literackim towarzystwie. — Serapis, powieść archeologiczna Ebersa.	102
--	-----

Kurs języków i literatur słowiańskich w kolegium francuzkiem profesora Léger. — Konferencya p. Trawińskiego o sztukach pięknych w Polsce. — „Antologia krytyki nowożytniej“ p. Morandi. — „Pogadanki Jana Gigoux.“ — Thermomikrofon d-ra Ochorowicza. — Sprawozdanie z podróży po Afryce p. Giraud. — Walka między kapitałem a pracą w instytucie francuzkim. — Wystawa rzeźb i obrazów. — Boulanger: „Matka Grachów.“ — Berand: „Henryk Walezyusz w Wenecyi.“ — Clairin: „Tryumf maurów.“ — Beniamin Constant: „Sprawiedliwość Szeryfa.“ — Flameng: „Marya Antonina przed egzekucyą.“ — Fretel: „Solum Patriae.“ — Fournier: „Syn Galla.“ — Bouguereau: „Hołd trzech króli i pastuszków.“ — Bonat: „St. Dyonizy.“ — Olivier Merson: „Przybycie do Betleem.“ — Juliusz Breton: „O świcie i o zmroku.“ — Pani Daimond Breton: „Powrót majtków z wyprawy.“ — Malarze i rysownicy polscy: pp. Brandt, Chelmoński, Merwart, Axentowicz, Karbowski, Zier, Przepiórski, Gąsowski, Krabański, Lipiński, Feliks Jasiński, Rejnach, Ostrowski; panny: Bilińska, Dziekońska, Dulemba, Duchyńska, Płużańska, Jabłonowska. — Rzeźby. — Croisy: „Piedestał do pomnika generała Chanzy.“ — Gautier: „Pomnik Klau dyusza Jouffroi.“ — Chapu: „Nagrobek księżny Orleańskiej.“ — Fremiet: „Walka Galla z niedźwiedzicą.“ — Rzeźbiarze polscy pp. Go-

debski, Hegel, Marcinkowski, Kosowski, pani Matylda, panna Certywicz.	419
Kronika londyńska. Z życia społecznego, z literatury, sztuki nauki.—Sens polityczny anglików.—Kancelarz niemiecki i John Bull.—„Surgunt Skierniewice!“—Zwłoki Gordona.—„Drzewa Gordona.“—Skarb i Sztuka.—Interpelacya w Izbie.—Co rząd robi dla sztuki?—Muzea narodowe.—Galerye i Wystawy obrazów w Londynie.—Muzea i wystawy prowincjonalne.—W Szkocyi.—W Irlandyi.—„Szkoły Sztuk Pięknych“ w Królestwie.—Nauka rysunku, malarstwa i rzeźbiarstwa w szkołach publicznych.—Architektura w r. 1884.—Stowarzyszenia i kluby sztuk pięknych oraz ich dobroczynność.—Dzieła malarzy w r. 1884: Orchardson, Leighton, Alma Tadema, Green, Millais, Amyot, Mackay, Rosa Bonheur, Nicol.—Dzieła rzeźbiarzy: Wood, Chaplin, Thornycroft, Lawson, Swinnerton, Simonds.—Piśmiennictwo artystyczne: The Art Journal; The Art; English Illustrated Magazine.—„Vox clamantis.“ Przez Edmunda S. Naganowskiego.	448

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

„Pan Tadeusz,“ A. Mickiewicza.—Studyum estetyczno-literackie, przez d-ra Henryka Biegeleisena.—Warszawa, 1884. Przez Kazim. Kaszewskiego.	142
Teodor Jeske-Choiński: „Z miłości,“ opowieść jakich wiele. Kraków, 1884. Edward Lubowski: „Krok dalej,“ powieść. Warsz., 1885. Przez K. Kaszewskiego.	149
„Roemische Geschichte,“ von Theodor Mommsen, t. V. Berlin, 1885. Przez E. Lipnickiego	301
„Przyczynek do historii wyrazów polskich.“ Przez Lucyana Malinowskiego. Osobne odbicie z X tomu Rozpraw wyd. filolog. Akad. um. w Krakowie, 1884. Przez Romana Zawilińskiego.	308
Wolff Józef: a) „Senatorowie i dygnitarze w. ks. litewskiego“ (1336—1795). Kraków, 1885 r. b) Pacowie. „Materyały historyczno-genealogiczne.“ Petersb., 1885 r. c) „O książkach Kobryńskich.“ Kraków, 1883 r. Przez Adama Bonieckiego.	311
Ad. Ant. Kryński—Gwara Zakopańska. Studyum dyalektologiczne. W Krakowie, 1883.	
Dr. Władysław Kosiński—Przyczynek do gwary zakopiańskiej zestawil... W Krakowie, 1883. Przez Romana Zawilińskiego.	462
„Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz-Małachowskiego,“ posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, generała wojsk polskich, senatora kasztelana Królestwa Polskiego i t. d., objaśnił i z manuskryptu wydał Wincenty hr. Łoś. W Poznaniu, nakładem księgarni I. K. Zupańskiego, roku 1885, str. 190, w większej 8-ce.	474

WIADOMOŚCI BIEŻ., NAUK., LITER., ARTYST. I SPOŁECZNE

Kwiecień.—Z powodu nagrodzonych modeli konkursowych pomnika Mickiewicza (159—161).—Artysta-samouk Szkrzyblak z Jaworowa na Pokuciu (161).—Fundacya Fr. Kochmana dla premiowania literatów polskich (161, 162).—Karta dawniej Polski gen. Chrzanowskiego (163).—Archiwum watykańskie (163).—Ks. Knapiński: Św. Norbert i jego zakony (164).—„Materiały do słownika średniowiecznej łaciny polskiej” d-ra W. Lebińskiego (165).—J. Blizińskiego dopełnienie „Słownika Lindego.”—Zeitschrift f. allg. Sprachwissenschaft, zes. 2.—„Słownik geograficzny” zes. 63.—Podręczniki nauki historii (T. Korzona: Hist. w. średnich; Anat. Lewickiego: Zarys hist. Polski) (166).—P. Balan: Listy Klemensa VII papieża.—„Uchańsciana;” —Krzysztofa Warszawskiego pisma.—„Dokumenty do dziejów Elektora W.”—„Encyklopedia wychowawcza” zes. 6, t. III (168).—Fr. Próchnicki: Wskazówki nauki języka polskiego; Lwów, 1885.—„Przegląd pedagogiczny” Eug. Babińskiego.—Mikołaj Mazanowski: Ant. Malczeski.—Dr. C. Grünhagen: Historia Ślązka (169).—T. 5 Historii rzymskiej Teodora Mommsena (170). 159—170

Maj.—Pomnik Mickiewicza (322—324).—Mar. Sokołowski („Pomnik Mickiewicza”).—Nowe państwo Kongo (324—327).—Z Akad. Um. w Krakowie.—Tow. nauczycieli szkół wyższych (327).—Kongres międzynarodowy w celu ustanowienia południka i godziny normalnej (328—329).—Pobył ks. Radziwiłła panie Kochanku w Dubrowniku (Raguzie) str. 329, 380.—† Mikołaj Kostomarów.—Kornel Ujejski.—Ignacy Świętochowski („Artele w Rosyi”)—331.—Poezye Duriniego o St. Konarskim (322).—„Szkice Klina” zes. 6-ty cz. 2-ój.—Curiosum bibliograficzne Bielinowicza.—Przyczynek do biografii Fr. Karpińskiego, przez Tretiaka (335) 322—335

Czerwiec.—Doroczne posiedzenie Akad. Um. w Krakowie d. 4-go maja 1885 r. (str. 478).—Sprawa kuratorji fundacyi ś. p. St. hr. Skarbka we Lwowie (482).—Skarb numizmatyczny na Ślązku z epoki Piastowskiej (483).—Katalogi biblioteki watykańskiej. Palmieri (Przewodnik po archiwum watykańskiem. Regesta papieżkie).—Antonowski o uporządkowaniu biblioteki w Petersburgu po jej przywzięciu z Warszawy.—Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie (484).—Posiedzenie Akad. Um. w Krakowie: Komisji historycznej (księgi formularzy prawnych z w. XIV i XV. Akta i listy z w. XVI i XVII; dyaryusze sejmowe z czasów Zygmunta III-go); wydziału historyczno-filozoficznego (Kasperek o Radzie stanu) (485); Komisji prawniczej (Kasperek „O stosunku państwa do praw nabytych, a w szczególności do własności prywatnej”); Komisji antropologicznej (Wykopiska w jaskini Wierzbowskiej oraz mnikowskiej).—Kochanna (Dzieje Polski) (487).—Kasa im. ś. p. Mianowskiego: III-g

Sprawozdanie oraz wydawnictwa: „Prace filologiczne“ t. I i „Biblioteka filozoficzna“ Kartezjusz (488—489). — „Encyklopedia wychowawcza“ tomu III-go zeszyt 7-y. — „Przegląd pedagogiczny.“ — St. Chłędowskiej (nowele).—Ks. Polkowski („O naśladowaniu Chrystusa“ p. T. à Kempis). Wydawnictwo dzieł Józefa Szujskiego (490). — „Monumenta epigraphica cracoviensia medii aevi.“ — Moltke „O Polsce“ (491).—L. Grossé (Stosunki Polski z soborem bazylejskim).—Demetrykiewicz („Opieka prawna w Austrii dla zabytków sztuki“).—Terminologia techniczna w języku polskim (491).—Konkurs wydz. galicyjskiego na podręcznik 1) do nauki rolnictwa; 2) do chowu zwierząt domowych.—Pomnik ś. p. Ad. Prażmowskiego. — † Wzmianka o śmierci Wiktora Hugo (492). 478—492

Nekrologia.

Ś. p. Jan Kazimierz Wilczyński. — Ś. p. Wł. Maurycy Niego-	
lewski.	170—171
Ś. p. ks. bisk. Kazimierz Wnorowski (335).—Ś. p. Stan. Koź-	
mian (336)	335—336
Ś. p. Ludwik Wolski.	492
Ogłoszenia.	

bycie do Betleem.“ — Juliusz Breton: „O świcie i o zmroku.“ — Pani Daimond Breton: „Powrót majtków z wyprawy.“ — Malarze i rysownicy polscy: pp. Brandt, Chelmoński, Merwart, Axentowicz, Karbowski, Zier, Przepiórski, Gąsowski, Krabański, Lipiński, Feliks Jasiński, Rejnach, Ostrowski; panny: Bilińska, Dziekońska, Dulemba, Duchyńska, Płużańska, Jabłonowska. — Rzeźby. — Croisy: „Piedestal do pomnika generała Chanzy.“ — Gautier: „Pomnik Kładyszka Jouffroi.“ — Chapu: „Nagrobek księżny Orleańskiej.“ — Fremiet: „Walka Galla z niedźwiedzicą.“ — Rzeźbiarze polscy pp. Godebski, Hegel, Marcinkowski, Kosowski, pani Matylda, panna Certowicz. . . .

419

VII. Kronika londyńska. Z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki. — Sens polityczny anglików. — Kanclerz niemiecki i John Bull. — „Surgunt Skierniewice!“ — Zwłoki Gordona. — „Drzewa Gordona.“ — Skarb i sztuka. — Interpelacya w Izbie. — Co rząd robi dla sztuki? — Muzea narodowe. — Galerye i Wystawy obrazów w Londynie. — Muzea i Wystawy prowincjonalne: w Szkocyi, w Irlandyi. — „Szkoły Sztuk pięknych“ w Królestwie — Nauka rysunku, malarstwa i rzeźbiarstwa w szkołach publicznych. — Architektura w r. 1884. — Stowarzyszenia i kluby sztuk pięknych. — Dobroczynność tychże. — Dzieła malarzy w r. 1884; Orchardson, Leighton, Alma Tadema, Green, Millais, Amyot, Mackay, Rosa Bonheur, Nicol. — Dzieła rzeźbiarzy: Wood, Chaplin, Thornycroft, Lawson, Swinnerton, Simonds. — Piśmiennictwo artystyczne: The Art Journal; the Art; English Illustrated Magazine. — „Vox clamantis.“ Przez Edmunda S. Naganowskiego. (Ciąg dalszy nastąpi). . . .

446

VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Ad. Art. Kryński — Gwara Zakopańska. Studium dyalektologiczne. W Krakowie, 1883.

Dr. Władysław Kosiński — Przyczynek do gwary zakopiańskiej zestawil... W Krakowie, 1883. Przez Romana Zawilińskiego. . .

460

„Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz-Malachowskiego,“ posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, generała wojsk polskich, senatora kaszteleana Królestwa Polskiego i t. d., objaśnił i z manuskryptu wydał Wincenty hr. Łoś. W Poznaniu, nakładem księgarni I. K. Żupańskiego, roku 1885, str. 190. w większej 8-ce. . . .

472

IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe, artystyczne i społeczne. — Dorożne posiedzenie Akad. Um. w Krakowie d. 4-go Maja 1885 r. (str. 478). — Sprawa Kuratoryi fundacyi ś. p. St. hr. Skarbka we Lwowie (482). — Skarb numizmatyczny na Szlaku z epoki Piastowskiej (483). — Katalogi biblioteki watykańskiej. Palmieri (Przewodni po archiwum watykańskiem, Regesta papieżkie). — Antonowski: uporządkowaniu biblioteki w Petersburgu po jej przywiezieniu z Warszawy. — Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie (484). — Posiedzenie Akad. Um. w Krakowie: komisji historycznej (Księgi formularzy prawnych z w. XIV i XV, — Akta i listy z w. XVI i XVII;

dyaryusze sejmowe z czasów Zygmunta III-go); wydziału historyczno-filozoficznego (Kasperek: o Radzie stanu) (str. 485);—komisji prawniczej (Kasperek: „O stosunku państwa do praw nabytych a w szczególności do własności prywatnej.“): komisji antropologicznej (Wykopalska w jaskini Wierzchowskiej oraz mnikowskiej). — Schiemanna (Dzieje Polski) (487).—Kasa im. ś. p. Mianowskiego: III-ie Sprawozdanie oraz wydawnictwa: „Prace filologiczne“ T. I. i „Biblioteka filozoficzna“ Kartezyusz (487, 489).—„Encyklopedia wychowawcza“ T-u III-go zeszyt 7-my.—„Przegląd pedagogiczny.“ — St. Chłędowski (Nowelle).—Ks. Polkowski (O naśladowaniu Chrystusa p. T. a Kempis).—Wydawnictwo dzieł Józefa Szujskiego, (490).—„Monumenta epigraphica cracoviensia medii aevi“—Moltke „O Polsce“ (491).—L. Grossé (Stosunki Polski z soborem bazylejskim).—Demetrykiewicz („Opieka prawna w Austrii dla zabytków sztuki“).—Terminologia techniczna w języku polskim, (491).—Konkurs Wydz. galicyjskiego na podręcznik 1) do nauki rolnictwa; 2) do nauki chowu zwierząt domowych. — Pomnik ś. p. Ad. Prażmowskiego. — † Wzmianka o śmierci Wiktora Hugo, (492). 478—492
 X. Nekrologia.—Ś. p. Ludwik Wolski. 492
 XI. Ogłoszenie.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkusz wych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z omiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie Przedmieście, Nr. 415.